

BIULETYN IPN

nr 6 (27)/2014

pamięć POL



Radomski Czerwiec 1976

Wybory w Polsce Ludowej

Transformacja
pod lupą Stasi

Jak powstało papamobile

Cena 6 zł (5% VAT)

ISSN 2084-7319



numer indeksu 284521
nakład 10 500 egz.



Dodatek specjalny:
plakaty z wyborów w 1989 roku

Całość floty rzymskiej dzielono na flotyllę (classis), z których każdą dowodził praefectus classis. Ich nazwy zależały od rejonu, w którym stacjonowały. Oprócz jednostek samego Rzymu, w jego flocie służyły też tak zwane flotyllę posiłkowe dostarczane, dobrowolnie lub przymusowo, przez nacje z nim sferowane. Oprócz okrętów stricte bojowych Imperium rozporządzało także znaczną ilością mniejszych jednostek zwadrowanych i patrolowych. W szczególnych sytuacjach różnego rodzaju funkcje pomocnicze, a nawet mniej ważne zadania zbrojne, wypełniała flota handlowa. Większe statki transportowe służyły głównie do przewożenia armii ekspedycyjnej oraz zaopatrzenia i żywności na teren działań wojennych. Wielka ich liczba wyruszyła wraz z całą flotą rzymską (liczącą trzyście trzydziestą okrętów) w ekspedycję zbrojną przeciw Kartaginie, zakończoną bitwą morską u przylądka Eknomos w 256 roku przed naszą erą. W czasach republiki naczelne dowództwo nad flotą wojenną leżało w gestii dwóch konsułów. Do sprawowania kontroli nad pojedynczymi flotyllami wyznaczali oni własnych pomocników: trybunów bądź legatów. W 311 roku przed naszą erą z inicjatywy Appiusza Klaudiusza Caecusa przeprowadzono reformę, w myśl której każdy z konsułów dobiierał sobie do pomocy jednego oficera floty. Nosił on nazwę duumvir navalis i był członkiem dwuosobowego kolegium duoviri navales. Począwszy od 267 roku przed naszą erą sprawami finansowymi dotyczącymi floty rzymskiej oraz ochroną morskich szlaków handlowych zajmowali się czterej quaestores classici. W czasach II wojny punickiej, z racji dużej ilości morskich potyczek i bitew, należało stworzyć nowy rodzaj dowództwa. Związane z nim zadania przejął praefectus classis podlegający bezpośrednio konsułom. Pod koniec III wieku przed naszą erą w sprawach morskich zauważalny stał się spadek prestiżu konsula, który ostatni raz dowodził flotą w 218 roku. Jego uwiaryłowienie przejmowali stopniowo inni wysocy urzędnicy, na przykład w trakcie wojen macedońskich całością floty kierował mianowany przez senat legatus pro praetore. Pod koniec II wieku przed naszą erą po raz pierwszy wydzieleni eskadrami dowodzili podlegający temu ostatniemu legati classici. Głównym dowódcą okrętu wojennego był trierarchus. Jego rozkazom podlegał centurio classicus, a więc dowódca oddziału żołnierzy pokładowych. Obowiązkami szypca, czyli dowódcy przedziału młotkami pływającymi, głównie handlowymi, pełnił nauarchus. Z biegiem czasu, kiedy flota rzymska stała się liczną i znaczącą siłą morską, powołano stanowisko przełożonego szypców, które pełnił nauarchus princeps. W zależności od rodzaju okrętu wojennego na jego pokładzie znajdowało się mniejsza lub większa liczba załogi. W jej skład wchodziła: kadra dowódcza, żołnierze okrętowi (classarii lub marines), wiosłarze (remiges), żeglarze (nautae), sternik oraz fletnista bądź trębacz nadający odpowiednie tonie wiosłowania. Oficerowie pokładowi, których głównym zadaniem był nadzór nad pracą wiosłarzy oraz wydawanie odpowiednich rozkazów i komend, zajmowali miejsce na niewielkim pokładzie nawigacyjnym umieszczonego na rufie okrętu flagowego. Na jego maszcie wieszano flagę z typowo rzymskimi symbolami lub – w czasach Imperium – wizerunkiem cesarza (imago). Przebieg przegranej przez Kartagińczyków bitwy u przylądka Eknomos w 256 r. p.n.e. Istotne zadania pełnił na rufie sternik, który manewrował okrętem podczas bitwy oraz odpowiadał za nawigację w czasie żeglugi. Było to możliwe dzięki dwóm zsynchronizowanym wiosłom sterowym, które znajdowały się po obu stronach kadłuba okrętu. Wiosłarze i żeglarze dysponowali jedynie lekkim uzbrojeniem zaczepnym (głównie oszczepami, które podczas żeglugi chowano pod ławeczki wiosłarskie), aczkolwiek ich zadaniem, oprócz wprawiania okrętu w ruch i nadzorowania żagli, było również uczestniczenie w bitwie, jeśli tylko wymagała tego sytuacja. Używali oni przeróżnych sposobów walki: podczas rejsu zajmowali miejsce w części dziobowej. Przeważnie była to tak zwana centuria classica licząca stu zbrojnych. W okresie późnej republiki oraz pryncypatu classarii posiadali następujące uzbrojenie: tunikę kołczą (lorica hamata) bądź dobrze dopasowany do tułowia pancerz (na wzór „pancerza atleży”) i przytoczone do niego pierścienie, czyli połączone ze sobą skórzaną pastę, często laminowane metalem, dla lepszej ochrony podbrzusza; hełm typu boeckiego ze specjalnym rondem opadającym ku dołowi i napoliczkanymi wiązaniami w kształt harpunami lub podobiznami boga Neptuna i zawieszane na specjalnym paszku na ramieniu. Na podstawie znalezisk archeologicznych w Pompejach i wyobrażeń scen morskich w sztuce rzymskiej można odtworzyć także ubiór legionistów okrętowych. Typowy classarius nosił tunikę, długi płaszcz (przeważnie koloru czerwonego) i sandały. W rzymskiej flocie wojennej służyli także sojusznicy morscy (socii navales). Zaliczali się do nich np. Grecy oraz Italikowie sprzymierzeni z Rzymem. W kontekście planowania morskiej wyprawy do Afryki w czasie II wojny punickiej Tytus Liwiusz zanotował: Ludy Umbrii, a obok nich mieszkający Nursji, Reate i Amiternum, a także każdy kraj sabiński przyrzekły dostarczenie żołnierzy. Z Marsów, Pelignów, Marrucynów wielu zgłosiło się na ochotnika do służby na okrętach. Kamertowic, choć byli w przynajmniej z Rzymem na równych prawach, przysłali uzbrojony oddział szlachciw ludzi. Z biegiem czasu, korzystając z ujarznienia wielu plemion barbarzyńskich, do załóg okrętowych włączono też przedstawicieli podbitych krajów (symmacharii), którzy nie posiadali obywatelstwa rzymskiego i otrzymywali je dopiero po ukończeniu służby wojennej. Zwykle odbywali ją oni jedynie w czasie wojny, otrzymując w zamian wynagrodzenie pieniężne. Symmacharii nie posiadali specjalnego przeszkolenia i walczyli według własnego stylu, właściwego dla plemienia, z którego pochodzili. Przewodzili im, dla ułatwienia kontaktu między dwoma stronami, nie w pełni zromantyzowani wodzowie wywodzący się z terenów podbitych, w skład jednej podlegającej dowództwu rzymskiemu. W zależności od rejonu stacjonowania poszczególnych flotylli rzesznych w skład rzymskich załóg wchodził: Iberowie, Brytonie, Germanie, Gallowie a nawet Maurowie lub szerzej – mieszkańcy Afryki Północnej. Symmacharii posiadali typowe, barbarzyńskie uzbrojenie: oszczep, sztylce, okrągłą tarczę wykonaną z drewna i wzmocnioną metalowym unblem oraz maczugę. Charakterystyczną cechą tych zbrojnych był brak pancerza, choć czasami w celu częściowej choć ochrony tułowia i torsu stosowano wiodowstworzone płócienne tuniki. Wspomniani wcześniej Maurowie w warunkach morskich ubraли się w kilka krótkich oszczepów do rzucańca, okrągłą tarczę niewielkich rozmiarów zakładaną na przedramię oraz wleńnianą tunikę. Z barbarzyńców rekrutowały się także jednostki odpowiadająca za walkę na odległość. Zaliczali do nich należą łuczników, których często werbowano spośród mieszkańców Bliskiego Wschodu – znani ze swych wysokich umiejętności byli przede wszystkim łucznicy syryjscy. Na ich orientalne uzbrojenie składały się: hełm stożkowy, pancerz łuskowy, nakarczelnik, lub refleksyjny, którego ciężew napinano za pomocą specjalnego pierścienia (zakira) nakładanego na ciek i nadac starcu morskiemu charakter bitwy na twardym gruncie, zaopatrzyli swe okręty w ruchome pomosty, tak zwane kruki (corvus). Miały one jednakże metrow wysokości i jeden i dwie dziesiąte metra szerokości, z każdej strony były zabezpieczone balustradą, a dodatkowo zaopatrzone były w żelazne dzioby. Każdy taki pomost był przymocowany do ośmiometrowego słupa ustawionego na dziobie okrętu. Kolowrotowi, wspomnianemu słupowi oraz linom przewleczonym przez jego wierzchołek, można było podnoszenie i opuszczanie opisanej kładki, a także obrócenie jej na dowolną burtę okrętu. Aby cała konstrukcja była stabilna, używano specjalnego kołca bądź haka (coitus) na końcu pomostu.

W Internecie
mamy więcej
miejsca.



Pierwszy polski portal historyczny

www.histmag.org

MAGAZYN HISTORYCZNY „MÓWIĄ WIEKI”

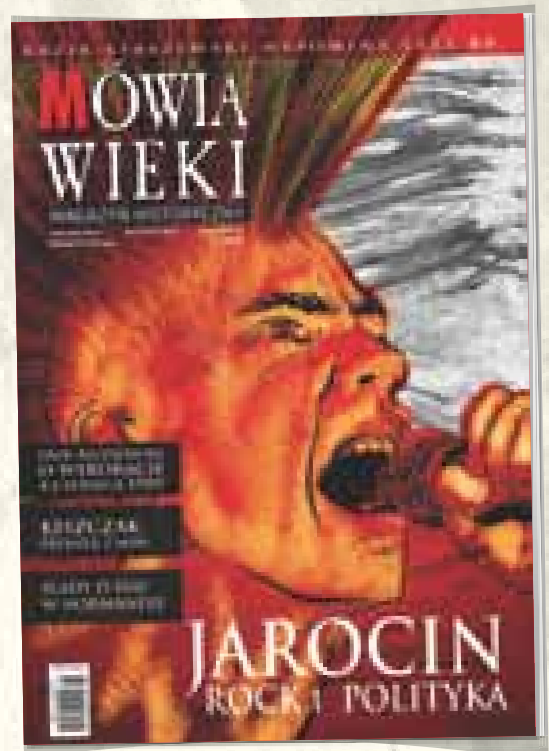
Popularyzujemy historię od 56 lat!

W czerwcowym numerze:

- Prof. Andrzej Paczkowski o wyborach 4 czerwca 1989 roku
- Czesław Kiszczak – premier z MSW
- Urynkowanie cen w 1989 roku
- Jarocin – rock i polityka
- Kazik Staszewski z Kultu wspomina lata 80.
- Jacek Kaczmarski w drugim obiegu
- Ślady D-Day w Normandii
- Seppuku – samurajskie samobójstwo

Ponadto w miesięczniku: aktualności historyczne, recenzje książkowe i filmowe, anegdoty sprzed wieków

„Mówią wieki” można nabyć w salonach EMPiK, Kolportera, Garmonda, Inmedio oraz dobrych kioskach RUCH-u. Prenumeratę realizują Bellona SA i RUCH.



Zapraszamy także na nasze strony internetowe: www.mowiawieki.pl oraz www.facebook.com/mowiawieki

**2 AKTUALNOŚCI IPN****4 KALENDARIUM****6 Z PIERWSZEJ STRONY****FELIETON****8** Krzysztof Gottesman, **Radość na śmietniku****STOP-KLATKA****10** Radosław Poboży, **Chłopczyk czy dziewczynka?****Z ARCHIWUM IPN****14** Grzegorz Majchrzak, **Nietypowa umowa najmu****WYWIAD****16** **Mściwe oblicze „ojca narodu”**

– rozmowa z Arkadiuszem Kutkowskim

22 **Koła historii** – rozmowa ze Zbigniewem Gonciarzem**WYDARZYŁO SIĘ W XX WIEKU****26** Tomasz Toborek, **Rudolf Majewski „Leśniak” (1901–1949)****28** Filip Gańczak, **Transformacja pod lupą Stasi****33** Michał Siedziako, **Wybory w PRL: udawana demokracja****38** Jolanta Drużyńska, **Pułapka na drodze do wolności****43** Patryk Pleskot, **Niechętny spowalniacz****48** **Ćwierć wieku bez cenzury**

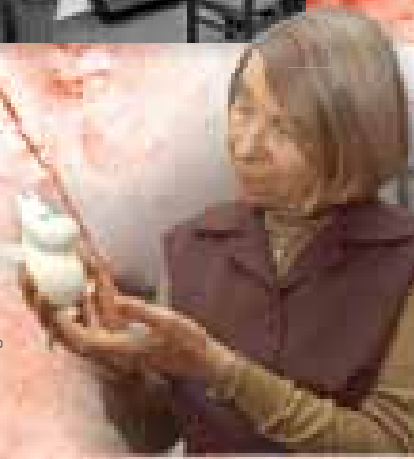
Fot. PAP



Fot. PAP



Fot. ze zbiorów Tomasza Zawistowskiego



Fot. PAP/ Woody Ochrio



Fot. AIPN



Fot. Arkadiusz Krzemiński



Fot. Eliza Frankowska

50 Joanna Hytrek-Hryciuk, **Wojna nad Doliną Muminków. Tove Jansson (1914–2001)****Z DZIEJÓW OPOZYCJI I OPORU SPOŁECZNEGO****52** Arkadiusz Kutkowski, **Czerwcowca „ekstremistka”****PRAWDA CZASÓW, PRAWDA EKRANU****56** Jerzy Eisler, **Przygoda na Mariensztacie****ORZEŁ BIAŁY****59** Tomasz Zawistowski, **Orzeł z powstańczego krzyża****Z BRONIĄ W RĘKĘ****63** Michał Mackiewicz, **Karabin maszynowy – król okopów****HISTORIA W KINIE****65** Karolina Wichowska, **Powstanie non-fiction****EDUKACJA HISTORYCZNA****66** Janusz Piiowar, Mariusz Żuławnik, **„Mając na względzie zachowanie pamięci...”****69** Monika Tomkiewicz, **Dla Was biegliśmy pod Monte Cassino****71** **RECENZJE****73** **BIBLIOTEKA IPN**

Szanowni Czytelnicy!

Rok 1989 to w Polsce okres dynamicznych przemian polityczno-ustrojowych, które następnie napędziły podobne zmiany w innych państwach tzw. demokracji ludowej. W numerze czerwcowym kontynuujemy zapoczątkowany w poprzednich miesiącach cykl artykułów poświęconych wydarzeniom sprzed 25 lat, których apogeum – a jednocześnie ważna cezura w historiografii – to kontraktowe wybory 4 czerwca. Były pierwszym od 1947 roku głosowaniem, do którego władza komunistyczna dopuściła opozycję. Miało to wpływ nie tylko na wynik wyborów (co oczywiste), lecz także na ich przebieg – kampania wyborcza po ponad czterdziestu latach znów była rywalizacją. O wyborach w Polsce Ludowej – także tych, które zamknęły ten rozdział historii – pisze Michał Siedziako. Szybkość i radykalizm przemian zachodzących po wschodniej stronie żelaznej kurtyny zaskoczył i zaniepokoił przywódców Zachodu, którzy zaczęli obawiać się reakcji komunistów i ZSRR. Prezydenci USA i Francji wręcz stopowali procesy transformacyjne. Kto i dla czego był „hamulcowym” demokratyzacji demoludów – o tym w artykule Patryka Pleskota. Mimo przemian tajne służby nadal działały i wcale nie było pewne, czy ta Wiosna, a później Jesień Ludów, zakończy się sukcesem. Filip Gańczak opisuje, jak enerdowska Stasi monitorowała proces transformacji i zbierała materiały nawet jeszcze u schyłku swego istnienia.

Rok 1989 zerwał nie tylko okowy polityczne, lecz także kulturalne i naukowe – w następstwie przemian zniesiona została cenzura. W numerze publikujemy pierwszą część swoistej ankiety, którą przeprowadziliśmy wśród historyków, dotyczącej ważnych publikacji historycznych, z ostatniego ćwierćwiecza wolności słowa w Polsce.

Przykładem tego, czym był i jakie metody stosował reżim komunistyczny, są wydarzenia z czerwca 1976 roku. Arkadiusz Kutkowski w rozmowie z Pawłem Sasanką przypomina, że tzw. epoka Gierka to nie tylko relatywne rozluźnienie pęt totalitarnego systemu i względny (krótkotrwały!) dobrobyt. To także brutalność ZOMO, sfingowane procesy i „ścieżki zdrowia”.

Encyklopedia Solidarności to najobfitsze źródło wiedzy o polskiej opozycji antykomunistycznej lat 1976–1989. Jej zasoby to – jak do tej pory – prawie 4800 biogramów, ponad 1800 haseł przedmiotowych i ponad 150 tys. stron prasy podziemnej. Nie wszystkie historie da się jednak opisać w wąskich ramach hasła encyklopedycznego. Cykl artykułów przygotowany przez uczestników Centralnego Projektu Badawczego IPN „Opozycja w Polsce 1976–1989”, będzie stanowić uzupełnienie i rozszerzenie lakonicznych często (z natury rzeczy) notek. Inauguruje go artykuł o poczerwcowych represjach i walce Danuty Chomickiej o uwolnienie męża.

Do numeru dołączyliśmy repliki plakatów z wyborów 4 czerwca 1989 roku.

Redaktor naczelny
Andrzej Brzozowski



pamięć.pl

Wydawca:
Instytut Pamięci Narodowej
– Komisja Ścigania Zbrodni
przeciwko Narodowi Polskiemu

Rada Programowa:
dr hab. Robert Klementowski,
dr hab. Adam Dziurok,
dr Krzysztof Kaczmarski,
dr Maciej Korkuć, dr Tomasz Łabuszewski,
dr Agnieszka Łuczak, dr Karol Nawrocki,
dr Sławomir Poleszak, dr Paweł Skubisz,
dr Waldemar Wilczewski,

dr Andrzej Zawistowski (przewodniczący),
dr Joanna Żelazko

Rada Redakcyjna: dr Dawid Golik,
Krzysztof Góttzman, Agnieszka Jaczyńska,
dr Andrzej Krajewski, Jan Olszák,
dr Paweł Rokicki, dr Paweł Sasanka,
dr Magdalena Semczyszyn,
Emilia Świętochowska, dr Daniel Wicenty

Redakcja:
Andrzej Brzozowski
(redaktor naczelny, tel. 22 431 83 56;
e-mail: andrzej.brzozowski@ipn.gov.pl)

Maciej Foks, Filip Gańczak,
Jakub Gołębiewski, Andrzej Sujka,
Karolina Wichowska

Sekretariat: Maria Wiśniewska
tel. 22 431 83 47, faks 22 431 83 11

Korekta: dr Magdalena Baj

Projekt graficzny: Krzysztof Findziński,
Marcin Koc, Sylwia Szafrąńska

Skład i łamanie: Sylwia Szafrąńska
Siedziba redakcji: ul. Hrubieszowska 6a,
Warszawa

Adres do korespondencji:
ul. Wołoska 7, 02-675 Warszawa
www.ipn.gov.pl

Druk: LEGRA sp. z o.o.
ul. Albatrosów 10c, 30-716 Kraków

Redakcja nie zwraca materiałów
niezamówionych i zastrzega sobie prawo
dokonywania zmian w nadesłanych
tekstach.

■ Od 5 do 31 maja 2014 roku na terenie dawnego **ogrodu Aresztu Śledczego przy ul. Kopernika w Białymstoku i w piwnicach budynku administracyjnego tegoż aresztu** były prowadzone prace **ekshumacyjne ofiar terroru niemieckiego, sowieckiego i komunistycznego**.

Z dołów znajdujących się w ogrodzie wydobyto szczątki 135 osób, spośród których antropolodzy zidentyfikowali 38 mężczyzn, 15 kobiet i 10 dzieci (w tym jedno nienarodzone). Spod podłogi piwnicy wydobyto szczątki dwóch mężczyzn.

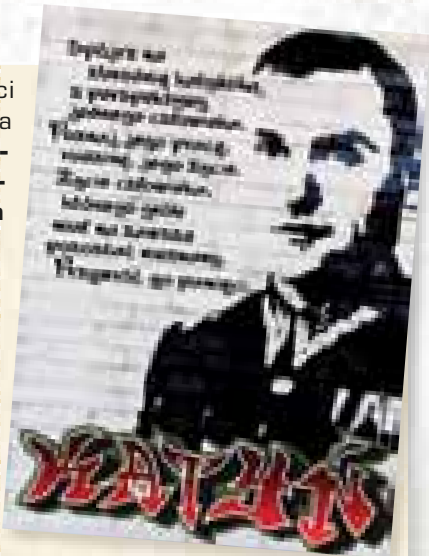
Przy szczątkach odnaleziono dotąd ponad sto przedmiotów należących prawdopodobnie do ofiar zbrodni dokonywanych przez Sowietów w latach 1939–1941, później – przez Niemców, i po wojnie – przez komunistów. Równocześnie były prowadzone prace ekshumacyjne w gminie Czeremha, gdzie znaleziono szkielet mężczyzny z wyraźnymi śladami obrażeń. Prace te rozpoczęto na podstawie zeznań świadków zbrodni dokonanej przez Sowietów na żołnierzach polskich we wrześniu 1939 roku.

Jak poinformował prezes IPN, dr Łukasz Kamiński, jesienią br. rozpocznie się ostatni już etap prac na terenie ogrodu więziennego przy ul. Kopernika.



Fot. P. Zycieński

■ Instytut Pamięci Narodowej zaprasza **uczniów szkół gimnazjalnych oraz ponadgimnazjalnych do udziału w V edycji konkursu „Sprzeczki i guziki z orzelkiem ze rdzy”, w którym nagrodą jest wyjazd edukacyjny śladami walk II Korpusu Polskiego we Włoszech.** Celem konkursu jest upamiętnienie ofiar roz-



strzelanych wiosną 1940 roku z rozkazu najwyższych władz ZSRR. Uczniowie mają za zadanie zaprojektować stronę w albumie poświęconą konkretnemu zamordowanemu oficerowi. Dzięki temu poznają sylwetki pomordowanych i ich rodzin, dowiadują się o ich życiu prywatnym, dokonaniach, sukcesach i roli, którą odgrywali w życiu publicznym niepodległej Polski.

Imię i nazwisko bohatera pracy konkursowej musi figurować na tzw. liście katyńskiej lub ukraińskiej liście katyńskiej, zamieszczonej pod adresem internetowym: <http://www.katedrapolowa.pl/ofiary.php>. Prace, wykonane w dowolnej technice, mogą zawierać m.in. biogram, opis, wiersz, tekst piosenki, zdjęcia czy rysunki. Należy je przesłać **do 7 lipca 2014 roku** na adres: Biuro Edukacji Publicznej IPN, ul. Wołoska 7, 02-675 Warszawa, z dopiskiem „Konkurs”.

Szczegółowe informacje znajdują się na stronie internetowej pamiec.pl w zakładce Edukacja/Konkursy.

■ Instytut Pamięci Narodowej uruchomił **Centrum Informacji o Ofiarach II Wojny Światowej**, którego celem jest udzielanie informacji o ofiarach represji niemieckich i sowieckich w okresie II wojny światowej i komunistycznych po jej zakończeniu. Więcej informacji na ten temat na s. 66–68.

■ Od 15 maja do 30 czerwca w Miejskiej Bibliotece Publicznej przy ul. Przybyszewskiego 59 we Wrocławiu można oglądać **wystawę „Skazani na karę śmierci w czasach stalinowskich i ich losy”,** będącą częścią projektu badawczego, na który składa się opracowanie *Księga świadectw. Skazani na karę śmierci w czasach stalinowskich i ich losy*. Ekspozycja ukazuje dramatyczne losy Polaków, głównie konspiratorów i żołnierzy podzie-



■ Od 25 maja do 23 czerwca w bazylice Świętego Krzyża przy Krakowskim Przedmieściu 3 w Warszawie jest prezentowana **wystawa fotografii Piotra Życieńskiego *Cum tacent, clamant***. Ekspozowane są na niej zdjęcia z prac poszukiwawczych szczątków ofiar systemu komunistycznego w kwaterze „L” na warszawskich Powązkach w latach 2012–2013, podjęte przez Instytut Pamięci Narodowej. Poszukiwania te nie zostały jeszcze zakończone, lecz zidentyfikowano już szczątki 28 osób, m.in. mjr. Hieronima Dekutowskiego „Zapory” i kmdr. Stanisława Mieszkowskiego. Wystawa jest czynna od wtorku do soboty od 14.00 do 19.00 oraz w niedzielę od 8.30 do 20.30.



Fot. P. Życieński

■ **Czytelnia Akt Jawnych**, zlokalizowana obecnie w Centrum Edukacyjnym IPN przy ul. Marszałkowskiej 21/25 w Warszawie, zostanie przeniesiona do nowej siedziby w kompleksie budynków przy **ul. Kłobuckiej 21**. Przerwa spowodowana przeprowadzką nastąpi w okresie od 9 do 20 czerwca. Cały czas będzie funkcjonowała bez zmian czytelnia przy pl. Krasińskich 2/4/6. Czytelnia Akt Jawnych w nowej lokalizacji zaprasza użytkowników od 23 czerwca w godz. 9.00–19.00.

mia niepodległościowego, którzy nie pogodzili się z komunistyczną okupacją i przez ponad 10 lat od zakończenia wojny byli skazywani na karę śmierci.

Zdjęcia i dokumenty ekspozowane na wystawie pochodzą ze zbiorów oddziałowych biur edukacji publicznej IPN w całym kraju i zostały opracowane przez OBEP we Wrocławiu. Każda plansza jest osobnym rozdziałem tematycznym i stanowi doskonały materiał edukacyjny.

POSTAĆ MIESIACA

8 czerwca 1984: Bogdan Lis, czołowy działacz Solidarności, został aresztowany.

Lis, rocznik 1952, pracował fizycznie w Zarządzie Portu Gdańsk, a następnie w gdańskich zakładach Elmor. Należał do Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej i – do 1981 roku – do Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Zarazem jednak uczestniczył w protestach robotniczych w grudniu 1970 roku, a od 1978 roku działał w Wolnych Związkach Zawodowych Wybrzeża. W sierpniu 1980 roku był współorganizatorem strajku w Elmorze i – jako wiceprzewodniczący – wszedł do Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego w Stoczni Gdańskiej im. Lenina. Brał udział w przygotowaniu 21 postulatów strajkowych i był sygnatariuszem porozumień sierpniowych. Zaangażował się w tworzenie i działalność NSZZ „Solidarność”. Zasiadał m.in. w Krajowej Komisji Porozumiewawczej i prezydium Zarządu Regionu Gdańsk. W czasie stanu wojennego uniknął internowania. Został jednak zwolniony z pracy i był poszukiwany listem gończym. W kwietniu 1982 roku – wraz ze Zbigniewem Bujakiem, Wła-



➤ Bogdan Lis

dysławem Frasnikiem i Władysławem Hardkiem – powołał konspiracyjną Tymczasową Komisję Koordynacyjną NSZZ „Solidarność”. Od czerwca do grudnia 1984 roku był więziony bez wyroku. Wkrótce został ponownie zatrzymany i skazany przez Sąd Wojewódzki w Gdańsku na karę 2,5 roku więzienia, zmniejszoną później do dwóch lat. Na wolność wyszedł po amnestii z lipca 1986 roku. Zasiadał w jawnie działających strukturach nieuznawanej wówczas przez władze Solidarności. Wiosną 1988 roku został skazany przez kolegium ds. wykroczeń na karę aresztu. W sierpniu uczestniczył w strajku w kopalni Manifest Lipcowy w Jastrzębiu-Zdroju. W grudniu wszedł w skład Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie. Wziął udział w obradach Okrąglego Stołu. W wyborach czerwcowych 1989 roku z powodzeniem kandydował do senatu. W III RP był też m.in. posłem na sejm z listy Lewicy i Demokratów. W 2006 roku został odznaczony przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski.

Fot. AIPN

2 czerwca 1979: Z pierwszą pielgrzymką do Polski przybył papież Jan Paweł II.

O wizycie w PRL poważnie myślał już jeden z jego poprzedników – Paweł VI. Wówczas jednak – w 1966 roku – na przyjęcie papieża nie zgodziły się władze w Warszawie. Kilka lat później sytuacja była inna. „Jan Paweł II jest Polakiem, obywatelem Polski Ludowej i trudno odmówić mu prawa do odwiedzenia ojczyzny. Mogłoby to spowodować ostry konflikt z katolicką częścią polskiego społeczeństwa” – tłumaczył w rozmowie z Leonidem Breżniewem, przywódcą ZSRR, I sekretarz KC PZPR Edward Gierek. Komuniści chcieli też uniknąć negatywnych reakcji opinii światowej, z którą liczyli się coraz bardziej ze względu na kredyty zaciągane na Zachodzie. Władze PRL wymogły jednak przesunięcie terminu papieskiej wizyty, tak by nie zbiegła się w czasie z rocznicą męczeńskiej śmierci św. Stanisława – biskupa, który symbolizował konflikt państwa z Kościołem. Ingerowano także w trasę i program pielgrzymki. Ostatecznie Jan Paweł II odwiedził Warszawę, Gniezno, Częstochowę, Kraków, Kalwarię Zebrzydowską, Wadowice, Oświęcim i Nowy Targ. By zmniejszyć frekwencję, starano się ograniczyć środki transportu i utrudniać wiernym zwalnianie się z pracy. Telewizja nie pokazywała młodzieży i wiwatujących tłumów, lecz przede wszystkim duchowieństwo i osoby starsze. „Manipulacja była oczywista dla każdego, kto uczestniczył w jednym bodaj spotkaniu z papieżem, a ostrożne szacunki wymieniały liczbę 8–10 mln osób” – pisze w książce *Pół wieku dziejów Polski* prof. Andrzej Paczkowski. Jan Paweł II spotkał się m.in. z Gierkiem, ale równocześnie przypomniał rządzącym, że „państwo ma pomagać i służyć człowiekowi”. W czasie mszy na stołecznym pl. Zwycięstwa (dziś pl. Piłsudskiego) wypowiedział słynne słowa: „Niech zstąpi Duch Twój i odnowi oblicze ziemi, tej ziemi”. Rok później wezwanie to stało się jednym z haseł rodzącej się Solidarności.



Fot. AIPN

16 czerwca 1944: W walce z Niemcami poległ por. Jan Piwnik „Ponury”, dowódca partyzantki AK w Górach Świętokrzyskich i na Nowogródczyźnie.

W latach trzydziestych Piwnik ukończył Szkołę Podchorążych Rezerwy Artylerii we Włodzimierzu Wołyńskim i służył w Policji Państwowej. Uczestniczył w wojnie obronnej 1939 roku. Internowany na Węgrzech, zbiegł z obozu. Włączył się do Polskich Sił Zbrojnych we Francji, a później w Wielkiej Brytanii. Jesienią 1941 roku, jako jeden z pierwszych cichociemnych, został zrzucony do okupowanej Polski. Służył w Związku Walki Zbrojnej i utworzonej w jego miejsce Armii Krajowej. Był m.in. dowódcą Odcinka II (rówieńskiego) organizacji dywersyjno-wywiadowczej „Wachlarz”. Aresztowany przez Niemców, zdołał uciec z więzienia w Zwiastu. 18 stycznia 1943 roku kierował brawurową akcją rozbicia więzienia w Pińsku, skąd uwolniono m.in. innego cichociemnego – Alfreda Paczkowskiego „Wanię”. Od wiosny 1943 roku Piwnik pełnił funkcję szefa Kedywu Okręgu Radomsko-Kieleckiego AK. Jednocześnie był dowódcą Zgrupowań Partyzanckich AK „Ponury”. Zimą 1944 roku został przeniesiony na obszar Okręgu Nowogródek. Poległ pod Jewłaszami nad Niemnem w ataku na niemieckie bunkry. „Był jednym z najwybitniejszych i najwspanialszych dowódców partyzanckich” – stwierdza jego biograf Wojciech Königsberg. W komunistycznej Polsce przez wiele lat starano się jednak zacierać pamięć o „Ponurym”. W 2010 roku Jan Piwnik został pośmiertnie odznaczony przez prezydenta Bronisława Komorowskiego Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski. Dwa lata później otrzymał pośmiertny awans do stopnia pułkownika.



➤ Jan Piwnik (1912–1944)

Fot. AIPN

17 czerwca 1934: Prezydent RP Ignacy Mościcki wydał rozporządzenie pozwalające na izolowanie osób zagrażających bezpieczeństwu państwa.

Dwa dni wcześniej od kul ukraińskiego nacjonalisty zginął minister spraw wewnętrznych Bronisław Pieracki. „Rząd Rzeczypospolitej jest zdecydowany [...] sięgnąć po stanowcze środki” – mówił w odpowiedzi premier Leon Kozłowski. Z jego inicjatywy – i za zgodą marsz. Józefa Piłsudskiego – niespełna miesiąc później utworzono miejsce odosobnienia w Berezie Kartuskiej w województwie poleskim (dziś Białoruś). Zgodnie z prezydenckim rozporządzeniem miały tam trafiać „osoby, których działalność lub postępowanie daje podstawę do przypuszczenia, że grozi z ich strony naruszenie bezpieczeństwa, spokoju lub porządku publicznego”. To niejednoznaczne sformułowanie dawało pole do nadużyć, zwłaszcza że w obozie osadzano na podstawie decyzji administracyjnej, a nie wyroku niezawisłego sądu. Do Berezki Kartuskiej trafiali nie tylko komuniści, ukraińscy nacjonalisci i polscy radykalni narodowcy – a więc działacze organizacji zdelegalizowanych przez władze – lecz także ludzie związani z legalną opozycją. Na krótko został tam skierowany nawet konserwatywny publicysta Stanisław Mackiewicz, znany z krytyki polityki zagranicznej piłsudczyków. Od postanowienia o skierowaniu do Berezki Kartuskiej nie było odwołania. Rozporządzenie przewidywało, że odosobnienie może zostać orzeczone na trzy miesiące i przedłużone na dalsze trzy. W praktyce zdarzało się, że trwało jeszcze dłużej. Osadzonych upokarzano, kierowano do bezsensownej pracy, niekiedy bito.

Obóz w Berezie Kartuskiej istniał do września 1939 roku. W sumie przez to miejsce przewinęło się ok. 3 tys. osadzonych, z czego kilka lub kilkanaście osób zmarło. Na tym przykładzie propaganda PRL próbowała dowodzić, że rządy piłsudczyków były reżimem faszystowskim. Dziś historycy podkreślają, że miejsce odosobnienia w Berezie trudno porównywać z niemieckimi obozami koncentracyjnymi czy sowieckimi łagrami. Dominuje jednak opinia, że Bereza Kartuska to niechlubna karta w dziejach II RP.

Druga połowa czerwca 1984: W Warszawie powstała Federacja Młodzieży Walczącej.

Była to niezależna organizacja podziemna. „Celem działania FMW jest organizowanie młodych ludzi do walki z komunistycznym reżimem w Polsce”

– czytamy w komunikacie Komitetu Założycielskiego. Federacja zrzeszała uczniów, studentów, ale także młodych robotników – osoby, którym bliska była idea wolnej i demokratycznej Polski, a które aktywność



dotychczasowej opozycji uważały za niewystarczającą. W konspiracyjną działalność FMW włączyło się z czasem co najmniej tysiąc osób. Poza Warszawą ważne ośrodki powstały m.in. w Gdańsku i Krakowie. Osoby związane z federacją prowadziły działalność samokształceniową, wydawały i kolportowały niezależne pisma i ulotki, malowały na murach hasła wolnościowe, włączały się do licznych demonstracji. FMW wsparła np. strajki z wiosny i lata 1988 roku. W roku 1989 część jej działaczy odrzuciła ugodę władz PRL z umiarkowaną opozycją solidarnościową i wzywała do bojkotu nadchodzących – częściowo tylko wolnych – wyborów parlamentarnych. Ostatnie spektakularne akcje FMW miały miejsce na początku 1990 roku.

Federacja Młodzieży Walczącej była intensywnie rozpracowywana przez Służbę Bezpieczeństwa, a działacze spotykały niekiedy dotkliwe represje. Jacek „Wiejski” Górski z warszawskiej FMW był w styczniu 1986 roku torturowany przez „nieznanych sprawców”. 3 czerwca 1989 roku ze stawu w centrum Kętrzyna wyłowiono zwłoki Roberta Możejki, działacza FMW Warmii i Mazur.

28 czerwca 1919: W Wersalu pod Paryżem zawarto z Niemcami traktat pokojowy kończący I wojnę światową. Pod dokumentem, który wszedł w życie w styczniu następnego roku, podpisali się m.in. premierzy Francji Georges Clemenceau i Wielkiej Brytanii David Lloyd George, prezydent USA Thomas Woodrow Wilson oraz reprezentujący Polskę Ignacy Jan Paderewski i Roman Dmowski. Traktat przypieczętował powrót Rzeczypospolitej na mapę Europy i świata. Niemcy nie tylko uznały niepodległość Polski, lecz także – po latach zaborów – zrzekły się na jej rzecz Wielkopolski i Pomorza Gdańskiego. Sam Gdańsk, zamieszkały wówczas w ogromnej większości przez ludność niemiecką, uzyskał status wolnego miasta. O przynależności państwowej Warmii, Mazur i Górnego Śląska miały rozstrzygnąć plebiscyty.

Dla Niemców nie były to jedyne bolesne postanowienia. W sumie państwo to utraciło 13 proc. przedwojennego terytorium (m.in. Alzację-Lotaryngię na rzecz Francji), a także posiadłości zamorskie. Niemieckie siły zbrojne miały zostać znacznie okrojone oraz pozbawione lotnictwa, broni pancernej i okrętów podwodnych, a położona w zachodniej części kraju Nadrenia miała być obszarem zdemilitaryzowanym. Niemcy – wraz z ich sojusznikami obarczone wyłączną odpowiedzialnością za wywołanie wojny – zobowiązały się też do zapłaty odszkodowań. O utrzymanie pokoju i współpracy na świecie miała dbać nowo powołana Liga Narodów.

Niemcy od początku uznawały postanowienia traktatu wersalskiego za krzywdzące, sabotowały niektóre z nich i opowiadały się za jego rewizją. Na fali tych nastrojów w 1933 roku do władzy doszedł Adolf Hitler, który definitywnie obalił ład wersalski.



Fot. APIN

Kronika Knadbużańska

Święto Morza.

28 czerwca 1936 roku

Czy przedwojennej Polsce były potrzebne zamorskie kolonie? Zdaniem „Kroniki Nadbużańskiej” – zdecydowanie tak. Z okazji Święta Morza, obchodzonego w czerwcu 1936 roku pod hasłem „Żądamy kolonii dla Polski!”, redakcja wydawanego w Chelmie tygodnika w numerze 26 z 28 czerwca 1936 roku postanowiła przybliżyć czytelnikom kwestię pozyskania zamorskich terytoriów. „Kolonie zamorskie dla Polski to konieczność wynikająca z potrzeb dużego narodu i szczególnego ubóstwa mas pracujących”. Do podjęcia polityki kolonialnej zmuszała przede wszystkim panująca w kraju trudna sytuacja gospodarcza – niedostatek ziemi uprawnej, wzrastające bezrobocie na wsi, ale nie tylko, oraz zbyt duża liczba małych, wręcz karłowatych gospodarstw rolnych. „Wysyłanie naszych ludzi na »roboty do Niemiec« lub do innych krajów jest upokorzeniem narodowym, nie powinno mieć miejsca i nie będzie miało, jeżeli nie z naszego zrozumienia, to z warunków ekonomicznych świata, wskutek ogólnego bezrobocia” – podkreślała „Kronika”. Oczywiście kolonie miała Polska zdobywać „drogą pokojową, legalną”, a nie zbrojną. W jaki sposób? Tego już redakcja nie wyjaśniła, ograniczając się właściwie do samych ogólników: „W realizacji tego zagadnienia jesteśmy już dość daleko posunięci. Szereg Komisji badawczych, z ramienia Państwa pracuje i bada kraje zamorskie. Moc materiału informacyjnego już mamy w posiadaniu. Jeżeli teraz społeczeństwo wyrazi zgodę i zapal do czynu, to w niedługim czasie będziemy mieli własne kolonie”. Na celowniku znalazły się: Angola, która formalnie należała do Portugalii, Liberia, Peru, a nawet Brazylia... Rzecz jasna, chodziło o nawiązanie z tymi krajami współpracy gospodarczej, polegającej m.in. na wysyłaniu do Afryki i Ameryki Południowej polskich osadników i dzierżawie tamtejszych plantacji. Mimo wsparcia ze strony Ligi Morskiej i Kolonialnej, II RP nie dołączyła do grona imperiów kolonialnych.

9–15 czerwca 1940 roku

Dzięki alianckim radiostacjom nadającym audycje w języku polskim, społeczeństwo zniewolone przez III Rzeszę miało dostęp do aktualnych informacji o zmieniającej się sytuacji na froncie. Informacje te w zasadniczo różniły się od tych, które można było usłyszeć w radiu kontrolowanym przez okupanta czy też znaleźć na łamach prasy gazdiniowej, w której dominował ton nachalnej propagandy. O czym zatem donosił „Tygodnik Radiowy” – podziemne piśmiennictwo zawierające wiadomości z nasłuchu radiowego – za okres 9–15 czerwca 1940 roku? „9 VI [...] Samoloty alianckie bombardowały przedmieście Berlina i znajdujące się tam zakłady przemysłu. Jak stwierdzili lotnicy, podczas bombardowania powstała wielka panika. [...] 10 VI Włochy przystąpiły do wojny po stronie Niemców. [...] Bezpośrednio po wypowiedzeniu wojny lotnictwo alianckie bombardowało pozycje włoskie, mosty kolejowe, fabryki przemysłu wojennego, zbiorniki materiałów pędnych itd. [...] 11 VI Brak wiadomości, gdyż odbiór był bardzo silnie zakłócony. 12 VI [...] Włosi nie są jeszcze stroną atakującą i pod przewagą sił francuskich cofają się na całym froncie. Wojska alianckie zajęły włoskie wyspy Sycylię i Sycylię. Wielkie zaniepokojenie we Włoszech. [...] 13 VI Część rządu opuściła Paryż. Gubernator Paryża wywiesił odezwę do ludności, że Paryż jest miastem otwartym. [...] Premier Paul Reinau wystosował orędzie do Prezydenta Stanów Zjednoczonych z prośbą o pomoc, ze względu na powagę sytuacji. Czas wysłania orędzia zbiegł się dziwnie z mową Roosevelta, który w swoim przemówieniu zaznaczył, że udzieli szybkiej pomocy, gdyż sprawa Francji łączy się ze sprawą niepodległości Polski, jako pierwszej ofiary najazdu germańskiego. [...] 14 VI [...] Ambasador Stanów Zjednoczonych we Francji jednocześnie przydzielony został do Rządu Polskiego. Hitler chce użyć siły włoskiej do ofensywy na froncie zachodnim, czemu sprzeciwił się Mussolini. [...] Samoloty niemieckie powtórnie naruszyły neutralność Szwajcarii. [...] 15 VI Niemcy rzucili 120 dywizji na front zachodni. W ciągu ostatnich 10 dni padło ponad 1 000 000 żołnierza niemieckiego. [...] Kardynał Polski Hlond opuścił Rzym – udał się do Francji”.

Czy są nam potrzebne kolonie?

DZIENNIK POLSKI

Wyroki w procesie moskiewskim
Przedstawienie w sądzie wojskowym

23 czerwca 1945 roku

To był jeden z wielu pokazowych procesów politycznych. W dniach 18–21 czerwca 1945 roku przed sowieckim sądem wojskowym stanęło szesnastu przywódców Polskiego Państwa Podziemnego, m.in. gen. Leopold Okulicki – komendant organizacji wojskowej „Nie” i ostatni dowódca Armii Krajowej, Jan Stanisław Jankowski – wicepremier i Delegat Rządu na Kraj, Adam Bień – pierwszy zastępca Delegata Rządu na Kraj i członek Krajowej Rady Ministrów oraz Stanisław Jasiukowicz – zastępca Delegata Rządu na Kraj i minister dla spraw kraju. „Dziennik Polski” w numerze 136 z 23 czerwca 1945 roku zamieścił na pierwszej stronie informację streszczającą przebieg tego zaledwie kilkudniowego, wyreżyserowanego procesu. O co zostali oskarżeni? „Ośmielili się oni porwać na żołnierzy Armii Czerwonej. Ludzie ci złączyli byli z Niemcami wspólną nienawiść do Związku Radzieckiego. Działalność ich była inspirowana przez »rząd« emigracyjny [...] Organizowali oni terror, dywersję i oszczerczą propagandę przeciw Związkowi Radzieckiemu. [...] Celem działalności Okulickiego i Jankowskiego było przygotowanie terenu dla powstania wymierzonego przeciw Związkowi Radzieckiemu i mobilizacja sił dla dokonywania aktów terroru i prowadzenia wywiadu”. Zdaniem komunistycznego „Dziennika Polskiego”, wyrok mógł być tylko jeden: „Okulicki, Jankowski, Bień i Jasiukowicz zasłużyli na rozstrzelanie. Nie zostaną jednak rozstrzelani, nie dlatego, że postępowali w myśl instrukcji »rządu« emigracyjnego i spełniali jego rozkazy, lecz dlatego że Związek Radziecki jest dziś tak potężny, że przeżywa radośnie i triumfalnie największe zwycięstwo, osiągnięte nad niemieckim faszyzmem przez Armię Czerwoną i armie sojusznicze”. Oskarżeni otrzymali wyroki od 10 lat (Okulicki) do kilku miesięcy więzienia; trzy osoby zostały uniewinnione. Większość oskarżonych wróciła do Polski jesienią 1945 roku. Okulicki, Jankowski i Jasiukowicz zostali zamordowani lub zmarli w sowieckich celach.

nadodrza

7–20 z czerwca 1970

XIII Zjazd Pisarzy Ziem Zachodnich i Północnych, zorganizowany w Zielonej Górze w czerwcu 1970 roku, odbił się szerokim echem w prasie krajowej. Na pierwszej stronie 12 numeru „Nadodrza”, dwutygodnika społeczno-kulturalnego, ukazał się fragment referatu wygłoszonego podczas zjazdu przez prof. Władysława Markiewicza. Podczas wystąpienia dyrektor Instytutu Zachodniego w Poznaniu wskazał na niezwykle ważną funkcję, jaką w rozwoju oświaty i szeroko pojętej kultury na tzw. Ziemiach Odzyskanych spełnił nauczyciel – zarówno ten wiejski, jak i małomiasteczkowy. Markiewicz pisał: „Kulturotwórcza rola szkoły i pedagogów na Ziemiach Zachodnich zaznaczyła się wyjątkowo wyraźnie w dziedzinie językowej. Wprawdzie od początku język polski zajął pozycję dominującą w społeczności osadników, jednakże utrzymywały się odrębności gwarowe i nierzadko zjawisko dwujęzyczności. Upowszechnienie dzięki szkole języka polskiego – literackiego – oznaczało [...] dokonanie na skalę olbrzymią repolonizacji szerokich rzesz ludzkich i podniesienie na wyższy poziom ich samowiedzy narodowej”. Markiewicz podkreślał, że po powrocie tych ziem do Polski nastąpił dynamiczny rozwój szkół typu akademickiego oraz filii i punktów konsultacyjnych wyższych uczelni. Zaznaczył także, że nad Bałtykiem, Odrą i Nysą Łużycką studiuje bez mała 100 tys. osób, a więc tyle, ile przed wojną w całej III Rzeszy. Zielonogórski zjazd był ostatnią imprezą tego typu, organizowaną od 1958 roku w różnych miastach tzw. Ziem Odzyskanych, która od samego początku miała charakter polityczno-propagandowy i antyrewizjonistyczny. Kilka miesięcy później, w grudniu 1970 roku, kanclerz Willy Brandt i premier Józef Cyrankiewicz podpisali Układ między PRL i RFN o podstawach normalizacji wzajemnych stosunków, w którym zachodniemiecki rząd uznał zachodnie granice Polski za ostateczne i nienaruszalne. W związku z tym kolejne zjazdy nie miały już racji bytu.

O KULTURZE NAD ODRA I BAŁTYKIEM

Radość na śmietniku

Krzysztof Gottesman

Dziwnie wyglądają w tym roku obchody rocznicy czerwcowych wyborów. Tym dziwniej, że okazja jest wyjątkowa, bo od wyborów minęło 25 lat. Władze i największe media robiły i robią wszystko, by królowała atmosfera radości i zabawy. Większości jednak nie przekonały. Co się dzieje?

Co jakiś czas toczy się w Polsce dyskusja, kiedy mamy obchodzić i świętować nasze zerwanie z realnym socjalizmem, ponowne odzyskanie

wolności. Padają różne daty: oprócz 4 czerwca – również rocznice pierwszych powszechnych wyborów pre-

zydenckich w 1990 roku albo o rok późniejszych pierwszych wolnych wyborów parlamentarnych. Dla nie-



których ważne jest powołanie rządu Tadeusza Mazowieckiego, przywrócenie nazwy Rzeczpospolita Polska czy wejście w życie nowej konstytucji. Są środowiska, które mają jeszcze inne pomysły. Odnoszę jednak wrażenie, iż dominuje przekonanie, że nie ma czego świętować. Powodem jest brak dostatecznego zerwania z PRL i rozczarowanie III RP. Uważam, że oba przekonania są niesłuszne i niesprawiedliwe. Pisałem o tym już kilka razy, ale wydaje mi się, że warto przy okazji tak okrągłej rocznicy pewne argumenty powtórzyć, a także dodać kilka nowych.

Najpierw jednak pewne zastrzeżenie. Doskonale rozumiem opór czy wstrzeźliwość udziału w tym odgórnie, jednostronnie i nachalnie organizowanym, powszechnym karnawale. Musimy być świadomi kilku rzeczy. Po pierwsze, że dzisiejsza Polska nie tylko nie spełniła marzeń i oczekiwań wielu ludzi sprzed ćwierci wieku, lecz także jest państwem dalece niedoskonałym, więcej nawet – dla wielu ludzi nieprzyjaznym. W takiej sytuacji wykorzystywanie przez rządzących rocznicy czerwca 1989 roku, przypisywanie sobie wyłącznych zasług, a także niejako przenoszenie do dnia dzisiejszego radości z tamtych dni, nie jest fair.

Ale z drugiej strony, jeśli tęsknimy za listopadem 1918 roku, chcemy mieć swój współczesny mit założycielski, to czy nie powinniśmy z dystansem i bez zacierzawienia spojrzeć na tamten czerwiec? Więcej – przypomnieć sobie siebie samych. Wyjątkowość czerwca '89 w szeregu innych przełomowych dat polega przede wszystkim na tym, że najważniejsi w nim byli ludzie. Zwykli ludzie, którzy wówczas dokonali wyboru. Choć, jak na tak wyjątkową chwilę, do urn nie poszło nas aż tak wielu, bo tylko 62 proc., to jednak wynik był jednoznaczny. Odrzuciliśmy PRL, a może uczciwiej byłoby powiedzieć – zwłaszcza gdy jest się bogatszym o wiedzę o latach późniejszych – odrzuciliśmy taką Polskę, jaka była wówczas.

Dobrze tę Polskę pamiętam. Dalece ograniczoną wolność i suwerenność, biedę, brak perspektyw, zakłamanie, również przemoc fizyczną. Atmosferę duszności, która obejmowała wszystkie dziedziny życia. Przebieg kampanii wyborczej przed 4 czerwca był jak otworzenie okna. Same wybory oraz ich jednoznaczny wynik sprawiły, że okno pozostało otwarte. I jest otwarte do dziś.

Mam swoją teorię, którą tłumaczę tak wielką niechęć do cieszenia się. W skrócie sprowadza się ona do stwierdzenia, że zostaliśmy przez PRL bardzo mocno i głęboko przetrąceni. Do dziś nie potrafiliśmy go z siebie wyrzucić. Mentalnie przede wszystkim. Robione przy okazji obecnej rocznicy badania demoskopijne pokazują, że grupy Polaków pozytywne i negatywnie oceniające PRL są mniej więcej równe. Nie jest to nic nowego, podobnie przedstawiają się odsetki oceniających stan wojenny czy działalność płk. Ryszarda Kuklińskiego – wszystkie porównujące dzisiejszą Polskę z PRL.

Polska Ludowa była bez wątpienia państwem policyjnym, represyjnym, wymuszającym na swych obywatelach posłuszeństwo i karzącym niepokornych. Ale czy tylko tym możemy tłumaczyć przeróżne akty identyfikowania się z nim? Pisałem przed miesiącem o pochodach pierwszomajowych. Naprawdę, nie trzeba było być wielkim bohaterem, by nie brać w nich udziału. A jednak miliony chodziły, miliony zapisały się do PZPR. A były też takie chwile, gdy partyjni przywódcy cieszyli się ogromnym i autentycznym poparciem społecznym. Tak było w październiku 1956 roku, gdy Gomułka wrócił do władzy.

Piszę ten tekst w dniu, gdy rozeszła się i po chwili została zdementowana wiadomość o śmierci gen. Wojciecha Jaruzelskiego. W momencie oddawania pisma do druku były dyktator rzeczywiście już nie żył. Postać to dla mnie jednoznacznie negatywna, a przy tym niesympatyczna, wiarogłonna i wbrew własnym deklaracjom

tchórzliwa. A jednak jego los po 1989 roku symbolizuje stosunek sporej części społeczeństwa do PRL. Trochę potępienia, trochę zrozumienia, a także wcale nie tak mało uznania. Toczące się latami procesy bez żadnej konkluzji i udział w oficjalnych spotkaniach. Demonstracje pod domem 13 grudnia i autentyczne wyrazy sympatii. Sam się złościłem, gdy czytałem zakłamaną i nieuczciwą książkę córki Jaruzelskiego, wspominającej wspaniałego jakoby ojca. Jeszcze bardziej byłem wściekły, gdy widziałem, jak wysoko na liście książkowych bestsellerów umieścili ją czytelnicy. A teraz wychodzi drugi tom tych wspomnień, gdzie – choć generał okazuje się mieć więcej wad – w zasadniczych sprawach ocena się nie zmienia. I znowu powodzenie zapewnione.

Bo mamy w sobie dwie legendy o PRL. Pierwsza heroiczna, odwołująca się tylko do oporu wobec komunizmu, Żołnierzy Wyklętych, robotników z Poznania, Wybrzeża, Ursusa, Radomia. Ciągły opór, tylko agenci współpracowali. Nieustające „Precz z komuną”. Ale jest druga, wynikająca po trosze z dzisiejszych trudności i rozczarowań, a także z własnych wspomnień. Pewnej pracy, służby zdrowia, wczasów za grosze.

Najciekawsze – a dla mnie najsmutniejsze – jest to, że te dwie legendy doskonale ze sobą współlistnieją, przeplatają się. Więcej, mnóstwo jest takich ludzi, którzy potrafią obie zmieścić w sobie. Po 4 czerwca nic się nie zmieniło – mówią głośno – wciąż żyjemy w komunie, ale ten PRL nie był taki zły – odpowiadają w pogłębionych badaniach. Taki śmietnik.

Juliusz Kaden-Bandrowski ukuł powiedzenie o radości z odzyskane-go w 1918 roku śmietnika. Pomyślmy, czy 4 czerwca nie przeżyliśmy czegoś podobnego? A może raczej, czy nie powinniśmy tego przeżyć? I zając się tym śmietnikiem. Porządkować go. 🍷

CHŁOPCZYK

CZY DZIEWCZYNNKA?

Radosław Poboży



Fot. AIPN

W trakcie porządkowania archiwum filmowego, przekazanego przez Urząd Ochrony Państwa w Warszawie, archiwiści Instytutu Pamięci Narodowej natknęli się na 75 niewywołanych rolek kolorowego i czarno-białego filmu 16 mm z 1968 roku. Jak się okazało po wywołaniu taśm filmowych i przeprowadzeniu kwerendy, były to materiały zrealizowane przez francuską ekipę filmową stacji RTF, które funkcjonariusze polskiej służby celnej zarekwirowali na lotnisku Okęcie w Warszawie. Część materiałów dotyczyła dr. Franciszka Benendy, znanego na całym świecie badacza zajmującego się problemem determinacji płci.

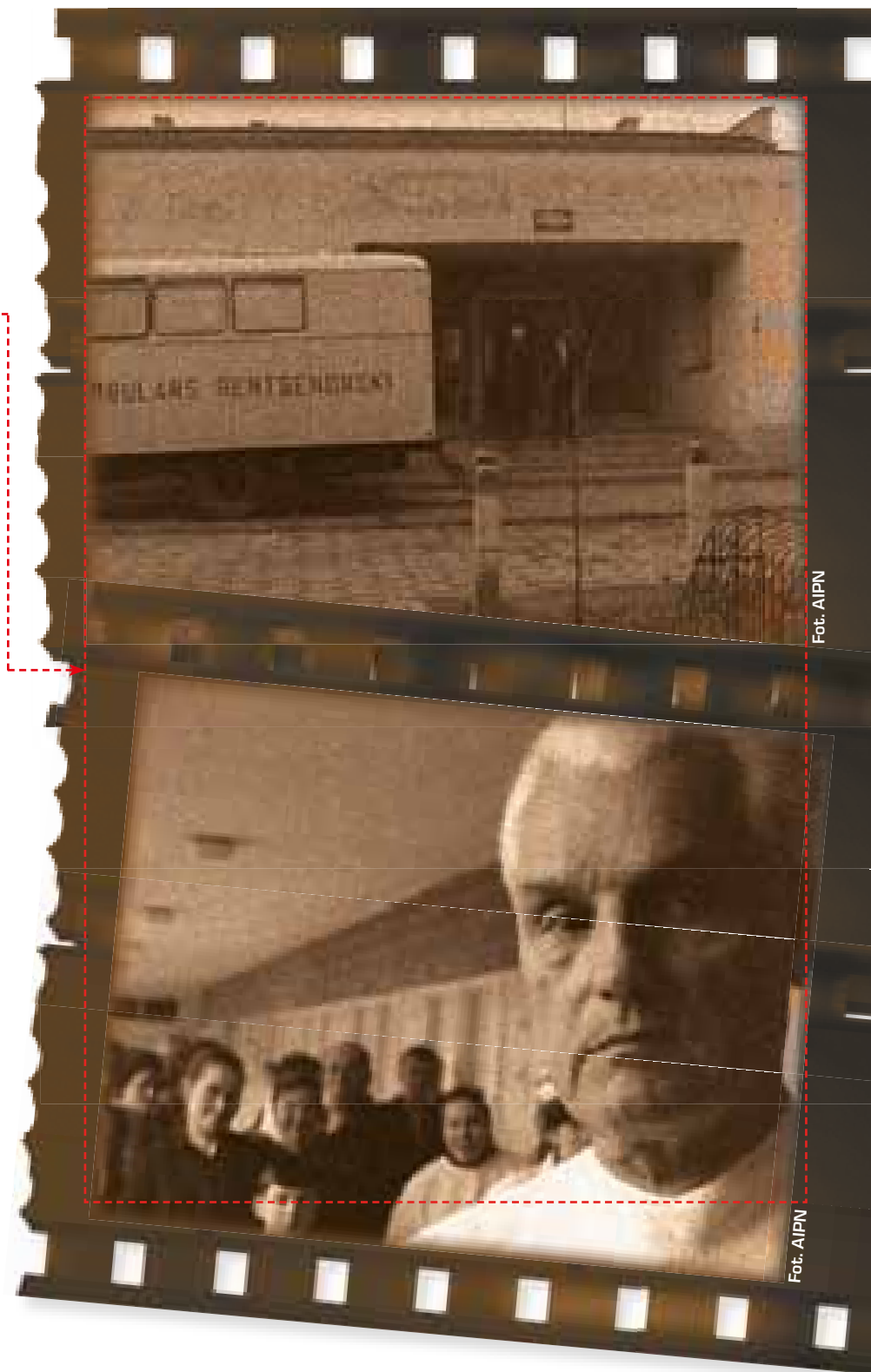
Franciszek Benendo, urodzony 17 września 1906 roku w Świdrach na Podlasiu, po ukończeniu medycyny na Uniwersytecie Warszawskim w 1934 roku został lekarzem wojskowym. W czasie wojny uczestniczył w kampanii wrześniowej, a następnie był członkiem Armii Krajowej. W 1990 roku w rozmowie z „Tygodnikiem Ciechanowskim” wspominał, że z powodów zdrowotnych wybrał specjalizację radiologa, choć pierwotnie pragnął zostać ginekologiem.

Już w okresie międzywojennym łączył pracę zawodową w Szkole Podoficerów w Śremie z badaniami nad problemami determinacji płci i metodami zapobiegania ciąży. Pierwsze wyniki swoich badań opublikował na łamach „Nowin Lekarskich” w 1937 roku. W tym samym okresie opatentował własną metodę antykoncepcyjną – tzw. czapeczki. Pomysł wynalazku narodził się, kiedy – będąc młodym lekarzem – widział umierające matki, próbujące usunąć niechciane ciążę. Po wojnie nie powrócił do prac nad środkiem zapobiegającym niechcianej ciąży. Związane to było m.in. ze śmiercią jego współpracownika i zniszczeniami wojennymi. Poza tym – jak to określił – „wojna wyniszczyła naród, trzeba było go odbudować oraz pokonać opór ze strony Kościoła”. Uważał, że „musimy też kochać się, gdyż i tę rozkosz Bóg nam podarował. Inaczej będą wojny. [...] przerywanie ciąży jest zbrodnią większą od wojen [...] gdyby dziś Bóg

się nam objawił, na pewno zachęciłby swe dzieci do antykoncepcji”. Do końca swych dni był wielkim orędownikiem swojej wizji świata. Twierdził, że wszelkie ustawy zakazujące usuwania niechcianej ciąży będą martwe bez skutecznej polityki antykoncepcyjnej państwa i Kościoła.

Po wojnie przez dwanaście lat pracował we Wrocławiu, specjalizując się w chorobach płuc i radiologii. **W 1957 roku przeniósł się do Płońska, gdzie rozpoczął prace jako radiolog w przychodni obwodowej.** Jednocześnie kontynuował badania nad problemem determinacji płci, których rezultatem była praca doktorska „Zagadnienia determinacji płci u ludzi w świetle własnych badań”, obroniona 1965 roku. Streszczenie tej pracy ukazało się w „Endokrynologii Polskiej” w 1970 roku, a obszernie omówienie – dwa lata później w „Medical Word News”. O swojej pracy Benendo mówił niewiele: „Moja zasada determinacji płci jest prosta. Stosunki na 3–5 dni przed owulacją dają płeć żeńską, zaś na jeden dzień przed oraz w czasie owulacji – męską. Po bliższe informacje zapraszam zainteresowanych do siebie” – mówił we wspomnianym wywiadzie. Podobne wyniki uzyskał amerykański profesor Landrum Shettles prowadzący swe badania równoległe z Benendą.

Doktor Franciszek Benendo znany był także z działalności społecznej. Po pożarze w 1970 roku zainicjował odbudowę przychodni w Płońsku. Na emeryturze organizował zajęcia, spotkania i wigilie dla osób samotnych w ramach Polskiego Komitetu Pomocy Społecznej oraz Związku Emerytów, Rencistów i Inwalidów. Działalność ta zwróciła uwagę Służby Bezpieczeństwa. 21 stycznia 1980 roku, w związku z pełnieniem przez dr. Benendę roli przewodniczącego Wojewódzkiego Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Społecznego w Ciechanowie z siedzibą w Płońsku SB założyła doktorowi kwestionariusz ewidencyjny o kryptonimie „Inicjator”. Funkcjonariusz Wydziału IV KW MO w Ciechanowie, ppor. Wiesław Jasiński, tak scharakteryzował



Fot. AIPN

Fot. AIPN

doktora: „Wymieniony należał w przeszłości do grupy aktywu katolickiego w parafii w Płońsku i czynnie angażował się do akcji kościelnych na rzecz parafii. Był inicjatorem powołania katolickiej poradni rodzinnej [...]. Pro-

wadził szeroką działalność społeczną w ramach służby zdrowia i został odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Obecnie jest praktykującym katolikiem, ale nie angażuje się do działalności kościelnej oraz ➤



Fot. AIPN



Fot. AIPN

nie utrzymuje kontaktów z miejscowym klerem”. Dalej czytamy: „warunki materialne dr. Benedo są bardzo dobre, posiada własny dom z ogrodem [...] prowadzi w dalszym ciągu prywatną praktykę lekarską, bowiem ma własny gabinet rentgenologiczny [...]. Jest człowiekiem prostolinijnym, szczerym i inteligentnym [...] pasją jego życia jest planowanie płci przyszłego dziecka i na tym polu miał duże osiągnięcia, co przyniosło mu sławę w kraju i za granicą oraz spopularyzowało jego nazwisko”.

Na filmie jawi się jako człowiek życzliwy, oddany i poważany w swojej społeczności. Może to wynikać z faktu, że dr Franciszek Benendo, jak pisze Teresa Kaczorowska, „był najmłodszym, piątym z kolei dzieckiem w rodzinie. Niechcianym, nieoczekiwanym. Za to później bardzo czułym i dobrym dla swojej matki. I właśnie matka, kiedyś w chwili szczerości, powiedziała mu, jak wspomina dr Benendo w artykule w »Tygodniku Ciechanowskim«: »Czy wiesz, że ja nie chciałam cię urodzić? Czy możesz uwierzyć, że kiedy zaszłam z tobą w ciążę, pragnęłam się pozbyć płodu?«”. Dzisiaj możemy się tylko domyślać czy te słowa rzeczywiście wpłynęły bezpośrednio na rozwój zainteresowań dr. Benendy. Na pewno były jednym z wielu czynników, które związały go z Towarzystwem Świadomego Macierzyństwa i Planowania Rodziny. Organizacja została założona w roku 1957. Miała na celu wspieranie edukacji seksualnej młodzieży, udzielania pomocy i wsparcia osobom oraz parom w sytuacjach kryzysowych, a także zapewnienie opieki w „zakresie zdrowia seksualnego”. Z towarzystwem związani byli seksuolodzy, m.in.: prof. Mikołaj Kozakiewicz, Kazimierz Imieliński, Michalina Wisłocka i Zbigniew Lew-Starowicz.

Tak o wychowaniu seksualnym Polaków po 1956 roku pisze Marcin Kula we wstępie do książki *Kłopoty z seksem w PRL*: „Polska, czyli kraj od 1956 r. w ogóle znacznie mniej przestrzegający doktryny niż inni »bracia« i czyniący ją coraz bardziej mętną, w sprawach rodzenia dzieci nie miała, jak się zdaje, wyraźnej polityki. Działała pod wpływem

doraźnych potrzeb i tendencji. Najpierw trzeba było zwalczyć plagę chorób wenerycznych, będących [...] jedną z pozostałości wojny, a także konsekwencją powojennych ruchów ludności, przekształceń, zachwiania norm. Potem budowano Nową Hutę, a nie produkowano środków antykoncepcyjnych”. Dalej pisze, że po 1956 roku „realne życie przypominało o sobie. Zaczęto mówić o planowaniu rodziny, powołano pewne stowarzyszenia i instytucje działające w tym zakresie”.

Jak możemy przeczytać w publikacji Doroty Pauluk *Modele ról kobiety w podręcznikach do wychowania seksualnego*, z początkiem lat siedemdziesiątych w wielu publikacjach dotyczących seksualności Polaków wskazywano na procesy dezintegracji i patologii polskiej rodziny. Powołany w 1971 roku Komitet Ekspertów m.in. krytycznie ocenił funkcjonujący system szkolny. W tym celu powołano do życia liczne placówki, które miały się zająć rozwijaniem kultury życia rodzinnego i współżycia seksualnego.

W wyniku działalności towarzystwa w 1973 roku Ministerstwo Oświaty i Wychowania wprowadziło do końcowych klas szkół średnich przedmiot fakultatywny „Przysposobienie do życia w rodzinie socjalistycznej”. Był to pewien krok naprzód, gdyż do połowy lat pięćdziesiątych pomijano temat seksu, erotyki i antykoncepcji.

Seksuolodzy stanęli przed nie lada wyzwaniem, jakim było wychowanie seksualne społeczeństwa polskiego. Swoistym przykładem tej sytuacji był fakt, że pracownicy warszawskiej poradni młodzieżowej założonej w 1968 roku napotykały wiele problemów podczas udzielania porad m.in. dotyczących antykoncepcji. Pojawiły się sugestie, aby dziewczętom poniżej 18 roku życia udostępniać środki antykoncepcyjne tylko wtedy, kiedy przyjdą z matką. Sugestie takie pochodziły od osób, które w sposób zawołany dążyły do likwidacji poradnictwa tego typu. Podobny przypadek opisuje w swojej książce Michalina Wisłocka „Pamiętam również wykłady »w terenie«, na które jeździłam razem z profesorem. Zdarzyło się kiedyś, że organizatorzy mu-

sieli wyprowadzić nas cichaczem tylnym wyjściem oraz odwozić samochodem do Warszawy (było to w miejscowości podwarszawskiej), ponieważ od frontu zaczęła się grupa »dyskutantów«, uzbrojonych w śmierzące jajka i zgniłe pomidory”.

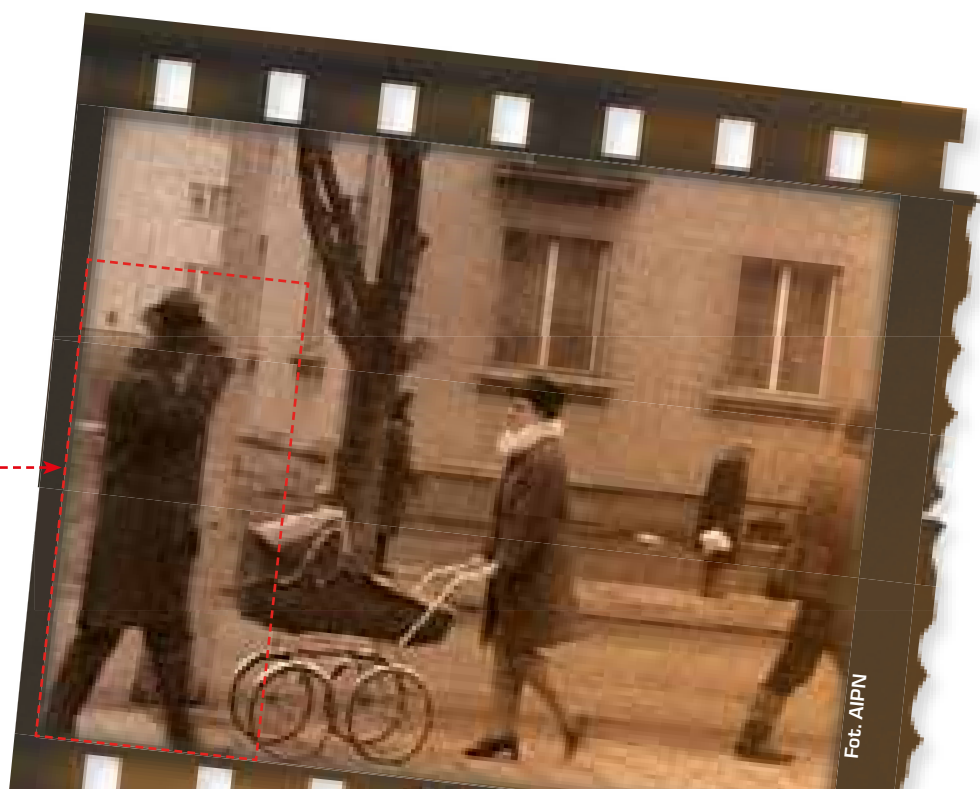
Franciszek Benendo zmarł jesienią 2001 roku. Jego córka, prof. dr hab. Bo-

gusława Benendo-Kapuścińska, tak wspomina swojego ojca: „Do końca był człowiekiem czynu, pełnym optymizmu i wiary w człowieka. Zachował jasność umysłu i wielkie serce, kochał ludzi i życie”.

Radosław Poboży – historyk, pracownik Biura Udziału w Archiwizacji Dokumentów IPN



Fot. AIPN



Fot. AIPN

Praca Służby Bezpieczeństwa wymagała lokali, w których funkcjonariusze mogli się spokojnie, z zachowaniem zasad konspiracji, spotykać ze swoimi współpracownikami. Ponieważ Ministerstwo Spraw Wewnętrznych nie dysponowało wystarczającą liczbą miejsc tego rodzaju, korzystało albo z pomocy osób prywatnych, albo z pomieszczeń rozmaitych instytucji.

Pomieszczeń używano SB z pobudek ideologicznych bądź dla pieniędzy. Dyspenci lokali kontaktowych (konspiracyjnych), a w razie konieczności również członkowie ich rodzin, byli poddawani opracowaniu. Obowiązywała więc podobna procedura, jak w wypadku tajnych współpracowników. O ile jednak formalnie nie wolno było werbować członków Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej do pracy jako TW, o tyle wobec osób używających Służbie Bezpieczeństwa lokali takie ograniczenie nie obowiązywało.

Przed pozyskaniem mieszkania prowadzono wizję lokalną, przygotowywano również stosowny wniosek z uzasadnieniem. Kolejnym etapem było przeprowadzenie rozmowy werbunkowej. Od właściciela mieszkania, a w razie potrzeby również od zamieszkałych z nim osób, pobierano pisemne zobowiązanie o zachowaniu w tajemnicy udostępnienia lokalu na potrzeby SB.

Mieszkanie lub jego część (zazwyczaj pokój) wynajmowano najczęściej na podstawie umowy. Zawierała ona zasady korzystania z lokalu przez funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa, w tym wysokość uiszczanych przez SB opłat za najem i użytkowanie mediów czy harmonogram korzystania przez funkcjonariuszy z lokalu – przeważnie były to dni i godziny, w których nikogo z mieszkańców w nim nie było. W razie potrzeby ustalano również system łączności, np. w celu powiadamiania właściciela lokalu o zamierzonym skorzystaniu z niego.

Po pozyskaniu mieszkania (lub jego części) sporządzano raport „z dokona-

nego pozyskania lokalu kontaktowego / konspiracyjnego”. Załączano do niego m.in. zawartą wówczas umowę.

Lokale kontaktowe wynajęte przez resort spraw wewnętrznych były rejestrowane (podobnie jak ich właściciele) w Biurze „C” Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, czyli w archiwum. Zakładano im też stosowne teczki, w których zbierano dokumentację wykorzystania.

Obok przykład umowy o korzystaniu z lokalu, zawartej w kwietniu 1968 roku z Mieczysławem Cholewą, właścicielem mieszkania przy ulicy Marszałkowskiej w Warszawie. Nie była to zresztą pierwsza tego rodzaju umowa zawarta z nim przez Służbę Bezpieczeństwa. W latach 1960–1963 używał on już bowiem swojego mieszkania na potrzeby SB. Zrezygnowano z niego, gdyż adres ten był znany jednemu z tajnych współpracowników, który wyemigrował do Izraela i miał się tam przyznać do swej współpracy ze Służbą Bezpieczeństwa. W MSW obawiano się więc, że mógł on również ujawnić fakt korzystania z lokalu kontaktowego „Odra” – pierwotnie taki bowiem kryptonim nadano mieszkaniu używanemu SB przez Cholewę. Po pięciu latach uznano jednak, że można ponownie bezpiecznie z tego lokum skorzystać. Sprzyjał temu fakt, że jego właściciel – zatrudniony w Zjednoczeniu Żeglugi Śródlądowej i Stoczni Rzecznych wyjeżdżał wraz z żoną i córką na placówkę zagraniczną do Korei, a jego synowie uczyli się we Wrocławiu i do Warszawy przyjeżdżali jedynie od czasu do czasu. Mieszkanie, jak stwierdzano,

było potrzebne SB „do spotkań z tajnymi współpracownikami i [osobowymi] źródłami informacji z resortu Min[isterstwa] Żeglugi”. Tym razem nadano mu kryptonim „Barka”.

W 1971 roku, zapewne w związku z powrotem Cholewów do kraju z placówki zagranicznej, ograniczono korzystanie przez SB z lokalu do jednego pokoju – stołowego. W związku z tym obniżono również wysokość opłat ponoszonych przez Służbę Bezpieczeństwa – z 428,80 do 250 zł. Suma ta nie wydaje się wielka – szczególnie w zestawieniu z przeciętnymi płacami – w 1963 roku wynosiły one 1763 zł, a w 1971 roku 2358 zł. Trzeba jednak pamiętać również, że w okresie PRL opłaty za mieszkania były wręcz śmiesznie niskie. Według danych Głównego Urzędu Statystycznego przeciętne wydatki gospodarstwa domowego na mieszkanie, obejmujące czynsz i świadczenia, ale też jego urządzenie (meble, sprzęt gospodarstwa domowego i inne) w roku 1968 stanowiły 6,5 proc. całości kosztów utrzymania. Wynosiły miesięcznie niespełna 69 zł w przeliczeniu na jedną osobę w gospodarstwie domowym. Koszty te wzrosły w 1971 roku i wynosiły już ponad 146 zł, czyli blisko 10 proc. całości kosztów utrzymania. Jeżeli mieszkanie Cholewów było kwaterekowe (na co wskazuje lokalizacja i metraż), to jego utrzymanie było zresztą jeszcze tańsze. Pieniądze zatem wypłacane przez SB w pełni pokrywały koszty eksploatacji lokali (w tym opłat za media) i stanowiły dodatkowy – zapewne nieopodatkowany – dochód ich właścicieli.

Lokal przy Marszałkowskiej wykorzystywano do maja 1972 roku. Zrezygnowano z niego, gdyż – jak tłumaczono w jednym z dokumentów – „z uwagi na duże zagrożenie osób zamieszkałych w tym mieszkaniu, które przy tym prawie przez cały dzień przebywają w domu”, niemożliwe było zachowanie konspiracji działań. ❄

dr Grzegorz Majchrzak – historyk, pracownik BEP IPN, zajmuje się m.in. badaniami dziejów aparatu represji i opozycji demokratycznej

Fot. AIPN

Najwyższa klauzula tajności

Warszawa, dnia 19. kwietnia 1968 r.

Tajne - specjalnego oznaczenia

Egz. pojedynczy

Mieczysław Cholewa
– wieloletni członek
partii (od 1945 roku
w Polskiej Partii
Robotniczej, w latach
1948–1956
etatowy pracownik
Komitetu Centralnego
Polskiej Zjednoczonej
Partii Robotniczej),
naczelnik Wydziału
Kadr w Zjednoczeniu
Żeglugi Śródlądowej
i Stoczni Rzecznych

U M O W A
o korzystaniu z lokalu

Lokal w centrum
Warszawy, na
piątym piętrze,
składający się
z trzech pokoi,
kuchni, łazienki
i przedpokoju

Data 19. IV 1968r. została zawarta umowa pomiędzy
właścicielem lokalu Mieczysławem Cholewą, zam.
Warszawa, Marszałkowska 27/35 w 4A a Służbą Bezpie-
czeństwa MSW.

Wraz z żoną i córką
wyjeżdżał do Korei,
oddelegowany
przez resort żeglugi


Właściciel wspomnianego lokalu ob. Mieczysław
Cholewa w związku z wyjazdem na placówkę na granicy wraz
z rodziną oddaje do dyspozycji MSW całe swoje mieszkanie -
wraz z 1/30 Jednocześnie zgodę na jego użytkowanie dla celów
służbowych przez Organ MSW.

Na utrzymaniu
męża

Jednocześnie właściciel lokalu ob. Mieczysław
Cholewa oraz jego żona Janina Cholewa
zobowiązują się zachować w ścisłej tajemnicy fakt korzystania
z ich mieszkania przez Służbę Bezpieczeństwa MSW.

Warunkiem
przydatności
lokalu dla SB było
zachowanie
informacji o jego
wykorzystaniu
w tajemnicy

- a/ nie niszczyć urządzeń znajdujących się w lokalu w trakcie jego użytkowania,
- b/ pokryć koszty materiałów wynikłe z ewentualnych uszkodzeń urządzeń mieszkania wynikłych z winy korzystającego pracownika MSW /PMS/ nie ponosi odpowiedzialności za ewentualne skutki włamania - kradzieży/.
- c/ płacić miesięczny czynsz mieszkaniowy w wysokości 428.00 oraz za zużycie energii elektrycznej i gazu jako rekompensatę za użytkowanie lokalu.

Podpis
pracownika MSW


Podpis
właściciela lokalu

Cholewa Mieczysław

Mściwe oblicze „ojca narodu”

O mało znanej twarzy Edwarda Gierka mówi

Arkadiusz Kutkowski w rozmowie z Pawłem Sasanką

Na uczestników protestów z czerwca 1976 roku, mniej gwałtownych i o mniejszym zasięgu niż tych z czerwca 1956 czy grudnia 1970 roku, spadły dużo ostrzejsze represje niż podczas wcześniejszych „polskich miesięcy”. Możemy mówić o paradoksie?

Możemy. W Radomiu po spacyfikowaniu protestu spośród 654 zatrzymanych tzw. sądowym trybem postępowania objęto 255 osób, czyli bez mała 40 proc. ogółu, a jeśli w statystykach tych uwzględnić także 212 ukaranych przez kolegium ds. wykroczeń,

to okaże się, że przez tryby peerelowskiej maszyny szeroko rozumianego „wymiaru sprawiedliwości” przewinęło się wówczas 80 proc. spośród nich. Dla porównania: po czerwcu 1956 roku w Poznaniu na ławach oskarżonych zasiadło tylko 22 spośród 802 zatrzymanych. O wyjątkowej restrykcyjności polityki karnej w Radomiu decydowała też wysokość orzekanych kar, sięgająca nawet 10 lat pozbawienia wolności. W Poznaniu najwyższy wyrok opiewał na sześć lat.

Dlaczego tak się stało?

Znowu paradoks, ale przyczyny upatrywałbym w sukcesie protestujących, zmuszeniu ekipy Gierka do wycofania się z podwyżek – i to na dodatek po protestach okupionych stosunkowo niewielkimi stratami materialnymi i ludzkimi. Gierek, który chyba wierzył w to, że stanowi kolejną inkarnację „ojca narodu”, bunt przeciw swojej polityce zinterpretował bardzo emocjonalnie, czego dowodziła chociażby jego słynna wypowiedź w czasie telekonferencji z I sekretarzami komitetów wojewódzkich PZPR. Dzień po proteście, 26 czerwca 1976 roku, Gierek mówił: „Trzeba będzie zebrać tam radomiaków i powiedzieć im, jak my ich nienawidzimy, jacy to są łajdacy [...]. Uważam, że im więcej będzie słów bluźnierstwa pod ich adresem, tym lepiej dla sprawy. To musi być atmosfera pokazywania na nich jak na czarne owce, jak na ludzi, którzy powinni się wstydzić, że w ogóle są Polakami, że w ogóle po świecie chodzą”. No, jeśli takie słowa padają z ust I sekretarza rządzącej partii komunistycznej, to nie ma przebaczyć. Partia, a w ślad za nią i całe państwo, muszą stanąć na baczność i wolę towarzysza I sekretarza wypełnić. Najpierw szukając „warcholów” i „chuliganów”, którzy zakłócili „dialog partii z narodem”, a potem karząc ich – możliwie najsurowiej, by potwierdzić tezy partyjnej propagandy. Nie przypadkiem olbrzymia część skazanych miała przypisane działanie o charakterze chuligańskim, a więc – jak to ujmował ówczesny kodeks karny – „bez powodu, lub z oczywiście błędnego powodu, okazując przez to rażące lekceważenie podstawowych zasad porządku prawnego”. Zdesperowani, zrozpaczeni podwyżkami ludzie wychodzą na ulice, by manifestować swoje niezadowolenie, a sądy potem stwierdzają, iż działali „bez powodu”, bo – to cytując z wyroku Sądu Wojewódzkiego w Radomiu – „nie można zaliczyć uchwały Sejmu w sprawie zapowiedzianych konsultacji cenowych ze społeczeństwem nawet do oczywiście błędnego powodu”. Absurd zupełny, ale zgodny z wykładnią narzuconą przez rozgiewanego Gierka.



► Uwiecznieni na zdjęciach SB młodzi robotnicy na wózkach akumulatorowych z flagami narodowymi stali się symbolem robotniczej rewolty; wielu z nich zapłaciło wysoką cenę za swój udział w proteście



Arkadiusz Kutkowski (ur. 1958) – absolwent Wydziału Prawa na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, przez wiele lat dziennikarz lokalnej prasy w Radomiu. Jako członek Komisji Rehabilitacji Czerwiec '76 zajmował się problematyką represji po proteście robotniczym w Radomiu. Od 2007 roku pracownik OBEP Lublin – Delegatura w Radomiu.

Czyli Gierek swoją wypowiedzią w czasie telekonferencji mógł określić politykę karną państwa, co dobrze pokazuje, jaką władzę miał przywódca partii, ale nasuwa też pytanie o mechanizmy, które to umożliwiały. Jakie było znaczenie prawa i sądów w państwie komunistycznym?

Fasadowe. Ustrój sądownictwa, stopniowo kształtowany na ziemiach polskich po roku 1944, imitował znaczną część sowieckich rozwiązań prawno-ustrojowych. Sprowadzały się one do radykalnego zerwania z zasadami rozdziału i równoważenia się władz w państwie. Ono samo zaś miało być zorganizowane jako jednolita maszyna. Na dodatek, takie państwo nie kryło swojego klasowego charakteru i definiowało się – zgodnie ze słynnym zdaniem Karola Marksa – jako „organ ucisku jednej klasy przez drugą”. Sędziowie nie mieli więc być strażnikami abstrakcyjnej idei sprawiedliwości, tylko mieli „orzekać w interesie mas ludowych”, „dla nas” – jak to z właściwą sobie szczerością ujął Władysław Gomułka. Aż do ostatnich lat Polski Ludowej sądy – z niewielkimi wyjątkami – służyły „klasie robotniczej”, czyli – w praktyce – rządzącej partii.

Jaki był więc główny mechanizm polityki represyjnej po Czerwcu?

Jeden z prokuratorów z tamtego okresu wspominał, że kilka dni po manifestacjach z Prokuratury Generalnej przyszło polecenie, by zrobić w Radomiu duże, grupujące po sześć lub siedem osób, pokazowe śledztwo. Prokuratorzy mieli wybrać osoby karane, najlepiej wielokrotnie, o złych wywiadach środowiskowych, niepracujące, tak by stworzyć wrażenie, że nie „klasa robotnicza”, ale kryminaliści manifestowali w Radomiu. Jak się szybko okazało, istotna część obowiązków tego prokuratora polegała na wyjazdach do Warszawy po „gotowce”, czyli przygotowane w Prokuraturze Generalnej stanowiska procesowe i konfiguracje zarzutów. Politykę karną określało ściśle kierownictwo partii, a szczegóły ustalano w czasie spotkań z udziałem przedstawicieli MSW, Prokuratury Generalnej, Ministerstwa Sprawiedliwości i Sądu Najwyższego. Spinał te przedsięwzięcia Wydział Administracyjny

ny KC PZPR – podporządkowany Stanisławowi Kani. Głos decydujący należał, rzecz jasna, do Gierka.

Jesteśmy w stanie te działania zrekonstruować? Pozostał jakiś ślad w dokumentach?

Niestety, dużo skromniejszy niż np. w odniesieniu do spraw wytaczanych „komandosom” po 1968 roku. Ale służyć bardzo wymownym przykładem ilustrującym przebieg procesu decyzyjnego w sprawie amnestii. We wrześniu 1976 roku Gierek skierował do przewodniczącego Rady Państwa Henryka Jabłońskiego krótką notatkę w sprawie skazanych, w której pisał: „Wszystkie okoliczności, które poznałem, skłaniają mnie do poglądu, że powinniśmy wobec tych ludzi wykazać współczulność. Co sądzisz o moim stanowisku? A może zapytać o to członków Rady Państwa?”. To wystarczyło, Jabłoński oczywiście notatkę przekazał z uwagą: „Sprawa niewątpliwie zasługuje, by ją jak najwnikliwiej i wszechstronnie rozważyć. Osobiście w pełni podzielam stanowisko Pierwszego Sekretarza”. Co więcej, gdy 3 lutego 1977 roku Gierek zapowiedział publicznie amnestionowanie dużej części skazanych po Czerwcu, nazajutrz w Wydziale Administracyjnym odbyła się narada, w której uczestniczyli wszyscy najważniejsi dysponenty polityki karnej państwa, m.in. Lucjan Czubiński – prokurator generalny PRL, Jerzy Bafia – minister sprawiedliwości i Włodzimierz Berutowicz – I prezes Sądu Najwyższego. W przyjętym stanowisku precyzyjnie określili, jak należy postępować z osobami wytypowanymi do zwolnienia; co mają robić sądy, prokuratura, ba – nawet Rada Państwa! Na przykład uznano, że rozpatrywanie spraw w trybie rewizyjnym ma przynosić obniżanie kar do dwóch lat pozbawienia wolności lub poniżej tego progu, ▶

▶ Chociaż kryzys ujawnił mściwe oblicze Edwarda Gierka, to budowany m.in. przez „gospodarskie wizyty” mit dobrego przywódcy okazał się zaskakująco trwały i funkcjonuje do dziś





► Robotnicza demonstracja i walki uliczne przed gmachem Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Radomiu

także z warunkowym zawieszeniem jej wykonania. Procedurę amnestijną miały kończyć „rozmowy wychowawcze”, najlepiej przy udziale rodzin zwalnianych. Czyli niezwykle drobiazgową instrukcją, którą sądy potem wcieliły w życie wręcz co do przecinka. Na szczęście – w interesie samych skazanych. Nie zmienia to faktu, że to Gierek podejmował decyzje, później „opakowywane” przez instytucje państwa.

Główne procesy toczyły się jednak później, przed Sądem Wojewódzkim w Radomiu.

Tak, sądzono w nich tzw. prowodyrów, którzy rzekomo doprowadzili do zdemolowania i spalenia Komitetu Wojewódzkiego PZPR oraz do walk ulicznych. Przypisano im odpowiedzialność z art. 275 ówczesnego kodeksu karnego, mówiącego o uczestnictwie w nielegalnym zgromadzeniu publicznym, tyle że interpretowanego w sposób niezwykle rozszerzający. Podam przykład. Wieczorem w ręce milicji wpada dwudziestoczteroletni robotnik Stanisław Górka. Funkcjonariusze twierdzą, że ok. 19.00 lub 20.00 rzucił się na nich ze strażackim toporkiem w rękę. Górka trafia do prokuratora, i ten stawia mu zarzut, z którego wynika, że będzie odpowiadał nie tylko za swój domniemany czyn, ale i za wszystko, co się w Radomiu wydarzyło w dniu 25 czerwca 1976 roku. Czyli za zranienie 75 funkcjonariuszy MO i straty materialne oszacowane na 28 mln zł. Było to przyjęcie zasady odpowiedzialności zbiorowej, sprzecznej z pryncypiami nawet peerelowskiego prawa. Niestety, sąd, rozpatrując sprawę Górki, potwierdził ustalenia prokuratury i dokonał przez nią wykładnię art. 275. Tak samo było w przypadku innych oskarżonych.

A sam przebieg procesów? Były praworządne?

Sędziowie – przynajmniej ich zdecydowana większość – nie pozwalali sobie na łamanie procedur sądowych i takie ekscesy,

jakie zdarzały się w sądach w czasach stalinowskich. Ale każdy, kto choćby pobieżnie zapozna się z aktami spraw wytaczanych manifestantom, zauważy, że oskarżenie i wyroki opierały się na bardzo jednostronnym materiale dowodowym – na zeznaniach funkcjonariuszy MO, często sprzecznych, chaotycznych i ogólnikowych. Jeden z obrońców radomskich robotników, mec. Władysław Iwaszczukiewicz tak to ujął: „Była postawiona teza: prawdą jest to, co mówią świadkowie oskarżenia. Jeżeli my próbowaliśmy zadawać im pytania, łapać w krzyżowy ogień pytań, sąd natychmiast nam przerywał. Mogłem oczywiście dowodzić, że mój klient to biedny chłopak, zdezorientowany i zagubiony, ale jeśli chodziło o inny typ obrony, o wykazanie niewinności oskarżonego, to napotykalismy na opór sądu”.

Można powiedzieć, że władza nie tylko posługiwała się prawem instrumentalnie, ale i arbitralnie karała?

Tę arbitralność najlepiej widać na przykładzie działalności kolegiów ds. wykroczeń w Radomiu i Ursusie. Początkowo, 27 czerwca 1976 roku, orzekały dość liberalnie. Nikogo wprawdzie nie uniewinniono, ale aż 61 spośród obwinionych otrzymało tzw. kary wolnościowe: grzywnę lub karę ograniczenia wolności. Gdy wiadomość o tym dotarła do Warszawy, doszło do spotkania Stanisława Kania (nadzorującego aparat bezpieczeństwa i wymiar sprawiedliwości w KC PZPR) z gen. Bogusławem Stachurą (szefem operacji „Lato 76”) i płk. Tadeuszem Kwiatkowskim (szefem Biura Śledczego MSW). W rozmowie uczestniczyli również minister sprawiedliwości Jerzy Bafia oraz prokurator generalny Lucjan Czubiński. Kania zaznaczył, że konieczne jest zaostrzenie polityki karnej, bo „milicja nie może postępować, jakby sobie tego niektórzy życzyli, w formie łagodnej”. Te wytyczne oczywiście znalazły przełożenie w terenie, w Radomiu za pośrednictwem Sekretariatu KW PZPR. W rezultacie doszło do „dyscyplinującego” zebrania z członkami kolegium. Jak wspo-



Fot. AIPN

minali później jego uczestnicy, prowadzący obrady wojewoda radomski Roman Maćkowski walił pięścią w stół i krzyczał, że kolegia robią sobie parodię, orzekając wolnościowo i żądał, by odtąd wymierzano tylko kary aresztu, i to w górnych granicach. Stwierdził też – tu cytat z zeznania złożonego przez jednego ze świadków owego spotkania – „jeżeli komuś się to nie podoba, może nie orzekać i wyjść, tylko, że nie będzie miał pracy w Radomiu, oraz jego dzieci”.

Wojewoda oczywiście zaprzeczał, by taki incydent miał miejsce...

Zaprzeczał, ale dziwnym trafem linia orzecznicza kolegium zmieniła się po tym spotkaniu diametralnie. Zaczęły zapadać niemal wyłącznie orzeczenia skazujące z maksymalnym wymiarem kary aresztu, a ewentualne potknięcia kogoś ze składowców były korygowane przez sądy. Zdarzało się więc i tak, że część obwinionych stawała przed kolegium trzy razy, dopóki nie zapadła satysfakcjonująca oskarżycieli kara trzymiesięcznego aresztu. Tym samym władza łamała restrykcyjne prawo, które przecież sama stanowiła.

Wróćmy jeszcze do okresu tuż po stłumieniu demonstracji. Co się działo z zatrzymywanymi i aresztowanymi uczestnikami protestu?

W zasadzie scenariusz był jeden. Niemal każdy, kto dostawał się w ręce funkcjonariuszy, przechodził „ścieżkę zdrowia”, potem lądował w areszcie, tam był bity, a potem karany przez kolegium lub sąd w trybie przyśpieszonym. To „przyśpieszone” karanie trwało do 28 czerwca 1976 roku. O atmosferze, w której przebiegało, świadczy relacja Mirosława Więcaszka, podejrzanego o obrzucanie sklepu kamieniami. Doprowadzono go na salę sądową z wyraźnymi śladami pobicia i krwawiącymi ranami na plecach, które wytarła mu jedna z pracownic sekretariatu. „Gdy chciałem coś powiedzieć do sędziego, dwóch milicjantów w moro przycisnęło

Radomski czerwiec

24 czerwca 1976 roku w Sejmie PRL premier Piotr Jaroszewicz zapowiedział drastyczną podwyżkę cen artykułów żywnościowych (m.in. mięso i ryby – 69 proc., ryż – 150 proc., cukier – 90 proc.) oraz skrajnie niesprawiedliwą rekompensatę (zarabiający poniżej 1300 zł mieli otrzymać 240 zł, zarabiający powyżej 6000 zł – 600 zł). Podwyżkę przedstawił jako „projekt”, choć decyzje zapadły, cenniki wydrukowano. Powszechnie zdawano sobie sprawę z tego, że zapowiedziane konsultacje społeczne są fikcją.

Następnego dnia w strajkach, które wybuchły w przynajmniej dziewięćdziesięciu zakładach na terenie 24 województw uczestniczyło około 70–80 tys. ludzi. W Radomiu, Ursusie i Płocku doszło do pochodów i demonstracji, zakończonych starciami z milicją, a w Radomiu – walkami ulicznymi, w których zginęło dwóch demonstrantów. Fala protestów była porównywalna ze strajkami z grudnia 1970 i początku 1971 roku, nie ograniczyła się do jednego regionu kraju i groziła rozszerzeniem. Jeszcze tego samego dnia wieczorem zdecydowano o wstrzymaniu podwyżki. Protestujących, zwłaszcza w Radomiu i Ursusie, bito na „ścieżkach zdrowia” (kazano przechodzić między szpalerami milicjantów, którzy bili pałkami), karano w kolegiach i przed sądami. Ofiarami były także przypadkowe osoby, m.in. Jan Brożyna, prawdopodobnie śmiertelnie pobity przez patrol milicji. Drugą ofiarą śmiertelną był ks. Roman Kotlarz, który publicznie modlił się w intencji represjonowanych robotników – był nachodzony i bity przez funkcjonariuszy SB, co przesądziło o jego śmierci.

26 czerwca 1976 roku, Edward Gierek w czasie telekonferencji z I sekretarzami komitetów wojewódzkich PZPR polecił zwołać wielotysięczne wiece i uruchomić kampanię propagandową w celu zademonstrowania siły partii, potępienia demonstrantów napiętnowanych mianem „warchołów”, wreszcie spacyfikowania niezadowolonego społecznego. Kulminacja seansu nienawiści miała miejsce w Radomiu. Do drugiej próby wprowadzenia podwyżki jednak nie doszło na skutek stanowczego weta Moskwy, obawiającej się kryzysu porównywalnego z grudniem 1970 roku.

Nieudana próba wprowadzenia podwyżki cen była pierwszym symptomem kryzysu ekonomicznego, narastającego w drugiej połowie lat siedemdziesiątych. W lipcu 1976 roku rozpoczęła się akcja pomocy represjonowanym, organizowana przez przedstawicieli różnych nurtów ideowych. We wrześniu 1976 roku środowiska te utworzyły Komitet Obrony Robotników.

mnie do ławy, żebym się nie ruszał [...]. Ze strachu nie mogłem nic mówić [...]. Sędzia zachował się brzydko. Mówił: proszę go wziąć, bo mi stół zaleje” – opisywał Więcaszek. W celach aresztu w Radomiu i w pokojach przesłuchań radomskiej komendy ożyły praktyki z lat utrwalania władzy ludowej. ▶

„Ścieżki zdrowia” stały się symbolem Czerwca '76. Wiemy już, gdzie i kiedy miały miejsce?

Sprawę tę badali przez ostatnie lata prokuratorzy Andrzej Wojtyś i Andrzej Martyniuk z Delegatury IPN w Radomiu. Przesłuchali kilkuset świadków i zebrali gigantyczny materiał, który dowodzi jednoznacznie, że „ścieżki zdrowia”, wbrew twierdzeniom wielu pezetpeerowskich dygnitarzy, nie były żadnym „opozycyjnym” wymysłem, tylko rzeczywistością. Praktykowano je w aresztach komisariatów MO w Szydłowcu i Przysusze, Komendzie Miejskiej MO w Radomiu, Komisariacie MO w Białobrzegach oraz w aresztach śledczych w Radomiu, Kielcach, Grójcu i Białymstoku. Do najdrażystych „ścieżek zdrowia” dochodziło jednak w Komendzie Wojewódzkiej MO w Radomiu. Zaczynały się one tam z reguły przed budynkiem komendy, a wewnątrz biegly na III piętro oraz do aresztu w piwnicy, i obfitowały w czyny odrażające: bicie rączkami pałek czy wymierzanie razów w głowę i w brzuch. Powszechną praktyką było też lżenie zatrzymanych i oszpecające wycinanie im włosów.

Ukarani mieli być nie tylko poszczególni ludzie, ale i całe miasto?

Pisze o tym w swoich wspomnieniach choćby Janusz Prokopiak, I sekretarz KW PZPR w Radomiu, który łączy to przede wszystkim z działalnością partyjno-rządowego zespołu ds. Radomia, powołanego, by zająć się „całościowym zbadaniem i analizą spraw związanych z wydarzeniami w Radomiu”. Na jego czele stał minister energetyki i energii atomowej i – co ważne – zaufany człowiek premiera Jaroszewicza, Andrzej Szozda. Według Prokopiaka, ludzie Szozdy szarogęsili się w urzędach i próbowali realizować nawet najbardziej szokujące pomysły. „Przede wszystkim zlikwidować zakłady »Waltera«, obiekty wyburzyć, pola zaorać, do sąsiednich województw wysłać listy pracowników, nigdzie nie wolno przyjąć ich do pracy. Ograniczyć w odczuwalnym zakresie rozmiary budownictwa mieszkaniowego, i to właśnie w Radomiu, gdzie wskaźnik zagęszczenia na izbę był najwyższy w kraju. Obniżyć dostawy artykułów żywnościowych do sklepów.

Zamknąć »Delikatesy«, »Jubilerka« i inne ważne placówki oraz skrócić czas sprzedaży”.

W naszej rozmowie dopiero teraz padło nazwisko Jaroszewicza. To on, jako premier, firmował podwyżkę cen, która spowodowała wybuch niezadowolenia. Porażka „operacji cenowej” była ciosem w jego autorytet i pozycję numeru dwa w partii i państwie. Jak Pan ocenia jego rolę po spacyfikowaniu protestów?

26 czerwca rano premier oddał się do dyspozycji Gierka, ale ten dymisji nie przyjął i zapewnił go o swoim poparciu. W końcu Jaroszewicz wziął na siebie i rząd ogłoszenie niepopularnej decyzji o podwyżce, chroniąc autorytet I sekretarza KC i samej partii w razie protestów społecznych, których się obawiano. Takie rozegranie sprawy jest jednym z dowodów na to, że ta ekipa wyciągnęła wnioski z doświadczeń grudnia 1970 roku, gdy cały ciężar odpowiedzialności spadł bezpośrednio na partię. Inna sprawa, że to właśnie Jaroszewicz przeforsował najradykałniejszy wariant podwyżki jednorazowej z cenami rosnącymi o kilkadziesiąt procent. Tym samym był naturalnym kozłem ofiarnym w przypadku jej niepowodzenia. Faktycznie jego pozycja zachwiała się po czerwcu 1976 roku. Sam Jaroszewicz postrzegał społeczny protest przede wszystkim w kategoriach prowokacji uknutej przez jego rywali w aparacie władzy, zwłaszcza Kanię. Nie tylko z tego względu wydaje się, że jednym z ważnych zadań komisji Szozdy było poszukiwanie w Radomiu śladów rzekomej prowokacji. Co więcej, pamiętając o działaniach ludzi Szozdy, zwłaszcza o masowych zwolnieniach z pracy, trudno nie zadać pytania o odpowiedzialność Jaroszewicza za represje wobec mieszkańców Radomia.

Współpracownicy KOR, przybywający od września 1976 roku na rozprawy do Radomia, zwracali uwagę na postawę sędziów. Tak zwany sędzia czerwcowy stał się synonimem sądu dyspozycyjnego, gotowego do wydania wyroku na zlecenie władz. W jakim stopniu była to cecha całego środowiska?

► Radom, wieczór 25 czerwca 1976 roku: krajobraz po bitwie



► Władze wykorzystały propagandowo i na salach sądowych rozbijanie sklepów w najwłaściwszej fazie walk ulicznych do przedstawienia całego robotniczego protestu w Radomiu w kategoriach wybrzków kryminalnych

Uwagę współpracowników i działaczy KOR zwracała zwłaszcza sędzia Elżbieta Dobrowolska, znana z surowych wyroków i bezceremonialnego traktowania podsądnych. To o niej Jan Józef Lipski pisał jako o „osobie jeszcze młodej, energicznej, a nawet agresywnej, o aparacji harmonizującej z określeniem, którym robotnicy radomscy oceniali, co prawda, raczej jej moralność zawodową niż wygląd”. O jej kwalifikacjach najlepiej świadczy fakt, że dwukrotnie skazała za ten sam czyn oskarżonego Leopolda Gierka, co burzyło kardynalne, i obowiązujące nawet w PRL zasady procedury karnej. A co do charakterystyki całego środowiska: cóż, nawet w 1976 roku zdarzali się sędziowie orzekający praworządnie i wbrew partyjnym naciskom. Podam przykład sędziego Jerzego Sawickiego, który miał odwagę uniewinnić Jerzego Smagowskiego, oskarżonego o demolowanie budynku KW PZPR. Większość sędziów jednak wydawała wyroki zgodne z oczekiwaniami władz.

Po 1989 roku odbywały się postępowania rehabilitacyjne, w sprawie czerwcowych represji toczyło się wiele śledztw, także w IPN. Jakie były ich najważniejsze rezultaty?

Duża część wyroków wydanych na podstawie art. 275 kk została już uchylona, a skazani otrzymali – niestety, dość niewielkie – odszkodowania. Nie udało się natomiast pociągnąć żadnego z sędziów do odpowiedzialności dyscyplinarnej.



► Zdjęcia sygnalityczne wykonane zatrzymanym demonstrantom są dziś dowodem brutalności radomskich „ścieżek zdrowia”



► Sędzia Elżbieta Dobrowolska, znana z kontrowersyjnych i surowych wyroków, orzekała w 33 „czerwcowych” procesach; po 1989 roku nie odeszła z zawodu; konsekwentnie odmawiała jakiegokolwiek komentarza, stwierdzając: „Ten temat jest już zamknięty”

Żadnego? Sędzi Dobrowolskiej też?

Z mojej wiedzy wynika, że żadnego. A sędzia Dobrowolska jeszcze w 1988 roku awansowała na stanowisko sędziego Sądu Wojewódzkiego w Radomiu, które piastowała także po przekształceniach ustrojowych w Polsce.

Byli skazani nie protestowali?

Zaprotestował Mirosław Chojecki, który przyjeżdżał do Radomia obserwować procesy wytaczane robotnikom. Gdy w 2001 roku IPN zorganizował w Radomiu panel dyskusyjny na temat Czerwca '76, ktoś z uczestników zauważył, że sędziowie „czerwcowi” wciąż mają się dobrze i podał przykład sędzi Dobrowolskiej. Wzburzony Chojecki wstał wówczas, krzycząc niemal, określił Dobrowolską bardzo nadużywanym w Polsce – i bardzo mocnym – wulgaryzmem. Dodał też, że oczekuje na proces o zniesławienie, w czasie którego chętnie przedstawi swoje racje. Sala zareagowała burzliwymi oklaskami.

Proces się odbył?

Nic mi o nim nie wiadomo. 🚫

Koła historii

Ze Zbigniewem Gonciarzem, projektantem papamobile – samochodu specjalnego o kryptonimie „JP2”, rozmawia Maciej Foks

W jakich okolicznościach dowiedział się Pan, że będzie uczestniczył w pracach nad papamobile?

W marcu 1979 roku krążyły po Przemysłowym Instytucie Motoryzacji (PIMOT) nieoficjalne informacje. Temat dotarł do nas dzięki Romualdowi Węglińskiemu, zatrudnionemu w Sekretariacie Episkopatu, który wcześniej pracował w naszym instytucie. W niedługim czasie otrzymałem polecenie, by zająć się przygotowaniem koncepcji samochodu na czas wizyty papieża w Polsce w czerwcu tego roku.

Czy to prawda, że Jan Paweł II życzył sobie, by samochód, z którego będzie korzystał podczas pierwszej pielgrzymki do ojczyzny, był polskiej produkcji?

Tak, wyraził takie życzenie na spotkaniach z przedstawicielami episkopatu w Rzymie w 1979 roku. Chciał, aby jeden z samochodów, z których będzie korzystał w Polsce był polski.

Ile mieli Państwo czasu na przygotowanie maszyny?

Projektem papamobile zajmował się Ośrodek Pojazdów, w którego skład wchodziły zakłady: podwozi, konstrukcji specjalnych i zakład nadwozi, w którym pracowałem jako plastyk

► Zamówienie złożone przez Sekretariat Episkopatu Polski w PIMOT na wykonanie adaptacji samochodu Star 660 dla przewozu papieża w czasie pielgrzymki do Polski

Zbigniew Gonciarz, absolwent Wydziału Wzornictwa Przemysłowego Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. W latach 1972–1979 pracował w Przemysłowym Instytucie Motoryzacji. Od 1979 do 1983 roku wykonywał projekty koncepcyjne nadwozi, m.in. dla samochodu osobowego 1200. Od 1992 roku prowadzi własną firmę projektową.



Fot. Maciej Foks

(dziś: designer). Na przygotowanie koncepcji pojazdu dostałem trzy dni, od piątku do niedzieli. W poniedziałek w instytucie został wybrany jeden z dwóch przygotowanych wariantów, zaakceptowany później przez prymasa Stefana Wyszyńskiego. Od bp. Bronisława Dąbrowskiego wiedziałem, że projekt widział również Jan Paweł II i wypowiedział się o nim pozytywnie. Po akceptacji Stolicy Apostolskiej projekt został oficjalnie zatwierdzony przez Sekretariat Episkopatu Polski w dniu 26 kwietnia. Przygotowaniem dokumentacji technicznej zajmował się znakomity zespół kilkunastu konstruktorów, m.in.: Wincentyna Żak-Lipowicz, Jerzy Sobczyk, Tomasz Wyczański, Jerzy Kula, Andrzej Zalas, Andrzej Jabłoński, Michał Lasocki, Dariusz Krasnodębski, Wiesław Zieliński, Andrzej Szpryngwald, Janusz Błaszczak. Samochód powstał na jednym ze stanowisk w hali prototypowni PIMOT-u przy udziale kilkudziesięciu wysokiej klasy specjalistów, których pracami kierował Wincenty Zeszuta. Koordynatorem całości prac przy „JP2” był Ryszard Andrzejewski, ja odpowiadałem za design i nadzór nad realizacją od pierwszego momentu prac do końca, kiedy samochód był gotowy. Trwało to sześć tygodni.

Czy episkopat miał specjalne wymagania dotyczącego pojazdu?

Wymagano, by samochód był ciężki i wysoki, niedostępny dla osób stojących. Wynikało to częściowo z doświadczeń pielgrzymki do Meksyku, gdzie przygotowano samochód papieski na bazie Toyoty Land Cruiser i napierający tłum zagrażał bezpieczeństwu papieża. Oczekiwano również przygotowania miejsca dla dwiętnastu osób świty papieskiej, osłony przed słońcem oraz nagłośnienia. Należało stworzyć program, praca była pionierska, przede wszystkim ze względu na brak jakichkolwiek wcześniejszych wzorców. Byliśmy w stałym kontakcie z episkopatem. Mieliśmy nawet przepustkę dla samochodu na przejazd bez ograniczeń przez rynek Starego Miasta do siedziby kurii.

Skąd pomysł na wykorzystanie konstrukcji Stara 660?

To był mój pomysł. Episkopat sugerował, by samochód miał kształt łodzi, co byłoby odniesieniem do łodzi Piotrowej. Ja jednak byłem przekonany, że powinien raczej pozostać samochodem. Skąd star? W tamtym czasie liczba podwozi z kabinami



Fot. ze zbiorów Zbigniewa Gonciarza

możliwymi do wykorzystania była ograniczona do dwóch ze Starachowic i jednej z Jelcza. Najnowocześniejszym samochodem był wtedy wojskowy Star 266. Za jego wykorzystaniem optowała część zespołu, ja natomiast zaproponowałem użycie starszego podwozia i kabiny o zdecydowanie widocznych cechach pojazdu wojskowego, by paradoksalnie – przez negację – na tej bazie zbudować pojazd, w którym papież będzie niósł przesłanie pokoju. Tej koncepcji odpowiadał Star 660, choćby przez detale – podwozie, rama, kształt kabiny, charakterystyczna krata z przodu, opuszczane przednie okno, kształt błotników. Dla takiego podwozia z kabiną zaprojektowałem specjalne nadwozie, gondolę spełniającą wymogi episkopatu. W prawej ścianie bocznej (dla papieża) oraz w ścianie tylnej (dla świty) zaproponowałem składane, chowane schody. Charakter nowej misji podkreślił biały kolor, na który pojazd został pomalowany w całości. Dookoła nadwozia przebiegał żółty pas z tkaniny obramowanej drewnem, zwieńczony w części przedniej potężnym parapetem, wykonanym w stolarni PIMOT-u z jednego kawałka drewna wiązowego, specjalnie wyszukanego w Polsce na tę okazję. Aby temu dużemu pojazdowi nadać lekkości, nad tylnymi kołami zastosowałem pokrywę błotnika rodem z eleganckich limuzyn z lat trzydziestych. Dolna linia zabudowy opada lekko w dół, aby podnieść się za kołami, i zmierza dalej ku tyłowi. Specjalne fotele dla papieża i biskupów były pierwszymi meblami projektowanymi w mojej karierze. Po zakończeniu pielgrzymki zostały oddane do episkopatu i przez pewien czas podobno używane były w katedrze warszawskiej.

W projekcie zabrakło miejsca dla ks. Stanisława Dziwisza, papieskiego sekretarza...

Tak. Wynikało to z braku zgłoszenia w odpowiednim momencie. Przewidziano trzy fotele – jeden dla papieża i dwa dla osób z jego świty. Zastosowaliśmy więc tzw. straponten, czyli rozkładane siedzenie w bocznej ścianie pojazdu.

Co zrobiliście, by zredukować dyskomfort twardego zawieszenia?

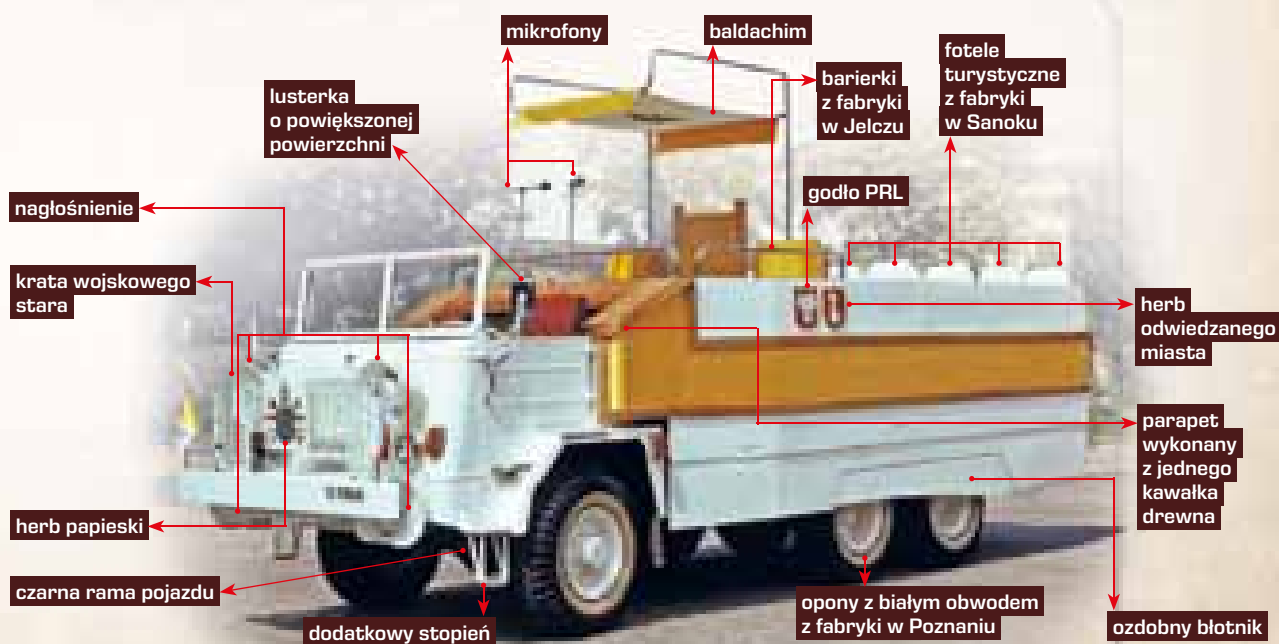
Gondola została zawieszona na czterech poduszkach pneumatycznych, co wraz z zespołem drążków skrętnych i amortyzatorów sprawiło, że nie czuło się dyskomfortu podczas jazdy w nierównym terenie, np. na lotnisku. Prace nad tym prototypowym rozwiązaniem były kierowane przez Jerzego Kulę. Mechanizm zadziałał znakomicie.

Co trzeba było zmienić, by przygotować samochód do trybu defiladowego?

Dostosować skrzynię biegów. Reduktor, zaprojektowany przez Andrzeja Jabłońskiego sprawdził się do tego stopnia, że podobno wolnego tempa jazdy nie wytrzymały silniki towarzyszących papamobile samochodów i motocykli. W rezultacie prędkość minimalną pojazdu w trakcie pielgrzymki podniesiono do 6 km/h.

Charakterystycznym elementem pojazdu są „oczy”, czyli system nagłaśniający. Proszę wybaczyć, ale wygląda to dość amatorsko. Czy to przez brak czasu, materiałów?

Być może odpowiedzią jest brak materiałów. W pierwszej koncepcji takie głośniki w ogóle nie były uwzględniane. Nie przypuszczałem, że będą tej wielkości. Wydawało mi się, że uda się to zrobić tak, by nie psuły za bardzo wyglądu samochodu. Jak na designera przystało przez jakiś czas walczyłem z tymi akurat głośnikami, mając nadzieję na inne. Nie udało się i nie pozostało mi nic innego niż umieścić je tak, by dwa były na dole po bokach i prawie niewidoczne, a kolejne dwa z przodu, za wojskową kratą, współtworząc charakterystyczny, niepowtarzalny przód pojazdu „JP2”. Przyznam, że nie kojarzyły mi się nigdy z oczami w twarzy tego samochodu, niemniej stały się charakterystycznymi elementami frontu. Okazało się później, że nagłośnienie było wykorzystywane w niewielkim stopniu.



Konstrukcja nie miała zadaszania.

Gdybyśmy spróbowali zakryć stara, zrobilibyśmy z niego autobus. To było jeszcze przed zamachem na Jana Pawła II i wymagania dotyczące bezpieczeństwa były zupełnie inne. Samochód miał być w założeniu odkryty i był przewidziany każdorazowo wyłącznie na niewielki dystans i dobre warunki pogodowe. Na wypadek deszczu i do dalszych podróży był fiat 130, przygotowany w specjalnej wersji przez włoską firmę Fissore.

Charakterystycznym elementem samochodu są też herby i baldachim.

Z przodu był herb papieski, po obu stronach godło PRL, po prawej stronie przy wejściu papieski, a po lewej miasta, w którym samochód aktualnie przebywał. Herby zaprojektował mój brat, architekt Roman Gonciarz, a wykonawcami byli brat z moim ojcem Tadeuszem Gonciarzem. Konstrukcja baldachimu, schodów, barierek i poręczy to efekt mojej ówczesnej fascynacji dziełem Bauhausu.

Jakie firmy oprócz Stara współpracowały przy budowie pojazdu?

Fotele turystyczne dla świty pochodziły z Sanoka, opony z zaprojektowanym przez nas białym obwodem wykonał na specjalne zamówienie poznański Stomil, z Jelcza wzięliśmy miechy pneumatycznego zawieszenia, poręcze wykorzystane na drzwiach, rury zastosowane przy schodach, baldachimie, barierkach etc. Tapicerkę do foteli i żółty pas wokół nadwozia wykonała firma

Władysław Rak z Warszawy. Pracownicy tych i wszystkich innych współpracujących zakładów traktowali nasze zamówienia z wielką życzliwością. Baldachim i poręczyki przygotowały przemile siostry westiarki Jezusa z ul. Brackiej w Warszawie. Przyjemnością było doglądanie prac przy wyszywaniu.

Jak zapamiętał Pan odbiór papamobile?

Przed ukończeniem samochodu przyjechali przedstawiciele Stolicy Apostolskiej z szefem papieskiej ochrony, który odbierał maszynę od strony bezpieczeństwa. Przyjęcie z ich strony było bardzo dobre. W naszym instytucie odnosiliśmy coraz silniejsze wrażenie, że samochód wychodzi bardzo dobrze, i jednocześnie, że mamy zaszczyt brać udział w wielkim, historycznym przedsięwzięciu.

Czy SB lub inne służby próbowały ingerować w projekt lub nadzorowały wykonanie?

Co jakiś czas pojawiał się ktoś z Biura Ochrony Rządu. Na ich życzenie dorobione zostały np. dodatkowe stopnie na dole przy wejściach do kabiny. Kazali umieścić radiostację w kabinie i powiększyć powierzchnię lusterek. Kiedy samochód był gotowy, wystawiono go przed halę. Powstały wtedy dość powszechnie znane zdjęcia pracowników z gotowym samochodem specjalnym „JP2”. Zdjęcia wykonywała Eliza Frankowska zajmująca się dokumentacją fotograficzną w instytucie. Tylko dzięki niej te zdjęcia przetrwały do dziś. Wiedziałem, że będzie sesja fotograficzna i zabrałem swój aparat. Po wykonaniu kilku zdjęć podszedł do mnie osobnik pracujący z innymi w tajnej kancelarii w firmie. Ci ludzie nie byli związani z projektowaniem, konstrukcją, budową prototypów, badaniami etc. Wszyscy mówili, że to jest komórka SB. Poza tym, że były nieprzyjemności w dyrekcji, zabrano mi aparat, który otrzymałem z powrotem po kilku tygodniach bez filmu.

Czy spotkał się Pan z papieżem podczas pierwszej pielgrzymki?

Nie, nie spotkałem się. O zaproszeniu dla mnie na audiencję, która miała miejsce po mszy św. na ówczesnym pl. Zwycięstwa dowiedziałem się następnego dnia od bp. Dąbrowskiego, kiedy zapytał, dlaczego na niej nie byłem. Okazało się, że przeznaczone dla mnie zaproszenie zostało wykorzystane przez inną osobę.

Jak papież oceniał samochód w eksploatacji?

Docierały do mnie opinie z drugiej ręki. Co do projektu nie było żadnych zastrzeżeń, samochód podobał się papieżowi, ktoś podobno wspominał, że trochę wiało.

Czy poprawiłby Pan zatem coś w konstrukcji?

Na filmach relacjonujących przejazd w innych miastach, w nierównym terenie, zauważyłem, że papież przytrzymywał się stawyów mikrofonów, które nie były do tego przeznaczone. Wykonałbym dodatkowy uchwyt lub inaczej ukształtował przednią balustradę z rury stalowej, która z założenia temu miała służyć. Szyby z przodu jednak bym nie dodawał, założenie otwartego



Fot. Eliza Frankowska

► Gotowy samochód „JP2” przed halą prototypowni PIMOT-u; od lewej: Jerzy Andrzejewski, Wincentyna Zak-Lipowicz, Zbigniew Gonciarz, Jerzy Sobczyk; za kierownicą Jerzy Nitecki

Fot. PAP



► Przejazd papieża Jana Pawła II ul. Świętojańska do katedry św. Jana w Warszawie

nadwozia było jak najbardziej uzasadnione i zdało egzamin.

Dzięki transmisjom lub relacjom telewizyjnym design papamobile poznał cały świat. Czy otrzymywał Pan propozycje lub pytania z zagranicy?

Nie. Wokół tego samochodu zapanowała cisza. Po wyjeździe papieża o pojeździe nikt niczego nie mówił i nie pisał. Było wiadomo, że wyciszenie nastąpiło na zamówienie władz. Niedługo po zakończeniu budowy pojazdu „JP2” zdawałem egzamin wstępny na studia na Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. Na zakończenie pracy w Przemysłowym Instytucie Motoryzacji otrzymałem opinię. Zwyczajowo odbywało się to w ten sposób, że pracownik przedstawiał przebieg swojej pracy zawodowej, a dyrekcja dopisywała ocenę. Na końcu listy moich dokonań (ze wszystkich byłem dumny) wymieniałem projekt samochodu papieskiego, rzecz niepowtarzalną, życiowy projekt, jedyny w swoim rodzaju dla przyszłego designera, starającego się o dyplom Akademii. Opinię otrzymałem, ale bez jednego słowa o projekcie „JP2”, zatem przy starciu na akademii ten temat nie istniał. Pięć lat później uzyskałem dyplom ASP za projekt nadwozia samochodu osobowego w dwóch odmianach. W związku z tym po obronie udzielałem wywiadu tygodnikowi „Motor”, ze zdjęciami na całą okładkę i materiałem na pierwszej stronie. Mimo że w rozmowie z redaktorem mocno podkreślałem papamobile, nie zostało to uwzględnione w wydrukowanym wywiadzie ani jednym słowem (1984 rok!). Podobne sytuacje zdarzały się jeszcze kilkakrotnie. Dopiero w maju 1993 roku, podczas targów motoryzacyjnych w hali Mera w Warszawie, na moim własnym stoisku firmowym mogłem pochwalić się tym samochodem. Osoby odwiedzające były bardzo zainteresowane,

niektóre zachwycone, choć, o dziwo, spotykałem się też z głosami – po co to pokazywać, nikt już o tym nie pamięta...

Czy władze kościelne zgłaszały chęć przejęcia maszyny?

Mam dokumenty potwierdzające, że taka korespondencja trwała do października 1979 roku. Episkopat występował oficjalnie o udostępnienie tego samochodu jeszcze kilka miesięcy po tym, jak pojazdu już nie było... Mówiło się również, że ktoś z Polonii amerykańskiej chce kupić papamobile, albo żeby wybudować specjalny pawilon w Częstochowie, by służył tam jako eksponat, pamiątka i aby mógł być używany podczas następnych wizyt papieskich. Samochód od strony technicznej doskonale spełnił swoje zadanie i był w idealnym stanie. Niestety, również cała dokumentacja techniczna została zniszczona. Mam swoją teczkę z niektórymi dokumentami, szkicami, próbkami materiałów, a także jeden oryginalny rysunek koncepcji samochodu.

Co stało się z papamobile?

Natychmiast po zakończeniu pielgrzymki samochód zamknięto w Przemysłowym Instytucie Motoryzacji. W sierpniu 1979 roku zniszczono wszystkie elementy nadwozia i wyposażenia samochodu papieskiego, wykonane w instytucie, a podwozie oddano do Starachowic. Tam sprzedano podwozia do dwóch pegeerów na Pomorzu. Służyły jako samochody ciężarowe. Jeden z nich, sprzedany dalej, pracował jako

piaskarka. Prawdopodobnie do dziś przetrwał baldachim, herby, być może trzy główne fotele drewniane oraz część parasoli specjalnie zamawianych w Wiedniu. Jedno ze wspomnianych podwozi odnalazł i odkupił Marek Adamczak, właściciel firmy, zajmującej się m.in. odbudową zabytkowych pojazdów. Wraz z innymi odnalezionymi, oryginalnymi częściami od tego samochodu, stało się to punktem wyjścia do rekonstrukcji pojazdu. Przy dużej pomocy projektowej zespołu studentów z Politechniki Świętokrzyskiej samochód został odtworzony i zrekonstruowany z wielkim pietyzmem i dbałością o szczegóły oryginalnych rozwiązań technicznych. Pojazd znajduje się na stałe w siedzibie firmy Auto-Adamczak w Kielcach. Służy on w parafiach w całej Polsce, zarówno jako eksponat, pamiątka naszej przeszłości, a na bieżąco korzystają z niego hierarchowie kościelni podczas uroczystości religijnych. Podobno istnieje ambitny plan, by powiódł również papieża Franciszka w 2016 roku.

Natomiast dokładnie w 30. rocznicę powstania samochodu „JP2”, w maju 2009 roku, przy udziale załogi instytutu, zaproszonych gości oraz pracowników, którzy brali udział w budowie oryginału, ten zrekonstruowany samochód został oficjalnie zaprezentowany w Przemysłowym Instytucie Motoryzacji. Wprowadzono go na dwa dni do tej samej hali prototypowni, w której powstał oryginalny pojazd specjalny o kryptonimie „JP2”. Zamknęło się koło historii. 🍷

współpraca: Piotr Wiejak



Fot. ze zbiorów Zbigniewa Gonciarza

Rudolf Majewski „Leśniak” (1901–1949)

Tomasz Toborek

Przez kilka miesięcy 1944 roku 25. pułk piechoty AK mocno dawał się we znaki Niemcom. Duża w tym zasługa jego dowódcy – mjr. Rudolfa Majewskiego „Leśniaka”.

Okręg Łódź Armii Krajowej nie odegrał w akcji „Burza” decydującej roli. Ciężar walki zbrojnej na tych terenach spoczywał na żołnierzach jednego inspektoratu (podokręgu) – Piotrków Trybunalski. W pozostałych czterech inspektoratach, obejmujących ziemie wcielone do Rzeszy, walka zbrojna była właściwie nierealna.

W okolicach Piotrkowa działalności partyzanckiej sprzyjały duże obszary leśne i mniejsze rygory okupacyjne. Dzięki temu pod koniec lipca 1944 roku z istniejących tam oddziałów partyzanckich utworzono 25. pułk piechoty. Dowodzenie tym zgrupowaniem powierzono Rudolfowi Majewskiemu „Leśniakowi”.

Od wojny do wojny

Majewski pochodził z podłódzkich Brzezin. Jego ojciec, Witold, należał do Polskiej Partii Socjalistycznej i za czasów carskiej Rosji był represjonowany za działalność niepodległościową. Gdy został zesłany do Archangielska, syn musiał łączyć naukę z pracą, by pomóc w utrzymaniu rodziny.

W 1920 roku młody Rudolf Majewski uczestniczył w wojnie polsko-bolszewickiej jako żołnierz 3. pułku artylerii ciężkiej. Wkrótce ukończył kurs w centralnym Obozie Podoficerskim w Toruniu, a po kilku latach – kolejny w Oficerskiej Szkole dla Podoficerów w Bydgoszczy. Służył później w 2. pułku artylerii górskiej w Przemyślu, a od 1933 roku był instruktorem w Szkole Podchorążych Rezerwy Artylerii we Włodzimierzu Wołyńskim.

W wojnie obronnej 1939 roku walczył w stopniu kapitana. Po klęsce włączył się do pracy konspiracyjnej we Lwowie. Wykazał duże talenty organizacyjne i niebawem mianowano go szefem sztabu okręgu Związku Walki Zbrojnej w Stanisławowie. W tym czasie został awansowany na majora.

Wkrótce jednak doszło w okręgu do dekonspiracji i Majewski został aresztowany przez Niemców. W niewyjaśnionych okolicznościach zdołał wydostać się z więzienia, ale – spalony – nie mógł wrócić do pracy konspiracyjnej w Stanisławowie. Uciekł najpierw do Lwowa, a później do Warszawy. Wiosną 1943 roku został skierowany do Obwodu Rawa Mazowiecka w Inspektoracie Piotrkowskim Okręgu Łódź AK. Tutaj jednak nastąpiła kolejna wyspa, a Majewskiego przeniesiono do Piotrkowa – do sztabu inspektoratu. 1 sierpnia inspektor Stanisław Pawłowski „Powała” mianował go dowódcą I batalionu 25. pułku piechoty. Batalion wkrótce przekształcono w pułk i rozpoczął się najbardziej spektakularny etap kariery Majewskiego.



➤ Rudolf Majewski „Leśniak” podczas mszy polowej

Szlak znaczony krwią

W połowie sierpnia 1944 roku, jeszcze przez zapowiedzianą koncentracją w ramach „Burzy”, pułk stoczył ciężką bitwę pod Diabłą Górą w rejonie Opoczna. Później ruszył w lasy Przysuchy, aby połączyć się z Korpusem Kieleckim AK i iść na pomoc walczącej Warszawie. Okazało się to jednak nierealne i marsz odwołano. Pułk zajął kwatery we wsiach Stefanów i Budy, walcząc w mniejszych starciach z Niemcami. Prawdziwa próba przyszła 26 września, gdy trzy niemieckie bataliony uderzyły na partyzanckie zgrupowanie. Po ciężkich walkach kilku pododdziałom pod dowództwem „Leśniaka” udało się przebić na tyły niemieckich batalionów i stamtąd zaatakować. Pozwoliło to zadać Niemcom dotkliwe straty – ok. 140 zabitych. Wśród partyzantów było piętnastu poległych. Sukces w tej bitwie – zwanej bitwą pod Stefanowem – nie oznaczał jednak zakończenia kampanii, a pułk był właściwie cały czas otoczony przez siły niemieckie i podejmował kolejne próby wydostania się z okrażeń.

Jedną z większych akcji miało być uderzenie na Przysuchę, gdzie spodziewano się starcia z niemieckimi jednostkami odpowiedzialnymi za wcześniejsze spalenie Stefanowa. Okazało się jednak, że Niemcy wcześniej opuścili miejscowość, i akcja ograniczyła się do rozbicia posterunku żandarmerii.

Ważnym wydarzeniem w historii pułku była wizyta inspektora „Powalły” z emisariuszem sztabu Naczelnego Wodza w Londynie, pułkownikiem Romanem Rudkowskim „Rudym”. Zapowiedzieli oni wizytę brytyjskiej misji wojskowej „Freston”, która miała zbadać relacje między AK a partyzantką komunistyczną oraz stosunki z Armią Czerwoną. W raporcie do Londynu „Rudy” napisał: „Barke uporządkowałem. 25 pp jest wspaniałą, byłem tam i uregulowałem wszystko”. To, że pułk został wysoko oceniony, było bez wątpienia zasługą „Leśniaka”. Pułk mógł rzeczywiście robić wrażenie. W warunkach konspiracji utrzymanie jednostki składającej się z 1100–1200 żołnierzy z całym partyzanckim taborem liczącym ponad pięć-

dziesiąt wozów konnych było nie lada osiągnięciem. Wszystko to dzięki świetnej organizacji i żelaznej dyscyplinie.

Nie uchroniło to jednak pułku od ostatecznego rozbicia. Od boju pod Stefanowem jednostka znajdowała się w pułapce. 30 października „Leśniak” zarządził próbę przebiccia się w rejon lasów przysuskich. 4 listopada pułk natknął się na silne zgrupowanie niemieckie w okolicach gajówki „Huta”. Udało się uniknąć całkowitego rozbicia, ale gdy 5 listopada żołnierze dotarli do wsi Boki, w pułku pozostało jedynie sześciuset ludzi. 7 listopada dotarli oni w okolice bliźniaczych wsi Piekło i Niebo. Ostatnia próba przebiccia się z okrażeń – 8 listopada przez drogę pod Kazanowem – zakończyła się klęską. Resztki zgrupowania w liczbie niewielu ponad trzystu partyzantów dotarły 9 listopada do Górek Niemojewskich. Dowódca, by ratować pozostałych przy życiu ludzi, zdecydował o rozformowaniu pułku i utworzeniu w ten sposób sześciu pododdziałów.

Jak obliczył kronikarz pułku Mirosław Kopa, uczestniczył on łącznie w 29 starciach z wrogiem, w tym siedmiu całodziennych bitwach. Straty nieprzyjaciela sięgnęły tysiąca zabitych i kilkuset rannych. W walce zginęło 130 partyzantów, a 250 odniosło rany.

Przyczyny rozbicia pułku do dziś budzą emocje i są przedmiotem sporów kombatantów i historyków. Część z uczestników tamtych wydarzeń obciąża winą za klęskę majora „Leśniaka”. Niektórzy uważają także, że nie rozumiał on specyfiki działań partyzanckich. O tych kontrowersjach pisał m.in. Mirosław Kopa: „Trzeba to powiedzieć, że był typem garnizonowego oficera. Początkowo swoim chłodnym zachowaniem na kwaterach z jednoczesnym wprowadzaniem sztywnych regulaminów budził rezerwę, a nawet niechęć wśród starych partyzantów, przyzwyczajonych do innego rodzaju dyscypliny, wynikającej z ciągłego ochotniczego”. Podobny stosunek do dowódcy mieli niektórzy jego podkomendni: Stanisław Karliński „Burza” czy Józef Wyrwa „Stary”. Z drugiej jednak strony ten stosunek zmieniał się w toku

prowadzonej walki. Dowódca osobistym zaangażowaniem i odwagą zjednał sobie serca żołnierzy. Jak podkreśla Mirosław Kopa, „Nie gubił się w rozkazach i nie przejawiał załamania w najtrudniejszych nawet sytuacjach. [...] Budził tym coraz większy autorytet wśród kadry oficerskiej i podziw partyzanckich żołnierzy, którzy wybaczały mu garnizonowy dryl i ostre obejście. Był nieustępliwy w swoim postanowieniu utrzymania pułku jako jednostki zwartej, aż do ruszenia frontu na tym odcinku. Za wszelką cenę chciał przetrwać, zająć teren i wystąpić jako zwycięski sojusznik Armii Czerwonej. [...] Walczył w zasadzie bez dostaw broni, zdobywając ją na wrogu. Sam organizował zaopatrzenie i wysyłał rannych na meliny. Potrafił tak dużej jednostce, utworzonej z oddziałów partyzanckich, narzucić żelazną dyscyplinę i utworzyć z niej sprawny pułk”.

Tajemnicza śmierć majora

Bezpośrednio po wojnie Majewski się ukrywał, a latem 1945 roku przeniósł się wraz z żoną (byłą szefową łączności w Okręgu Stanisławów ZWZ) na tzw. Ziemię Odzyskane – do Pszczewa koło Międzyrzecza. W październiku zdecydował się na ujawnienie. Utworzył wówczas Związek Byłych Partyzantów „Warta”. Według niektórych relacji, miał on być jawny i zarejestrowany przy Polskim Stronnictwie Ludowym. Zanim jednak na poważnie rozpoczął działalność, w listopadzie 1946 roku Majewski został aresztowany. Choć nie udowodniono mu w zasadzie żadnej działalności, został skazany na 7 lat więzienia.

Wyrok – na mocy amnestii zmniejszony do 3,5 roku – odsiadywał we Wronkach, gdzie zmarł 5 stycznia 1949 roku, kilkanaście miesięcy przed zwolnieniem. Niedługo wcześniej, spotykając się z żoną, snuł plany na przyszłość. Oficjalna informacja o tym, że popełnił samobójstwo w więziennej celi, jest więc absolutnie niewiarygodna. Najprawdopodobniej został zamordowany. ■

dr Tomasz Toborek – kierownik Referatu Badań Naukowych Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN w Łodzi



Fot. PAP

Transformacja pod lupą Stasi

Filip Gańczak

Władze NRD z niepokojem – ale i bezradnością – śledziły zmiany zachodzące u schyłku lat osiemdziesiątych w Polsce.

Byla środa 31 sierpnia 1988 roku. Generał Czesław Kiszczak, minister spraw wewnętrznych PRL, spotkał się w resortowej willi z Lechem Wałęsą, liderem nieuznawanej przez rząd opozycji. Kiszczak domagał się natychmiastowego wygaszenia trwających w tym czasie strajków, które paraliżowały kraj. W zamian obiecywał rozmowy Okrągłego Stołu z udziałem władz i „konstruktywnej opozycji”.

W sąsiedniej Niemieckiej Republice Demokratycznej podobny scenariusz był wówczas nie do pomyślenia. Komunistyczne władze z Erichem Honeckerem na czele twardo stały na stanowisku, że opozycję trzeba zwalczać, zamiast z nią rozmawiać. Nic dziwnego, że spotkanie Kiszczak–Wałęsa wywołało w Berlinie Wschodnim zaniepokojenie, tak zresztą jak cały „polski eksperyment”. Gdyby w PRL socjalizm upadł, Niemiecka Republika

Demokratyczna mogłaby być następną – kalkulowano.

Sytuację w Polsce monitorowała więc od 1980 roku Grupa Operacyjna Warszawa (OGW), ulokowana przy wschodniemieckiej ambasadzie i będąca rezydenturą Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego NRD, czyli niesławnej Stasi. W swoich raportach OGW często powielała informacje otrzymywane z polskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, ale dysponowała także własną agenturą. Odrębne analizy przygotowywali energdowscy dyplomaci i pracownicy Wydziału Kontaktów Międzynarodowych Komitetu Centralnego Socjalistycznej Partii Jedności Niemiec (SED). Dokumenty te pozwalają dziś lepiej zrozumieć, co działo się w Polsce pod koniec lat osiemdziesiątych.

Dziel i rozmawiaj

A działo się dużo. Już latem 1988 roku wydarzenia w PRL mocno przyspieszyły. W obliczu katastrofalnej sytuacji gospodarczej władze zdecydowały się – jak mówił później Honeckerowi gen. Wojciech Jaruzelski – na „ucieczkę do przodu”, wychodząc z założenia, że „każdy, nawet najgorszy kompromis jest lepszy

► Wojciech Jaruzelski i Erich Honecker w trakcie festiwalu młodzieży we Wrocławiu w czerwcu 1988 roku; demonstracyjna przyjaźń przywódców PRL i NRD miała niewiele wspólnego z rzeczywistością, zwłaszcza w czasie gdy powstało to zdjęcie

niż porażka”. Stąd właśnie rozmowa Kiszczaka z Wałęsą i pomysł na Okrągły Stół. Chodziło – jak mówił na grudniowym plenum Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej premier Mieczysław Rakowski – o kontrolowane dopuszczenie opozycji do udziału we władzy, a tym samym podzielenie się z nią odpowiedzialnością za fatalny stan państwa.

Jak zareagował aparat partyjny w PRL? Cytowany przez Stasi Stefan Milewski, przedstawiciel plenum Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Gdańsku, uważał, że zaproszenie Wałęsy do rozmów przy Okrągłym Stole wywołało w partii mniejszy szok, niż można się było spodziewać. Mimo to mnożyły się głosy sceptyczne. „Reakcja towarzyszy na spotkanie Kiszczak–Wałęsa jest nad wyraz krytyczna, przybywa przypadków oddawania legitymacji partyjnych” – czytamy w innym dokumencie Stasi.

2 września oficer energdowskiej bezpieki rozmawiał z płk. Janem Rzącą, zastępcą dyrektora Departamentu V MSW. Rząca wyrażał rozczarowanie, że strajki nie zostały złamane siłą. „Ze strachu przed negatywnymi reakcjami Zachodu akceptowane są ogromne straty ekonomiczne” – tłumaczył. „Doprowadzenie do spotkania

[Kiszczaka z Wałęsą] jest wyrazem bezradności kierownictwa partyjnego i państwowego. [...] W[ałęsa] szedł na rozmowę z lepszymi kartami” – mówił pułkownik.

Wątpliwości nie brakowało też jednak po stronie opozycji. „W ocenie MSW PRL spotkanie Kiszczak–Wałęsa doprowadziło do polaryzacji wśród funkcjonariuszy »Solidarności«. Częściowo podnoszone były ciężkie zarzuty przeciw Wałęsie, który sprzedał »Solidarność«, wypaczył sens strajków i zniweczył wysiłki strajkujących” – raportowała 5 września OGW.

Dziesięć dni później doszło do kolejnych rozmów przedstawicieli władz PRL i opozycji. Czesław Staszczak, podsekretarz stanu w MSW, poinformował potem „bratnie organy” państw socjalistycznych: „Wałęsa początkowo agresywny, w dalszym przebiegu [rozmowy] bardziej przystępny. Widzi udział [w spotkaniu] w przeciwieństwie do dużej części doradców jako sukces”. Staszczak miał powiedzieć dosłownie: „W[ałęsę] mamy już właściwie w garści”.

Ale wynik tej gry nie był jeszcze przesądzony. Władze PRL wciąż nie godziły się na powtórny legalizację NSZZ „Solidarność” i – do czasu – na udział w rozmowach niektórych przedstawicieli opozycji, zwłaszcza Jacka Kuronia i Adama Michnika.

Mieczysław Rakowski, nowy premier PRL, w czasie spotkań z politykami i dyplomatami NRD długo prezentował się

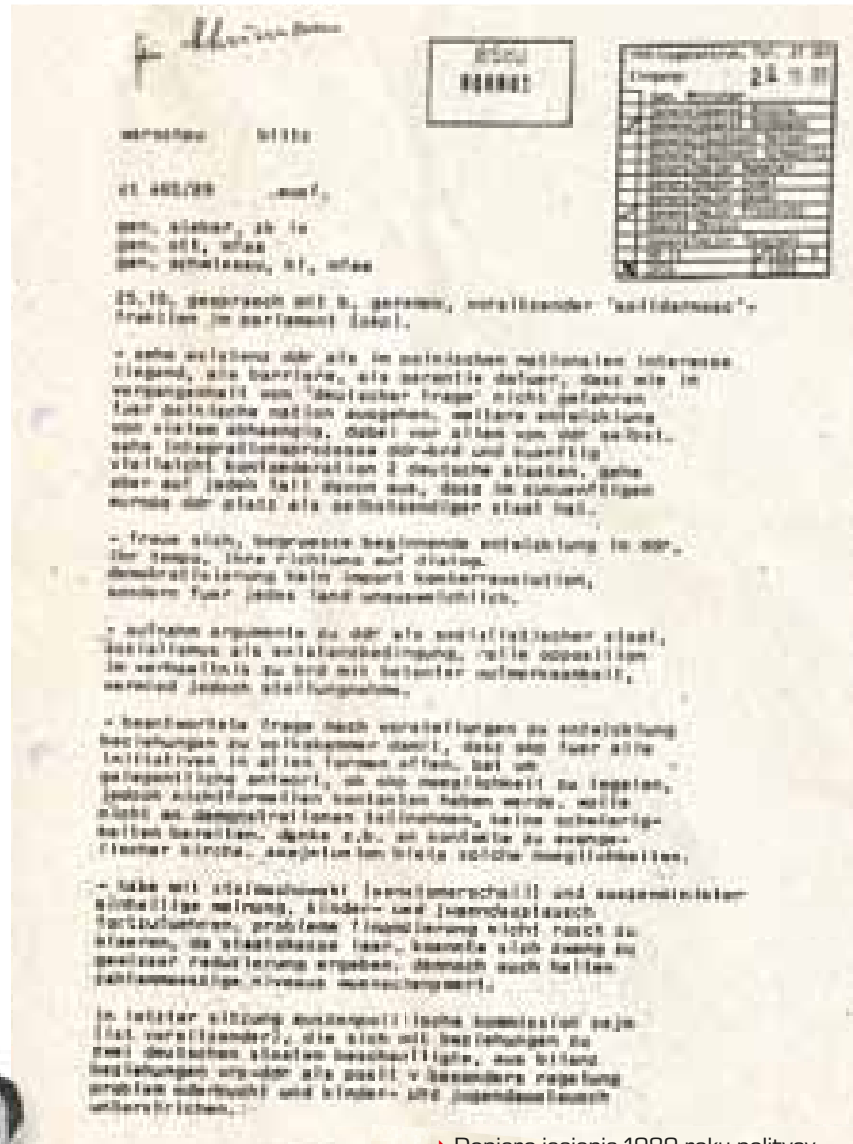
► Jacek Kuroń i Adam Michnik (w środku), druga połowa lat osiemdziesiątych; zdjęcie wykonał „Henryk” – tajny współpracownik enerderskiej Stasi



wręcz jako przeciwnik Okrągłego Stołu, a przynajmniej zwolennik odwlekania obrad, aż władza będzie miała po swojej stronie więcej atutów. Rakowskiemu miało się marzyć połączenie Solidarności z prorządowym Ogólnopolskim Porozumieniem Związków Zawodowych. Trudno ocenić, jak dalece faktycznie wierzył w taki scenariusz, a w jakim stopniu starał

się jedynie uspokajając rozmówców z NRD.

Sytuację władz PRL dodatkowo skomplikowała debata Wałęsy z szefem OPZZ Alfredem Miodowiczem. Odbyła się 30 listopada i zgromadziła przed telewizorami miliony Polaków. Kiszczak tłumaczył później jednemu ze wschodnioniemieckich generałów, że był jej przeciwny: „Wcześniej Wałęsa był ►



► Dopiero jesienią 1989 roku politycy i dyplomaci NRD próbowali nawiązać kontakt z przedstawicielami Solidarności

Entwertung gesamtstaatliche Anträge nach Möglichkeit schriftlich Kontakt und Vernetzung. In der DDR... (The text continues with details about contact and networking in the GDR, mentioning the role of the Stasi and the Solidarity movement.)

Fot. BStU

Fot. BStU



► Na przełomie 1988 i 1989 roku Stasi utrzymywała, że władze PRL biorą pod uwagę wprowadzenie stanu wyjątkowego

przedstawiany jako głupi, prymitywny, przebiegły itd. W dyskusji telewizyjnej – dzięki dokładnemu przygotowaniu przez jego sztab doradców – udało mu się skorygować ten obraz w opinii publicznej. W ten sposób wzrosło znaczenie Wałęsy nie tylko w ramach narodowych, lecz również międzynarodowych. Władzom PRL coraz trudniej było wytłumaczyć, dlaczego nie godzą się na legalizację Solidarności.

Wałęsa nie tylko dostał paszport, lecz także zaczął się regularnie pojawiać w reżimowych mediach. W NRD z niepokojem odnotowano na przykład wywiad, którego udzielił na początku 1989 roku tygodnikowi „Polityka”. Powstały niedługo wcześniej Komitet Obywatelski przy Lechu Wałęsie Stasi nazwała „antysocjalistyczną organizacją polityczną”. Otoczenie Jaruzelskiego nie podzielało tych ocen. W styczniu KC PZPR zapalił zielone światło dla ponownej rejestracji Solidarności.

Otworzyło to drogę do rozmów Okrągłego Stołu, zainaugurowanych ostatecznie 6 lutego. Józef Czyrek, członek Biura

Politycznego KC PZPR, nazwał obrady teatrem narodowym. „Każda ze stron deklamuje swoje teksty, zwraca się nie do partnera, lecz do opinii publicznej. Właściwe decyzje muszą być uzgadniane za kulisami. Do tego jednak jeszcze daleko” – oceniał pierwsze dni rozmów, gdy 14 lutego spotkał się z ambasadorem NRD Jürgenem van Zwollem.

Czyrek tłumaczył, że celem Okrągłego Stołu jest podzielenie opozycji i odebranie strajkom charakteru politycznego. Podobne argumenty przedstawił zresztą już kilka miesięcy wcześniej w Berlinie – w trakcie spotkania z reprezentującym kierownictwo SED Hermannem Axenem. „Gdyby udało się pozyskać część opozycji na rzecz polityki porozumienia, wówczas ten odłam musiałby nieuchronnie odwrócić się od sił radykalnych” – tłumaczył w czasie wizyty w NRD.

Na przełomie 1988 i 1989 roku OGW regularnie przekazywała informacje o pogłębiających się podziałach w szeregach polskiej opozycji. Zarazem jednak analitycy Stasi lekceważyli te sygnały.

Zakładano, że otoczenie Lecha Wałęsy i bardziej radykalne środowiska – jak Konfederacja Polski Niepodległej czy Solidarność Walcząca – różnią się głównie w kwestii metod, a nie celów. „Wspólny cel wszystkich opozycyjnych, wrogich sił to erozja, osłabienie, destabilizacja i wreszcie likwidacja socjalizmu” – oceniano w połowie marca.

Z poparciem Moskwy

Ekipa Jaruzelskiego zdawała sobie sprawę z tego, że Berlin Wschodni z niepokojem obserwuje sytuację w Polsce. „Dominuje tu [w NRD] zdanie, że Polska odbiegła już od pryncypiów socjalizmu i porusza się w kierunku socjaldemokracji” – czytamy w jednej z analiz Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Władze w Warszawie wiedziały jednak, że „NRD jest zbyt słabe, aby zablokować reformy przeciwników” – jak pisze w książce *Przyjaźń, której nie było* Tytus Jaskułowski.

Jaruzelski mógł się czuć tym pewniej, że miał poparcie Moskwy. Na spotkaniu z ambasadorami państw socjalistycznych – bezpośrednio po marcowym plenum KC Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego – przywódca ZSRR Michaił Gorbaczow miał podkreślić, że Kreml nie będzie ingerował w decyzje partii komunistycznych w bratnich krajach, i to nawet wówczas, gdyby te postanowiły wejść na kapitalistyczną drogę rozwoju. Stasi otrzymywała także inne sygnały, że sowiecki rząd, a zwłaszcza tamtejsze Ministerstwo Spraw Zagranicznych, popiera kurs Jaruzelskiego. W tej sytuacji – jak pisze Jaskułowski – „nawet najbardziej agresywna retoryka władarzy SED nie zmieni[a] ich bezradności”.

Władze NRD mogły jeszcze po cichu liczyć, że Jaruzelski jednak nie dogada się z Solidarnością. Już pod koniec października 1988 roku OGW donosiła, że polskie kierownictwo przygotowało scenariusze i na wypadek sukcesu, i fiaska rozmów z opozycją. W tym drugim wypadku miałyby dojść do wprowadzenia stanu wyjątkowego. Podobne rewelacje Stasi powtarzała nawet w marcu 1989 roku, gdy rozmowy Okrągłego Stołu trwały w najlepszej.

Tytus Jaskułowski sugeruje jednak, że „stosowne przygotowania nigdy nie miały wejść w życie”. Polskie władze mogły celowo dezinformować przedstawicieli NRD, by wyrobić w tamtejszym kierownictwie przekonanie, że Jaruzelski panuje nad sytuacją i w razie potrzeby gotów jest do użycia siły.

O ile zresztą w roku 1981 Jaruzelski mógł liczyć na wojsko, bezpieczeńkę i milicję, o tyle osiem lat później nie był już chyba tak pewny ich wsparcia. W roku 1989 Stasi zwracała uwagę na coraz gorszą atmosferę w polskich resortach siłowych. Funkcjonariusze narzekali na niskie pensje i niepewność jutra. Wielu z własnej woli odchodziło ze służby, by zająć się biznesem.

Ulica groźniejsza od Michnika

O losie PRL zdecydowały czerwcowe wybory parlamentarne 1989 roku. Do ostatnich dni nikt jednak nie był w stanie przewidzieć, że dla komunistów zakończą się klęską. „Trudno podać pewną prognozę wyniku wyborów. Jednak jak najbardziej realne jest założenie, że »opozycji politycznej« nie uda się zrealizować swojego celu maksimum – zdobyć wszystkich możliwych mandatów” – oceniała 12 maja ambasada NRD w Warszawie.

Przy Okrągłym Stole PZPR i jej sojusznicy zagwarantowali sobie 65 proc. miejsc w sejmie. Rywalizacja miała się

toczyć o pozostałe 35 proc. i stuosobowy senat. Jaruzelski, który 22 maja gościł w NRD, dawał do zrozumienia, że liczy także na część tej puli. Razem – tłumaczył Honeckerowi – koalicja pod wodzą komunistów mogłaby mieć 80 proc. miejsc w nowym sejmie.

Jeszcze 2 czerwca – w swoim miesięcznym raporcie – OGW prognozowała, że I tura wyborów w PRL nie przyniesie rozstrzygnięcia. Absolutną większość głosów miałyby uzyskać tylko niewielu szczególnie popularnych kandydatów, np. Aleksander Kwaśniewski ze strony rządowej i prof. Witold Trzeciakowski z opozycji. Prognoza opierała się na rozmowach z przedstawicielami polskiego MSW i Wojskowej Służby Wewnętrznej. Okazała się jednak całkowicie błędna. 4 czerwca 1989 roku Solidarność odniosła miażdżące zwycięstwo.

Dzień później van Zwoll informował o „głębokiej konsternacji” w szeregach PZPR i jej sojuszników. Ambasador NRD trafnie ocenił, że utworzenie „wielkiej koalicji” pod wodzą Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej jest w tej sytuacji mało prawdopodobne. Przewidywał też, że możliwe jest przejście grupy posłów Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego i Stronnictwa Demokratycznego – dotychczasowych sojuszników PZPR – na stronę opozycji.

13 czerwca w Warszawie gościł Harry Ott, wiceminister spraw zagranicz-

nych NRD. „Wyniki wyborów wypadły znacznie gorzej niż oczekiwano” – przyznał szef dyplomacji PRL Tadeusz Olechowski. „PZPR liczyła na 2/3 miejsc dla koalicji rządzącej w sejmie i 1/3 w senacie” – wyjaśniał. Nie ukrywał również, że lojalność ZSL i SD budzi wątpliwości. Deklarował jednak, że w nowym parlamencie pewny jest wybór Jaruzelskiego na prezydenta. Z punktu widzenia PZPR – mówił Olechowski – korzystna byłaby „wielka koalicja”, zwłaszcza gdyby Solidarność objęła niewdzięczne resorty odpowiedzialne za politykę gospodarczą i społeczną. „Na to jednak opozycja jest zbyt sprytna” – ocenił.

Trzy dni później Günter Sarge, prezes Sądu Najwyższego NRD, rozmawiał ze Stanisławem Cioskiem, członkiem Biura Politycznego KC PZPR i bliskim współpracownikiem gen. Jaruzelskiego. Także Ciosek mówił o porażce, zastrzegając jednak, że nie było innej drogi. Alternatywą wobec Okrągłego Stołu była – jego zdaniem – tylko metoda pekińska, czyli wyprowadzenie czołgów na ulice. Wyborów – tłumaczył Ciosek – nie można zaś było odkładać, bo jesienią sytuacja byłaby jeszcze dramatyczniejsza. Polskę – zapowiadał – czekają bolesne podwyżki cen. „Mniej boję się opozycji, Kuronia albo Michnika, bardziej boję się niekontrolowanego wybuchu społecznego” – wyznawał. Ciosek prognozował, że Solidarność przędzie ▶

▶ Premierzy NRD Willi Stoph i PRL Mieczysław Rakowski w czasie spotkania w Berlinie Wschodnim, grudzień 1988 roku; Rakowski miał przekonywać wschodniemieckich rozmówców, że nie jest zwolennikiem Okrągłego Stołu



czy później się podzieli, choć przyznawał, że istnieje też ryzyko rozłamu w PZPR. Uspokajał jednak: „Partia i koalicja nadal mają w ręku państwo, aparat, armię i policję”.

W Berlinie Wschodnim oceniano nową sytuację znacznie mniej optymistycznie. „Antysocjalistyczne, kontrewolucyjne siły w sojuszu z Kościołem otrzymały decydujące pozycje w państwie i społeczeństwie” – raportowała Stasi.

Sondowanie Solidarności

Wybór Jaruzelskiego na prezydenta PRL nie mógł na długo uspokoić wschodniemieckich towarzyszy. Czesławowi Kiszczakowi nie udało się stworzyć nowego rządu. 12 września premierem został Tadeusz Mazowiecki – człowiek Solidarności. W jego gabinecie PZPR objęła tylko kilka – za to istotnych – resortów.

Trzy dni później jeden ze wschodniemieckich generałów odwiedził Czesława Kiszczaka. Kiszczak – wciąż minister spraw wewnętrznych, a teraz dodatkowo wicepremier – nie wyglądał na przerażonego. Oświadczył, że w obecnych warunkach Mazowiecki to optymalny premier: „Jest ortodoksyjnym katolikiem, ma bardzo dobre relacje z papieżem, mniej dobre z [prymasem] Glempem. [...] Jest rzeczową, zrównoważoną, spokojną osobą”. Kiszczak pochwalił też za umiarkowanie Krzysztofa Skubiszewskiego – nowego szefa dyplomacji.

Siebie nazwał gwarantem, który zrobi wszystko, by obronić socjalizm. Miał nawet twierdzić, że gotów jest raz jeszcze internować takie osoby jak Mazowiecki i Kuroń, gdyby było to konieczne. Kiszczak – wielki cynik – mówił oczywiście to, co Honecker i jego ludzie chcieli usłyszeć. Część podwładnych zarzucała tymczasem ministrowi, że bardziej niż o socjalizmie myśli o własnej karierze.

Jesienią 1989 roku Stasi informowała o pogłębiającym się kryzysie w Służbie Bezpieczeństwa i milicji. „Przeklina się Kiszczaka i określa się jego i Jaruzelskiego jako przekupnych zdrajców, bo za stołek sprzedali partię Kościołowi” – czytamy w jednym z dokumentów. Mimo

to Kiszczak mógł być w miarę spokojny, że w resorcie nie dojdzie do buntu. W wewnętrznej analizie KC PZPR podkreślano, że niezadowoleni funkcjonariusze nie mogą liczyć na pomoc w Moskwie, to zaś powinno skutecznie hamować ewentualne próby oporu.

Dużo trudniej było w tym czasie zapanować nad polską gospodarką. W jednej z analiz Stasi pojawia się sugestia, że podwyżki cen gazu, energii elektrycznej i czynszów doprowadzą do masowych demonstracji, a w konsekwencji do upadku rządu Mazowieckiego.

Innego zdania była ambasada NRD. Van Zwoll trafnie ocenił, że przez kilka lat PZPR nie będzie w stanie „być decydującą siłą polityczną w Polsce”, i to nawet wówczas, „gdyby wyobrażenia ekonomiczne i społeczne »Solidarności« poniosły klęskę”. Skoro zaś nie zanośli się na kolejną rewolucję na scenie politycznej PRL, to z punktu widzenia interesów NRD nie miało sensu udawanie, że rząd Mazowieckiego nie istnieje.

25 września van Zwoll pisał więc do Güntera Siebera z Komitetu Centralnego SED, postulując szybkie nawiązanie kontaktu z nowymi polskimi ministrami. Ambasador zwracał uwagę na to, że część działaczy Solidarności obawia się skutków destabilizacji NRD i zjednoczenia Niemiec. Obawy takie faktycznie istniały i wynikały choćby stąd, że w RFN pewne środowiska – zwłaszcza Związek Wypędzonych – nadal kwestionowały granice powojenne.

Równy miesiąc później van Zwoll spotkał się z Bronisławem Geremkiem, przewodniczącym Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego, zrzeszającego posłów i senatorów Solidarności. Geremek miał zapewnić, że istnienie NRD jest w polskim interesie – jako gwarancja tego, że z „kwestii niemieckiej” nie wynikną zagrożenia dla Polski. Trudno oceniać, ile w tym było kurtuazji wobec wschodniemieckiego dyplomaty. Van Zwoll wyniósł jednak z rozmowy dobre wrażenie i prognozował, że możliwe są rzeczowe kontakty z obozem Solidarności.

2 listopada w Warszawie gościł Egon Krenz, który dopiero co zastąpił

Ericha Honeckera na najważniejszych stanowiskach w partii i państwie. Nowy przywódca NRD spotkał się nie tylko z Jaruzelskim i Rakowskim, lecz także z Mazowieckim i Geremkiem. Z kolei dzień później „Henryk” – tajny współpracownik Stasi działający w Trójmieście – dowiedział się, że w kierownictwie Solidarności zameldował się telefonicznie konsul NRD w Gdańsku, także prosząc o nawiązanie kontaktu.

Te próby rozmów z ludźmi Solidarności były mocno spóźnione. W NRD nasilały się już masowe protesty, a także ucieczki obywateli, którzy przez Węgry, Czechosłowację i Polskę przedostawali się na Zachód. Wspomniany „Henryk” rozmawiał o tym z Bogdanem Borusewiczem, jednym z liderów Solidarności. „Powiedział mi, że obywatele NRD zachowują się tak, jak to czynili Polacy, ale polscy obywatele zachowują się teraz jak obywatele NRD do 1988 roku” – raportował „Henryk”. I faktycznie – w PRL, choć komunizm był w odwrocie, społeczeństwu daleko było do entuzjazmu, który cechował narodziny pierwszej Solidarności w 1980 roku. Za to w Niemieckiej Republice Demokratycznej obywatele, przez lata zastraszeni przez policyjny reżim, teraz wreszcie budzili się z letargu.

9 listopada 1989 roku runął mur berliński. Szybko stało się jasne, że upadek NRD jest już tylko kwestią czasu. Zmieniały się też partie komunistyczne w Europie Środkowo-Wschodniej, stawiając na nowe twarze i programy i próbując zachować w ten sposób przynajmniej część wpływów. Enerdowska SED przekształciła się w SED-PDS i zaakceptowała demokratyczne reguły gry. 30 stycznia 1990 roku Gregor Gysi, przewodniczący nowej partii, przygotował telegram gratulacyjny dla Aleksandra Kwaśniewskiego i Leszka Millera, liderów Socjaldemokracji Rzeczypospolitej Polskiej, powstałej dzień wcześniej na gruzach PZPR. „Z socjalistycznym pozdrowieniem” życzył im „zdrowia i wigoru” „w tym nad wyraz skomplikowanym dla naszych partii i krajów czasie”. ■

WITAJCIE WYBORCY

Wybory w PRL: udawana demokracja

Michał Siedziako

Rządy komunistów w Polsce nigdy nie miały demokratycznej legitymacji, mimo że wybory – warunek uznania powojennych władz przez zachodnich aliantów – w PRL odbywały się systematycznie.

Pierwszymi głosowaniami w Polsce pod rządami komunistów były referendum z czerwca 1946 roku i wybory do Sejmu Ustawodawczego ze stycznia 1947 roku. Podczas poprzedzających je kampanii dokonano brutalnej pacyfikacji zbrojnego podziemia antykomunistycznego oraz działającej legalnie opozycji politycznej – Polskiego Stronnictwa Ludowego i Stronnictwa Pracy. W ich likwidacji ważną rolę odegrały podporządkowane Polskiej Partii Robotniczej struktury aparatu represji, których działalność koordynowała Państwowa Komisja Bezpieczeństwa.

Terror i głosowanie bez skreśleń

W walce z przeciwnikami komuniści zastosowali szeroki wachlarz metod. „Akcjom pacyfikacyjnym”, podczas których rozbijano ukrywające się w lasach zbrojne grupy przeciwników nowego ustroju politycznego, towarzyszyło zastraszanie miejscowej ludności, zwolennikom opozycji odbierano prawa wyborcze, konfiskowano majątki, osoby zaangażowane w działalność opozycyjną były narażone na szykany w pracy i aresztowania. Nierzadkie były także przypadki mordów politycznych. Tylko w memoriale PSL w sprawie wyborów, złożonym 18 grudnia 1946 roku

ambasadorom USA, Wielkiej Brytanii i ZSRR w Warszawie, wskazano imieniem 110 zabitych członków i sympatyków stronnictwa. Trudno dziś jednak określić precyzyjnie ogólną liczbę zamordowanych wówczas z powodów politycznych działaczy opozycji legalnej i podziemia niepodległościowego. Zastraszonych wyborców zmuszano do jawnego głosowania po myśli komunistów i ich sojuszników, występujących pod fałszywym szyldem „bloku demokratycznego”. Mimo ogromnej presji psychicznej, a często i fizycznej, nie obyło się bez fałszerstw – przywódcy PPR, chcąc ogłosić swój sukces, musieli „poprawić” wyniki obu głosowań, w czym pomogli im przysłani do Polski specjaliści na tę okazję specjaliści ze Związku Radzieckiego.

Groteskową formę miały pierwsze wybory do Sejmu PRL w 1952 roku. ▶

▶ W okresie wyborów na murach i jezdniach „niewidzialna ręka” malowała napisy zniechęcające obywateli do udziału w fałszowanych głosowaniach

ZDRA
LUB
IDZIE DO

Odbyły się one w szczytowym okresie stalinizmu w Polsce. Po wyeliminowaniu ze sceny politycznej niezależnego ruchu ludowego i chadeckiego oraz aneksji Polskiej Partii Socjalistycznej przez PPR, Polską niepodzielnie rządziła już Polska Zjednoczona Partia Robotnicza. Ordynacja wyborcza zakładała, że zgłoszone listy wyborcze mogły zawierać tylko tylu kandydatów, ilu posłów miało zostać wybranych w danym okręgu. Chociaż przepisy dopuszczały możliwość rejestracji wielu list, sterowany przez komunistów aparat wyborczy, realizując zalecenia partyjnego centrum, dopuścił do zarejestrowania w każdym z okręgów tylko kandydatów występujących pod szyldem Frontu Narodowego. Wytworzyło to kuriozalną sytuację, w której wszyscy kandydaci zostali „wybrani”, gdyż ich liczba była równa liczbie mandatów do obsadzenia. Można zatem powiedzieć, że posłów mianowała *de facto* PZPR. Taki model „wyborów” zgodny był z wdrażanymi wówczas na różnych płaszczyznach życia społeczno-politycznego PRL wzorcami sowieckimi. Wyborom towarzyszyła nachalna akcja propagandowa, w ramach której nakłaniano ludzi do udziału w wyborczej farsie i jawnego oddawania głosów bez ingerencji na karcie wyborczej. Trzeba tu wyjaśnić, że ordynacja nie przewidywała, tak jak dziś, głosowania pozytywnego, czyli zaznaczania wybranego kandydata, lecz głosowanie negatywne

– skreślanie tych osób, których wyborca nie chciał w parlamencie. Głosowanie przebiegało w atmosferze terroru szerzonego przez rozbudowany aparat bezpieczeństwa publicznego.

Pewne złagodzenie wpływów sowieckich nastąpiło wraz z tzw. odwilżą w 1956 roku. W uchwalonej przez sejm w październiku tegoż roku nowej ordynacji wyborczej wprowadzono obowiązek zamieszczania na listach wyborczych większej (ale maksymalnie o dwie trzecie) liczby kandydatów niż liczba mandatów do obsadzenia w danym okręgu. Wyborcy mogli dokonywać skreśleń, a głosy zdobywali nieskreśleni kandydaci z listy, na którą wyborca głosował. Jeśli skreśleń na karcie nie było, do sejmu wchodził zamieszczony na niej w pierwszej kolejności, na tzw. miejscach mandatowych. Deklarowana przez władze „demokratyzacja” miała jednak bardzo ograniczony charakter, formalną możliwość wyboru zawężono do kandydatów występujących po raz kolejny pod jednym szyldem – Front Narodowy został zastąpiony przez Front Jedności Narodu. W toku kampanii wyborczej początkowo zachęcano do głosowania „na najlepszych z listy”, sytuacja zaczęła się jednak wymykać spod kontroli. Na zebraniach wyborczych dochodziło do ostrych starć między

przedstawicielami PZPR i Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego, kampanię skierowaną przeciwko sobie prowadzili także członkowie różnych frakcji funkcjonujących nieformalnie w samej partii. „Na ogół ze wszystkich województw towarzysze sygnalizowali o hasłach nawołujących do »niewybijania komunistów«” – czytamy w raporcie przygotowanym przez Wydział Organizacyjny Komitetu Centralnego PZPR na podstawie relacji sekretarzy komitetów wojewódzkich PZPR 7 stycznia 1957 roku. Pojawiło się ryzyko, że z list skreśleni zostaną kandydaci, którzy w zamiśle władz partyjnych mieli znaleźć się w przyszłym sejmie (ostatecznie w pierwszej turze wyborów nie został wybrany tylko jeden kandydat zamieszczony na liście na miejscu mandatowym w okręgu wyborczym z siedzibą w Nowym Sączu). W tej sytuacji Biuro Polityczne KC PZPR postanowiło zmienić strategię i 7 stycznia 1957 roku podjęło decyzję o propagowaniu hasła „głosowania bez skreśleń”. Stało się ono nieodłącznym zjawiskiem kampanii wyborczych aż do 1985 roku.

► Kampania wyborcza w 1947 roku prowadzona była z rozmachem; ul. Piotrkowska w Łodzi, styczeń 1947 roku



Stałym elementem peerelowskiej praktyki wyborczej w całym tym okresie było także rejestrowanie tylko jednej listy wyborczej. Do 1980 roku była to lista FJN, w 1985 roku zaś – Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego. Wyborcy głosujący bez skreśleń na jedną listę nie dokonywali właściwie żadnego wyboru. Ich rola sprowadzała się do akceptacji kandydatów wystawionych przez FJN, następnie PRON. Obie te struktury miały charakter fasadowy. Choć tworzyli je przedstawiciele różnych organizacji i środowisk, w rzeczywistości ich działalnością sterowała PZPR.

Bezskuteczna krytyka

Kampanie poprzedzające wybory do sejmiku w PRL nie mogły być w tej sytuacji rywalizacją między poszczególnymi kandydatami na posłów. Miały one przede wszystkim mobilizować społeczeństwo do udziału w wyborach i zaangażowania w proces wyborczy. Chodziło również o rozpropagowanie uchwał i planów uchwalanych przez Zjazdy PZPR (stanowiły one podstawę kolejnych programów wyborczych), określanych górnolotnie jako „programy całego narodu”, które miały być akceptowane i realizowane przez całe społeczeństwo.

Polacy doskonale zdawali sobie sprawę z fasadowego charakteru wyborów. To, że o składzie najwyższego organu władzy państwowej decydowała partia, było swoistą tajemnicą publiczną. „Tyle razy to widziałem, a ciągle rzecz wydaje mi się niepojęta i nieprawdopodobna. W telewizji pokazują, jak całe wsie idą »do urny« z kapelą, jak głosują »intelektualiści«, aktorzy, etc., bez przerwy powtarza się, że to ogromny sukces, że głosuje się za »lepszym jutrem«, za przyszłością Polski, za owym, ale nikt nie bąknie słówka na temat, o którym wszyscy doskonale wiedzą: że to nie są żadne wybory, lecz upokarzająca komedia, bo kandydaci są z góry wyznaczeni i mianowani” – notował po wyborach w 1976 roku w swoim dzienniku Stefan Kisielewski.

Fot. PAP/Witold Rozmysłowicz



► Zachęcanie do głosowania grupowego (szczególnie w przypadku instytucji – w tym zwłaszcza mundurowych, jak wojsko czy milicja) pod hasłami poparcia dla władz było metodą chętnie stosowaną przez rządzących komunistów przez cały okres PRL i stanowiło nie tylko narzędzie propagandowe, lecz także ułatwiała falszerstwa; na zdjęciu głosowanie w jednostce wojskowej, 1976 rok

Dezaprobatę wobec obowiązujących praktyk wyborczych wyrażano w korespondencji kierowanej do różnych instytucji. Ryszard Diamentowski, wyborca z Poznania, w liście z kwietnia 1969 roku pytał Państwową Komisję Wyborczą, po co w ogóle przeprowadzać kosztowne głosowania, skoro są one fikcją. W tym samym roku Pelagia Skrzydło, mieszkanka Tarnowskich Gór, zarzucała władzom brak cywilnej odwagi, ażeby dopuścić pod głosowanie kilka odrębnych list. Anonimowy autor skargi wyborczej z 1980 roku stwierdzał z kolei, że władze traktują wyborców jak „automaty”, dodając, że jeżeli kolejne wybory odbędą się na dotychczas obowiązujących zasadach, to nie warto ich organizować, „bo i tak ci wstawieni na pierwszym planie będą wybrani”. Zaznaczał jednocześnie, że jest „oddany Polsce Ludowej”, ale „słysz, co mówią sąsiedzi”. Negatywne opinie o sposobie przeprowadzania wyborów padały niekiedy nawet na zebraniach oficjalnych organizacji. Na

przykład na posiedzeniu Powiatowego Komitetu Zjednoczone Stronnictwa Ludowego w Świnoujściu 28 stycznia 1972 roku Służba Bezpieczeństwa odnotowała „wypowiedzi, iż przy obecnym systemie wyborczym nie ma celu brać udziału w głosowaniu, bo i tak z góry wiadomo, kto zostanie posłem. Uzasadniano to tym, iż kandydatów na posłów ustala się na szczeblu wojewódzkim i z góry określa miejsca mandatowe”.

Mimo tego uczestnictwo w peerelowskich spektaklach wyborczych było gremialne. Według oficjalnych danych, z wyjątkiem 1985 roku, frekwencja zawsze przekraczała 90 proc., a przytłaczająca większość wyborców oddawała głosy jawnie (bez wchodzenia do kabiny), bez skreśleń. Decydowało o tym wiele czynników: u jednych było to poczucie „obywatelskiego obowiązku”, inni działali pod wpływem presji propagandy i otoczenia, jeszcze inni obawiali się ewentualnych reperkusji. „Uprzejmie powiadamiam o tym, że były wypadki ►



Fot. AIPN

► Spotkanie przedwyborcze Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”, 1989 rok

ponoszenia gorzkich konsekwencji przez te osoby, które w czasie głosowania wchodziły do kabiny [...] – a więc głosowanie zgodne z Konstytucją. Dlatego też zwracam się do Państwowej Komisji Wyborczej z uprzejmą prośbą o takie zorganizowanie nadchodzących wyborów [...], aby lojalny obywatel dokonujący głosowania zgodnie z naszą Konstytucją, nie był następnie dręczony i uznawany za wroga socjalizmu, za to głosowanie” – pisał Józef Wyczółkowski, wyborca z Czyżewa, w liście do PKW z 1980 roku. O konsekwencjach „niesubordynacji” podczas wyborów mówił też anonimowy list do przewodniczącego PKW z tego samego roku: „Górnicy w Zabrze opowiadają i sam też to widziałem w 1976 roku, że w lokalach wyborczych w składzie komisji albo obok komisji siedzi taki obserwator, który zapisuje tych wszystkich, co idą za kotarę i że tacy potem mają kłopoty w pracy z awansem i lepszą pracą. Że tacy obserwatorzy są, to mówili też członkowie komisji w lokalach wyborczych”.

Wyższa frekwencja wynikała też z tego, że komisje wyborcze dopuszczały możliwość głosowania za kogoś (sąsiada lub członka rodziny), zdarzały się przypadki manipulowania spisami wyborców (np. wydawano fikcyjne zaświadczenia o prawie głosowania poza miejscem zamieszkania, dzięki czemu nieobecność określonych osób na wyborach nie miała wpływu na obniżenie

frekwencji). Aby wykazać się dobrymi wynikami wyborów, lokalni działacze „poprawiali” też wyniki głosowań. Członek Gminnej Rady Narodowej z Mińska Mazowieckiego Stanisław Łodyga, odpowiadając na wysuniętą przez władze przed wyborami do Sejmu w 1985 roku propozycję wydłużenia głosowania do dwóch dni pisał: „Jesteśmy już przyzwyczajeni, że wybory trwają jeden dzień, będą mniejsze koszty i mniej czasu na kombinacje, które wyczerpują znamiona przestępstwa z art. 189 par. 1 KK. Tak, kombinacje – gdyż jako działacz gminny mam w tym zakresie pewne doświadczenia. Wyborcy zdają sobie sprawę, że akt głosowania nie zmienia stanu rzeczy i lekceważą ten obowiązek. Szczególnie jaskrawo ujawniło się to przy ostatnich wyborach [chodzi o wybory do rad narodowych z 1984 roku – przyp. M.S.]. Żeby przekroczyć granicę 50 proc. frekwencji, działacze gminy i pracownicy K[omisji] G[minnej] stają dosłownie na głowie, a na dodatek ponaglanie z województwa i stąd rodzi się przestępstwo fałszowania wyborów – głównie fikcyjne zwiększanie liczby głosujących”.

Wybory parlamentarne, w których uczestniczyli Polacy aż do 1985 roku, nie były w rzeczywistości wyborami. Wyborcy przypieczętowali w nich jedynie, w myśl zachowania pozorów demokracji, decyzje podejmowane wcześniej w strukturach PZPR, gdzie projektowano skład sejmu zarówno pod względem politycz-

nym, jak i społeczno-zawodowym. Przyszli posłowie wyłaniani byli w wyniku wewnątrzpartyjnych ustaleń, w których toku zachodziła ograniczona, ukrywana za fasadą powszechnej jedności rywalizacja między różnego rodzaju grupami interesu. Kandydaci byli dokładnie weryfikowani, nie było mowy o jakiegokolwiek przypadkowości. Partia, chcąc utrzymać swoją hegemoniczną pozycję w systemie politycznym PRL, musiała zapewnić sobie pełną kontrolę nad składem kluczowego organu władzy państwowej.

Nudne referaty kontra profesjonalny show

Z tej perspektywy wybory w 1989 roku miały wręcz rewolucyjny charakter. Po raz pierwszy od zakończenia II wojny światowej Polacy zostali realnie włączeni do decydowania o sprawach państwowych. Wybór był co prawda ograniczony – dotyczył tylko 35 proc. mandatów w sejmie, o które mogli ubiegać się bezpartyjni, oraz przywróconego senatu – pojawiło się jednak miejsce na rywalizację między przedstawicielami dotychczasowej władzy a jej przeciwnikami. Wybory przybrały formę starcia dwóch obozów: PZPR i jej satelitów oraz części opozycji pod przywództwem Lecha Wałęsy, która zdecydowała się na kompromis z władzami przy Okrągłym Stole. Wiele opozycyjnych środowisk w całym kraju sprzeciwiało się temu swoistemu duopolowi, wysuwając własnych kandydatów do parlamentu (np. Konfederacja Polski Niepodległej Leszka Moczulskiego czy Unia Polityki Realnej Janusza Korwin-Mikkego) lub wzywając do bojkotu wyborów jako „niedemokratycznej farsy” (m. in. Solidarność Walcząca, Polska Partia Socjalistyczna – Rewolucja Demokratyczna, Polskie Porozumienie Niepodległościowe, Liberalno-Demokratyczna Partia „Niepodległość”). Zaisniała jednak alternatywa, w której społeczeństwo uzyskało wreszcie możliwość wyrażania własnych opinii.

Kampania poprzedzająca głosowanie w myśl założeń PZPR miała przebiegać „niekonfrontacyjnie”. W ówczesnych realiach politycznych, w których o głosy

społeczeństwa zabiegały dwa skrajnie różne obozy polityczne, było to jednak zupełnie nierealne. Z perspektywy czasu jeden z głównych partyjnych decydentów tego okresu, Stanisław Ciosek, w rozmowie z Pauliną Codogni sam ocenił, że formuła ta była nonsensem. Agitacja wyborcza PZPR i jej satelitów powieliała jednak dotychczasowe schematy. Spotkaniom kandydatów na posłów z wyborcami brakowało dynamiki, podobnie jak w latach wcześniejszych miały one charakter wyreżyserowanych spektakli z długimi, nudnymi przemowami, odczytywanymi z kartek. Podstawowym błędem władz było przy tym wy-

► Na mocy postanowień Okrągłego Stołu do wyborów w czerwcu 1989 roku dopuszczono także opozycję, co zmieniło obraz kampanii wyborczej; na zdjęciu Tomasz Sarnecki, autor plakatu *W samo południe* przy punkcie wyborczym na warszawskim Żoliborzu, 4 czerwca 1989 roku

stawienie do walki o mandaty obsadzone w drodze rywalizacyjnych wyborów po kilku kandydatów na jedno miejsce. Prowadziło to do rozbicia poparcia dla obozu rządzącego między kilka osób, ubiegających się o dany mandat.

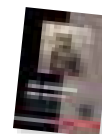
Po drugiej stronie z kolei wszystkie głosy w obrębie każdego mandatu mógł przejąć jeden kandydat solidarnościowy. Ubiegający się o miejsca w parlamencie z ramienia Komitetów Obywatelskich występował jako spójna i solidarna „drużyna Wałęsy”. W istocie rzeczy nie był to prawdziwy obraz, jego lansowanie przynosiło jednak korzyści. Opozycja mogła dzięki niemu jeszcze wyraźniej odróżnić się od zdeintegrowanego obozu władzy. Symbolicznym przejawem zastosowania tej strategii były plakaty i ulotki ze zdjęciami poszczególnych kandydatów ściskających rękę doskonale rozpoznawalnego przewodniczącego Solidarności. Podczas gdy

kandydaci KO nie byli w większości znani społeczeństwu, zdjęcia z Wałęsą ułatwiały ich polityczną identyfikację (żartowano, że były to wybory fotograficzne, bo mandat zdobywało się albo „ze zdjęcia” [z Wałęsą], albo „z aparatu” [partyjnego]). Wyborcy z reguły premiują jedność, co przy większościowym systemie wyborczym, który zastosowano w 1989 roku, okazało się szczególnie korzystne. Solidarnościowe spotkania wyborcze miały charakter profesjonalnego politycznego show, którego oprawę uświetniali znani artyści i ludzie kultury, także z zagranicy – m.in. Jane Fonda i Stevie Wonder. Charakteryzując kampanię wyborczą Komitetów Obywatelskich nie można nie wspomnieć także o poparciu udzielanemu ich kandydatom z ambon przez duchownych Kościoła katolickiego.

Zwycięstwo kandydatów KO było przytłaczające. Kandydaci solidarnościowi obsadzili 160 ze 161 możliwych do zdobycia mandatów poselskich oraz 92 mandaty senatorskie. Brakujący mandat w sejmie oraz osiem z dziewięciu pozostałych foteli w senacie przedstawicielom Solidarności przypadły po drugiej turze głosowania, która odbyła się 18 czerwca.

Odebranie Polakom wpływu na skład najwyższych władz państwowych było jedną z zasadniczych cech ustroju PRL. Przywrócenie możliwości dokonywania wyboru podczas głosowań poskutkowało druzgocącą klęską dotychczasowego obozu rządzącego, otwierając drogę do dalszych przemian demokratycznych w kraju. Dzień pierwszy częściowo wolnych, powojennych wyborów parlamentarnych nie był co prawda, jak ogłosiła z ekranów telewizorów Joanna Szczepkowska, końcem komunizmu w Polsce. Wyłom dokonany w komunistycznym systemie rządów był jednak na tyle głęboki, że nie sposób już było powstrzymać jego upadku. ❀

Michał Siedziako – politolog, pracownik Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN w Szczecinie, autor m.in. książki *„Bez wątplenia było warto”*



Więcej na temat ordynacji wyborczej w 1989 roku pisała Paulina Codogni w kwietniowym numerze „Pamięci.pl”.



Pułapka na drodze do wolności

Jolanta Drużyńska

Czeski szlak wydawał się polskim uciekinierom na zachód najłatwiejszy do pokonania. Okazał się jednak śmiertelną pułapką.

W 1952 roku zostały ukończone dodatkowe zabezpieczenia zachodnich granic Czechosłowacji. Wtedy to pojawiły się trzy rzędy wysokich na 2 m drutów kolczastych. Pierwszy i trzeci rząd stanowiły zasieki sygnalizacyjne, środkowy – blokada pod napięciem elektrycznym (od 3 do 6 tys. V). Dodatkowo niektóre odcinki granicy zostały zaminowane. Na zasiekach pod napięciem śmierć poniosły setki ludzi. Ginęli Czesi, Słowacy, Węgrzy, dziesiątki Niemców uciekających z NRD, a także Polacy. Dramatyczna historia tej grupy uciekinierów jest wciąż w Polsce mało znana – i gdyby nie akta przekazane przez czeskich historyków z czeskiego Urzędu Dokumentacji i Ścigania Zbrodni Komunistów (obecnie: Instytut Badania Reżimów Totalitarnych), do dziś nie poznalibyśmy także ostatnich chwil życia Mieczysława Drązkowiaka, harcerza skazanego przez reżim stalinowski na kilkanaście lat więzienia za udział w nielegalnej organizacji niepodległościowej.

Mieczysław Drązkowiak, urodzony w 1929 roku syn kolejarza, pochodził z Rawicza. W czasie wojny jako nastolatek pracował w firmie budowlanej w Rawiczu, a w 1944 roku, mając nie-

► Zaorany pas ziemi, druty kolczaste i patrole żołnierzy Wojsk Ochrony Pogranicza – wydostać się z któregośkolwiek kraju demokracji ludowej nie było łatwo; 1964 rok

pełna piętnaście lat, został wywieziony do kopania rowów przeciwczołgowych w okolicach Sieradza. Po wojnie, kiedy wrócił do rodzinnego miasta, wstąpił do reaktywowanego tam harcerstwa.

– Micia zawsze fascynowało wojsko. On nawet chciał zapisać się do marynarki wojennej, a ta przedwojenna sława Korpusu Kadetów działającego w Rawiczu też swoje zrobiła. Wychowany był na tych patriotycznych książkach historycznych i wszystko, co robił, to z myślą, żeby do tej wolnej Polski dążyć – podkreśla Alojzy Kistowski, rówieśnik Drązkowiaka, były komendant rawickich harcerzy i dodaje: – Był bardzo życzliwy, taki człowiek, do którego w każdej chwili można się było zwrócić o pomoc i dlatego najpierw został zastępowym, a potem przybocznym w naszej drużynie harcerskiej.

Harcerzami byli także późniejsi członkowie i sympatycy rawickiej organizacji niepodległościowej: młodszy o trzy lata od Drązkowiaka i Kistowskiego, pochodzący z biednej chłopskiej rodziny Józef Dudziński, przesiedlony z Kresów Tadeusz Łaskiewicz (rocznik 1931), członek drużyny im. Zawiszy Czarnego Andrzej Rehnenfeld, warszawiak, w czasie wojny w powstańczej poczcie polowej Szarych Szeregów, Roman Bachorski, uczeń Gimnazjum Mechanicznego w Poznaniu, członek I Drużyny ZHP Rawicz. Do 4. Drużyny Harcerskiej należał także Zygmunt Nowakowski.

Czekając na III wojnę

Gdy tylko skończyła się wojna, chłopcy zaczęli zbierać broń. Część, zakopaną jeszcze przez polskich żołnierzy w roku 1939, wydobywali w pobliskim lesie, część za wódkę kupowali od czerwonarmistów lub znajdowali porzuconą w miejscach ich stacjonowania. Działania młodych ludzi nie umknęły jednak uwadze miejscowej bezpieki i jeszcze

w 1945 roku Drażkowiak i Władysław Jany zostali zatrzymani za nielegalne posiadanie broni. Po tygodniu zwolniono ich z aresztu ze względu na młody wiek. Rok później ponownie stanęli przed sądem i znów ze względu na młody wiek zostali wypuszczeni.

– Kupowaliśmy też tę broń – przypomina Kistowski – a potem wymienialiśmy się nią między sobą. Ja miałem pistolet vis, maskę gazową, hełm, plecaki niemieckie, proch do karabinu. Ale broń, którą mieliśmy ja czy Jany, czy Drażkowiak, była tylko częściowo sprawna. Zbieraliśmy ją z myślą o tym, że dojdzie do tej III wojny światowej i że znajdzie się wreszcie droga ku wolnej Polsce.

Czekając na wydarzenia, trenowali strzelanie w lasku w Dębnie Polskim. Podczas ćwiczeń fotografowali się w bojowych pozach, czasem w mundurkach harcerek, czasem w hełmach i z bronią. Te zdjęcia, zarekwirowane przez miejscowy Urząd Bezpieczeństwa, miały stać się potem jednym z dowodów ich „przestępczej” działalności.

Do spotkania w sprawie utworzenia organizacji niepodległościowej doszło w marcu 1948 roku w mieszkaniu Mieczysława Drażkowiaka przy ul. Kamińskiego. Oprócz gospodarza obecni byli Władysław Jany, Andrzej Rahnenfeld, Roman Bachorski i Józef Dudziak. Rozmawiali o partyzantce, posiadanej broni, wpadli też na pomysł zawiązania tajnej organizacji walczącej „z obecnym ustrojem i z komunistami” – jak relacjonował Drażkowiak kilka miesięcy później podczas przesłuchania w Powiatowym Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego w Rawiczu.

Zastanawiano się podczas zebrania, jak nazwać organizację: „Czarny Mściciel”? „Krwawa Ręka”? „Podziemny skauting”? „Policja polityczna”? Ostatecznie zdecydowano się na nazwę „Krwawa Ręka – Czarny Mściciel”. Chłopcy przybrali pseudonimy i obdzielili się funkcjami: komendanta, magazyniera broni, szefa propagandy.

Szokujące wyroki

– Przez całe lata nie wiedzieliśmy, jak doszło do zdrady i kto doniósł o naszej grupie – mówi druh Kistowski. – Dopiero po odtajnieniu akt, z zeznań Janego, dowiedziałem się, że to jego krewna doniosła o tym, że on przechowuje broń. Nie mogłem w to uwierzyć, ale niestety potwierdziło się, że wiedziała o broni, o spotkaniach Władka. Potem to w UB wszystko połączyli, sprawdzili i zaczęli się aresztowania.

Do miejscowego aresztu trafili wszyscy z wyjątkiem Andrzeja Rahnefelda i Romana Bachorskiego, którzy uciekli z Rawicza, a potem z Polski.

– W czasie tych pierwszych przesłuchań – wspomina Kistowski – pytali głównie o tych, którzy byli już aresztowani, pytali też o organizację, ale ja mówiłem, że do niej nie należę. Przesłuchania odbywały się przeważnie w nocy. Nad ranem, ok. 3.00, przychodził śledczy i jak mu się znużyło, kazał taboret odwrócić i siadać na takim odwróconym przed jego biurkiem, ewentualnie jeszcze posyłał pod ścianę. Oczywiście ubliżali i bili, takim pejczem. 14 listopada przewieźli nas do centralnego więzienia w Rawiczu, chociaż byliśmy jeszcze przed rozprawą, jeszcze nam nawet zarzutów nie postawili. Pamiętam, że przy przyjmowaniu nas do więzienia naj-

► Każdy przypadek naruszenia pasa granicznego był dokładnie badany i opisywany

więcej oberwał Drażkowiak. Został pobity, kiedy chcieli mu zerwać szkaplerz, który miał na szyi (Mietek był bardzo religijny). Wszyscy staliśmy obrócenii twarzą do ściany i kątem oka widziałem tylko, jak mu się tak bardzo krew lała z nosa. Oczywiście odebrali mu ten szkaplerz.

Po kilku miesiącach śledztwa ośmiu zatrzymanych rawiczian stanęło przed sądem. Rozprawa odbywa się 30 grudnia 1948 roku w największej sali w mieście. Publiczność stanowili głównie miejscowi aktywiści partyjni i milicjanci, ale też młodzież szkolna i harcerze, dla których proces miał być swoistą lekcją patriotyzmu. Za – jak czytamy w akcie oskarżenia – „przynależność do nielegalnej organizacji »Krwawa Ręka – Czarny Mściciel«, która miała na celu przemocą zmienić ustrój państwa oraz za nielegalne posiadanie broni”, zapadły surowe wyroki. Po 15 lat więzienia otrzymali Jany i Drażkowiak, pozostali od 4 do 7 lat. Wysokość wyroków zrobiła wrażenie na obserwatorach procesu, zaskoczeni byli także oskarżeni i obrońcy.

– A jednak my, choć to dziś może wydawać się naiwne, naprawdę chcieliśmy zrobić coś konkretnego – mówi Alojzy Kistowski. – Przede wszystkim chcieliśmy otworzyć więzienie w Rawiczu i wypuścić na wolność tych wszystkich więzionych tam akowców i innych ludzi biorących udział w walce niepodległościowej. Wiedzieliśmy, co za tymi murami się dzieje, zanim sami tam trafiliśmy.

Do zamierzonego ataku na więzienie sądzony rok później Andrzej Rahnenfeld dodał jeszcze planowany atak na miejscowy Urząd Bezpieczeństwa. Z zachowanych protokołów przesłuchań poznajemy również szczegóły zatrzymania go razem z Bachorskim na terytorium Czechosłowacji. Za nielegalne przekroczenie granicy otrzymali wyrok 6 miesięcy więzienia. Po tym czasie Bachorski został deportowany do Polski. Przejęty przez funkcjonariuszy bezpieki stanął przed Wojskowym Sądem Rejonowym w Poznaniu, który za przynależność do organizacji „Krwawa Ręka – Czarny Mściciel” zasądził mu wyrok 7 lat więzienia. Przed poznańskim sądem stanął również Andrzej Rahnenfeld. ►

Ten, po udanej ucieczce z czeskiej fabryki cementu, gdzie odpracowywał wyrok, przedostał się do Austrii, a potem do Niemiec. Złapany na granicy, trafił do obozu DP (obóz deportowanych) w Wildflecken. Kilka miesięcy później nawiązał kontakt z polskim oficerem łącznikowym w Norymberdze i zapisał się na powrót do Polski. Wrócił i niespodziewanie dla wszystkich oddał się w ręce UB. Za niepodległościową działalność w Rawiczu sąd w Poznaniu wymierzył mu wyrok 5 lat pozbawienia wolności.

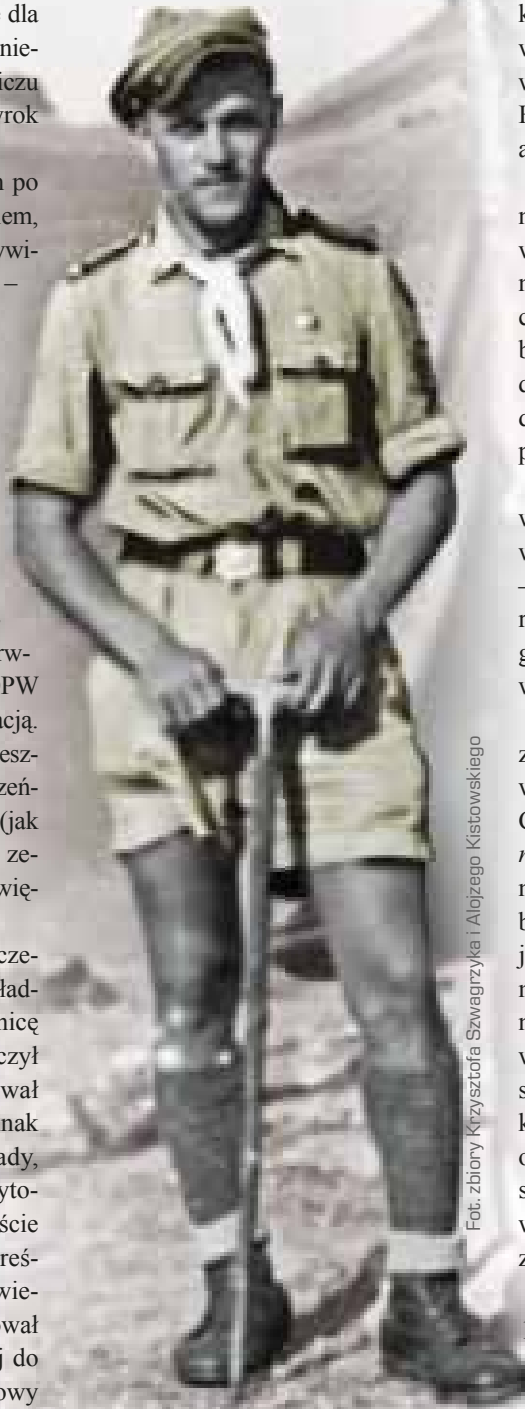
– Nigdy nie spotkałem się z nim po jego powrocie do kraju, więc nie wiem, dlaczego wrócił. A może miał rzeczywście jakąś tajną misję do spełnienia? – zastanawia się Alojzy Kistowski.

Pragnienie wolności

Upłynęło kilka lat, nim przetrucany z więzienia do więzienia Drażkowiak (od 1952 roku z wyrokiem zmniejszonym dzięki amnestii o pięć lat) trafił do Bytomia do kopalni „Dymitrow”, w której byli zatrudniani więźniowie miejscowego Ośrodka Pracy Więźniów. W czerwcu 1955 roku Drażkowiak uciekł z OPW i przekroczył granicę z Czechosłowacją. Miesiąc później, przesłuchiwany w areszcie Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Stalino (jak wówczas nazywały się Katowice), zeznał: „Siedziałem już siedem lat po więzieniach i zapragnąłem wolności”.

Zeznania uciekiniera są bardzo szczegółowe, więc dzięki nim wiemy dokładnie, jak przebiegała ucieczka. Granicę bez większych problemów przekroczył w okolicach Zebrzydowic. Wędrował kilka dni, powoli zaczynał mu jednak doskwierać głód. Zapasy czekolady, które zabrał na drogę jeszcze z Bytomia, szybko się skończyły. Na szczęście w ogrodach pojawiły się akurat czereśnie i stały się jego głównym pożywieniem. Przez Czechosłowację wędrował wzdłuż głównej drogi prowadzącej do Ostrawy. Kierował się na południowy zachód, tam gdzie przebiega granica z Austrią. Pomogło mu wyszkolenie harcerek – w końcu nieraz na obo-

zach czy wycieczkach chodził z kolegami z drużyny na azymut. Příbor, Nový Jičín, Hranice, wreszcie Brno, a stąd już naprawdę blisko do granicy. Jeszcze Pohorelice i ostatnia miejscowość przed przejściem granicznym – Mikulov. Za-



Fot. zbiory Krzysztofa Szwagrzyka i Alojzego Kistowskiego

▶ Mieczysław Drażkowiak na obozie letnim w Lewinie Kłodzkim, sierpień 1948 roku

raz za miastem aż do pasa granicznego rozciągały się zarośla. Uciekinier nie zaryzykował jednak przejścia w dzień. Ukrył się w krzakach i czekał. Około 21.00 ruszył w kierunku granicznego pasa zasieków. Nie doszedł tam. Patrol czeskich pograniczników okazał się szybszy. Nie dowiedział się więc o blokadzie elektrycznej, założonej trzy lata wcześniej na rozkaz szefa czechosłowackich pograniczników, mjr. Ludvíka Hlavački, nie miał pojęcia zatem, że aresztowanie uratowało mu życie...

Przewieziono go do Brna i osadzono w areszcie Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Podczas przesłuchania nadzwyczaj szczerze wyznał śledczym czeskiej tajnej policji, że jego celem było dostać się do Włoch, Francji czy Australii – „wszędzie, tylko nie do Polski lub [innego] państwa ludowej demokracji”.

Za przestępstwo graniczne Mieczysława Drażkowiaka skazano na 18 miesięcy więzienia. Jako okoliczność obciążającą – przeczytać można w uzasadnieniu wyroku – przyjął sąd „karalność oskarżonego, zaś jako okoliczność łagodzącą młody wiek oskarżonego”.

Nadszedł rok 1956. Wygłoszony na zamkniętym posiedzeniu obradującego w Moskwie XX zjazdu KPZR referat Chruszczowa *O kulcie jednostki i jego następstwach*, choć dość powierzchowny, stał się początkiem kryzysu w całym bloku komunistycznym. Niepokój w kraju spotęgowała śmierć I sekretarza Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej Bolesława Bieruta w Moskwie. Wszystko to wpłynęło na sytuację więźniów politycznych. W wyniku kwietniowej amnestii setki więźniów opuściły zakłady karne. Na wolność po siedmiu latach i dziesięciu miesiącach wyszli także Jany i Drażkowiak, ostatni z grupy „Czarnego Mściciela”.

– 18 czerwca 1956 roku Drażkowiak przyjechał do Rawicza – wspomina Alojzy Kistowski. – Spotkaliśmy się zupełnie przypadkowo pod... więzieniem. Mówił mi, że nie zostanie w Polsce, że musi stąd uciec. Dość enigmatycznie wspominał mi wtedy, że chce

dotrzeć do ludzi z Radia Wolna Europa i przekazać im wiadomości o sytuacji w Polsce, o tym, co dzieje się z więźniami politycznymi w zakładach karnych. Chciał opowiedzieć o tych wszystkich strasznych rzeczach, do których dochodziło w więzieniu w Rawiczu.

Po dwóch miesiącach dwudziestośześcioletni Mieczysław Drażkowiak podjął decyzję o kolejnej ucieczce. Drogę pokonał szybciej, ponieważ szedł tą samą trasą, którą podążał do granicy z Austrią rok wcześniej. 30 sierpnia dotarł do pasa granicznego w rejonie Mikulova. Trzydzieści minut po północy 22. rota z Mikulova z 4. brygady wojsk granicznych z komendanturą w Znojmie znalazła na blokadzie elektrycznej zwłoki mężczyzny porażonego prądem. Z dokumentów wynika, że był to Mieczysław Alojzy Drażkowiak. Po przeszukaniu ciała zabitego, dyżurny z komendantury zanotował w raporcie, że uciekinier nie przynosił żadnego ważnego materiału i został pochowany za zgodą prokuratora i zgodnie z instrukcją.

Winni? Brak

Nie ma statystyk dotyczących liczby Polaków uciekających przez granicę czechosłowacko-niemiecką lub czechosłowacko-austriacką. Dziesiątkom, a może setkom powiodła się ucieczka, wielu zatrzymano na terytorium Czechosłowacji i deportowano do Polski. Jedyna lista, którą dysponujemy, to ta przekazana przez czeskich historyków z Instytutu Badania Reżimów Totalitarnych w Pradze o śmiertelnych ofiarach elektrycznej blokady. Dzięki niej wiemy, że zginął tam też, próbując przeczołgać się pod drutami, saper, żołnierz Polskich Sił Zbrojnych Józef Korniluk, któremu po powrocie z wojennej tułaczki do kraju „ustrój się nie podobał”. Nie sforsował elektrycznej blokady na granicy do wolnego świata osiemnastolatek Tadeusz Golec, syn piekarza z Kóz pod Żywcem, który marzył o wolnym świecie. Powiodło się uciekającemu razem z nim Stanisławowi Wiercigrochowi, który – wykorzystując chwilowy moment zwarcia i wyłączenia blokady – pokonał wysokie



► W drodze do Komendy Chorągwi ZHP; pierwszy z lewej Andrzej Rahnenfeld; Poznań, 1946 rok



► Mieczysław Drażkowiak i Alojzy Kistowski – jedno z kilkudziesięciu zdjęć zarekwirowanych przez UB w Rawiczu, 1949 rok

graniczne zasieki. Nigdy nie wrócił do Polski, by opowiedzieć o dramatycznej ucieczce, ale jego nazwisko można odnaleźć na liście amerykańskich żołnierzy odznaczonych za męstwo podczas wojny w Wietnamie. Zginęli także rekordzista na czeskiej liście ucieczek (cztery wyroki za nielegalne przekroczenie granicy) pochodzący z Wołynia, marzący o „wyrwaniu się z komunistycznego reżimu” robotnik Roman Dzidycz oraz górnik Tadeusz Bernat – ścigany przez patrol czeskich pograniczników z psem. Zginęli, pomagając sobie nawzajem odciągnąć się od śmiertelnej blokady, Adam Troszok i Władysław Makuła. W raporcie czeskich pograniczników znalazła się informacja, że uciekinierzy najprawdopo-

dobniej nie wiedzieli, że blokada jest pod napięciem. Z poranionymi dłońmi trafił do czeskiego aresztu Jerzy Hryniewicz, chemik, były żołnierz Polskich Sił Zbrojnych, który do końca nie wierzył w opowieści tubylców o istnieniu elektrycznej blokady na granicy. W swoich wspomnieniach napisał: „Ciało w drgawkach, chcę się oderwać od drutu, ale nie panuję nad mięśniami, jestem bezwładny, przez głowę przelatują obrazy jak szybki film życia i żałuję, że ono się kończy. Naraz ciemno, iluminacja elektryczna zniknęła [...]. Nie ma prądu! Jeszcze dwa metry do swobody, ale czuję coś krepującego mnie, wyraźny nacisk na plecy. Oglądam się. Nade mną stoi żołnierz [...], drugi z wysiłkiem utrzymuje



► Symboliczny grób Mieczysława Drażkowiaka w Rawiczu

ČESKÁ REPUBLIKA
Č. 1439/95

ÚMRTNÍ LIST

V knize úmrtí (úmrtní matrice) matričního obvodu
Mikulov, okres Břeclav

svazek 1, ročník 1956, strana 48, poř. č. 12 jest zapísáno:

Den, měsíc, rok a místo úmrtí	30.8.1956 - třicátý srpen jeden tisíc devět set padesát šest Mikulov
Jméno a příjmení	Mieczysław Drażkowiak
Pohlaví	mužské
Stav	neuveveno
Povolání	horník
Bydliště	Rawier, Kaminského 13
Den, měsíc, rok a místo narození	23.5.1929 Ruchowice
Jméno a příjmení rodiče zemřelého	neuveveno
Příčina smrti	Popálenina elektrickým proudem mozku a tenena
Místo a datum pohřbu (pohřbení)	Mikulov - 30.8.1956 - hřbitov
Poznámky	

v Mikulově
Dne 9.5.1995

SEVT 01 006 0 - Úmrtí na území
354

MĚSTSKÝ ÚŘAD
Mikulov
Matrikářka
Tatjana Jandová

► Český akt zgonu Mieczysława Drażkowiaka

dwa wilczury szczerzące kły i zaciekłe rwące się do mnie”. Na służbie czeskich pograniczników pracowało ponad 200 czworonogów. Wśród nich odznaczył się Brek biorący udział w 62 zatrzymaniach przestępców granicznych. Wszystkie dokonania Breka zostały po jego śmierci odnotowane na ekspozycji w Muzeum Wojsk Straży Granicznej SNB i SN (wojsk wewnętrznych) w Pradze.

– Gdy do Rawicza do domu dotarła wiadomość, że Mieciu zginął – wspomina Alojzy Kistowski – ojciec jego zniszczył wszystko, co po nim pozostało, z wyjątkiem zdjęcia, na którym na odwrocie napisał, że syn zginął 30 sierpnia 1956, „Cześć jego pamięci” – i tyle. Oni dostali jakąś informację z Czech na ten temat, a może z UB. Ja o tym, że zginął, dowiedziałem się później od pani Konstancji, jego matki, która przez wiele lat starała się dotrzeć do tego miejsca, gdzie Mietek został pochowany. W końcu pojechała do Mikulova i dotarła na

cmentarz i zabrała stamtąd trochę ziemi. Ten woreczek z ziemią przekazaliśmy potem do mogiły. Ja byłem inicjatorem powstania symbolicznego grobu Miecia na cmentarzu w Rawiczu. Nagrobek odsłoniliśmy w 1991 roku. Na tablicy jest napis: „Pamięci więźnia Rawicza Mieczysława Drażkowiaka”, data urodzin i informacja, że zginął w Mikulovie 30 sierpnia 1956 roku.

Trzydzieści dziewięć lat później, w 1995 roku, w akcie zgonu, który został wydany w Mikulovie na prośbę rodziny, w rubryce „przyczyna śmierci” zostało wpisane: „śmierć nastąpiła w wyniku porażenia prądem”.

– Za zbudowanie całego systemu granicznego – z tego, co wiem – nikt przed sądem nie odpowiedział. Były czynione próby, ale jakoś nic z tego nie wyszło – mówił Ján Čarnogurský, po aksamitnej rewolucji członek rządu czechosłowackiego, a w okresie istnienia Czeskiej i Słowackiej Republiki Federalnej

(1991–1992) – premier Republiki Słowackiej.

W latach dziewięćdziesiątych generał major Ludvík Hlavačka, jeden ze współtwórców „ściany śmierci” – granicznego systemu z blokadą elektryczną i polem minowym – był przesłuchiwany i został postawiony w stan oskarżenia. Przed sądem nie stanął jednak ze względów zdrowotnych. Zmarł w Pradze w 2005 roku w wieku 94 lat.

W 2009 roku znany czeski publicysta, pisarz i historyk Luděk Navara opublikował dane dotyczące wypadków śmiertelnych na granicy czechosłowackiej w czasach żelaznej kurtyny. Podczas próby sforsowania granicy zastrzelonych i porażonych śmiertelnie prądem zostało łącznie 350 uchodźców. W innych nieszczęśliwych wypadkach życie straciło 100 cywilów. Jednak bilans śmiertelnych ofiar po stronie czeskiej straży granicznej był większy. Navara podaje, że w sumie zginęło 654 pograniczników, w tym 22 zostało porażonych prądem na blokadzie elektrycznej, 60 utonęło w przygranicznych rzekach, 165 zginęło w wypadkach. Aż 236 pograniczników popełniło samobójstwo. W bezpośrednich starciach z tzw. intruzami zginęło 10 pograniczników. Pełnej liczby ofiar „elektrycznej granicy” nie ma. 27 maja 2011 roku w Mikulovie w Czechach została odsłonięta tablica upamiętniająca obywateli polskich poległych podczas prób ucieczki na granicy austriacko-czechosłowackiej w latach 1950–1975. Tablica powstała w ramach projektu edukacyjnego „Ścieżki wolności”, którego partnerami byli m.in. oddział Instytutu Pamięci Narodowej w Krakowie, Stowarzyszenie OS Paměť, Miasto Mikulov, Muzeum Regionalne w Mikulovie. ■

Jolanta Drużyńska – dziennikarka radiowa, autorka m.in. książki *Krok do wolności. Polskie ofiary żelaznej kurtyny* (2013)



Niechętny spowalniacz

Patryk Pleskot



Wydarzeń z 1989 roku w Polsce nie przewidziały ani KGB, ani CIA. Tym bardziej zdezorientowani byli zachodni politycy, którzy starali się nadążyć za sytuacją zmieniającą się jak w kalejdoskopie. Prowadziło to do paradoksalnych niekiedy zachowań: oto Amerykanie, dotąd głośno krytykujący polski ustrój i wspierający materialnie NSZZ „Solidarność”, zaczęli namawiać gen. Wojciecha Jaruzelskiego do objęcia fotela prezydenta i chwalić jego „mądrość i odwagę”, francuski prezydent François Mitterrand polecał zaś Polakom, by nie „wyrzucali socjalizmu za okno”.

► Wbrew powszechnemu przekonaniu amerykański prezydent wcale nie był siłą napędową przemian 1989 roku; na zdjęciu George Bush z Lechem Wałęsą podczas wizyty w Gdańsku, 11 lipca 1989 roku

Szybkie, przełomowe zmiany polityczne często pociągają za sobą kłopoty z tożsamością wśród głównych aktorów wydarzeń. W pełnym paradoksów okresie między miażdżącym zwycięstwem Solidarności w pierwszej turze parytetowych wyborów 4 czerwca 1989 roku a zaprzysiężeniem gen. Jaruzelskiego na prezydenta PRL 19 lipca, problemy ze zdefiniowaniem swojej roli w nowej rzeczywistości miała zarówno zwycięska Solidarność (balansując między działalnością związkową a polityczną), jak

i przegrany komunistyczny aparat partyjno-państwowy (tkwiący w wyborczym szoku i wewnętrznym rozkładzie). Podział na „my” i „oni” stawał się powoli kwestią przeszłości. Dostrzegali to politycy zachodni.

Być może niezrozumiałe wyda się to, że przygniatające zwycięstwo Solidarności spotkało się z niejednoznacznymi reakcjami dyplomatów najważniejszych państw zachodnich, tak zdecydowanie protestujących osiem lat wcześniej przeciw zdławieniu opozycji 13 grudnia 1981 roku. A czasy

były przecież inne. W maju przywódca ZSRR Michaił Gorbaczow podczas wizyty w Bonn ogłosił koncepcję odprężenia i „wspólnego europejskiego domu”, wobec czego – jak się wydaje – państwa zachodnie z nieco większym spokojem zaczęły oceniać zmiany dokonujące się w bloku wschodnim, obawiając się bardziej o pozycję Gorbaczowa niż przywódców poszczególnych „demoludów”. Niewiele wcześniej spektakularny sukces w wyborach na Zjazd Deputowanych Ludowych ZSRR odniósł Borys Jelcyn. Wszystkie te okoliczności ustąpiły jednak ►

► Prezydent Francji François Mitterrand podczas wizyty w Polsce na spotkaniu z gen. Wojciechem Jaruzelskim – jeszcze przewodniczącym Rady Państwa, a wkrótce prezydentem PRL i RP – podczas składania wieńca pod pomnikiem Obrońców Wybrzeża na Westerplatte; Gdańsk, 15 czerwca 1989 roku



Fot. PAP/Ireneusz Sobieszczuk

doniesieniom z placu Tian'anmen. Masakra protestujących tam studentów dokonana przez władze chińskie miała miejsce niemal równoległe z wyborami w Polsce. Te dwa zupełnie przeciwstawne wydarzenia, które zdominowały doniesienia światowych agencji informacyjnych, stanowiły jaskrawy przejaw kształtowania się nowej rzeczywistości, wykraczającej poza schemat zimnej wojny i żelaznej kurtyny. Rzeczywistości, która dla zachodnich dyplomatów kryła jeszcze wiele niewiadomych.

Mitterrand broni socjalizmu

Między pierwszą a drugą turą wyborów w Polsce, w dniach 14–16 czerwca 1989 roku, doszło do symbolicznego finału stosunków polsko-francuskich w latach osiemdziesiątych: wizyty prezydenta Francji. Co niezwykle charakterystyczne, François Mitterrand starał się zminimalizować skutki wyborczej klęski ekipy rządowej, chwając ją za „mądrość” i „odpowiedzialność”. Niezbyt chętnie kontaktował się z Solidarnością, odmówił np. wywiadu dla „Gazety Wyborczej”, chociaż spotkał się w Gdań-

sku z Wałęsą i złożył kwiaty przy pomniku Poległych Stoczniovców 1970. Tematem rozmowy z przewodniczącym NSZZ „Solidarność” stały się głównie sprawy finansowe. Podobno kiedy Mitterrand usłyszał, że odrodzony związek dążył do wprowadzenia gospodarki rynkowej, nachylił się w kierunku towarzyszącego mu szefa francuskiej dyplomacji Rolanda Dumasa i scenicznym szepcąc stwierdził: „A my nie”.

W sumie nie przyjął sukcesu wyborczego opozycji ze zbytnim entuzjazmem. Z zaskoczeniem odebrano jego wykład na Uniwersytecie Jagiellońskim, podczas którego stwierdził, że nie należy „wyrzucać socjalizmu przez okno”. Częściej przychylnie wypowiadał się o władzy niż o opozycji! Z czego wynikała ta taktyka? Należy tłumaczyć ją zrozumiałą przecież niepewnością co do międzynarodowej sytuacji geopolitycznej i obawą o to, że niespodziewany sukces Solidarności złamie postanowienia Okrągłego Stołu, które uznawano za jedyną bezpieczną drogę polskich reform.

Ostrożna postawa Mitterranda była świadectwem nowej polityki większo-

ści państw zachodnich wobec wydarzeń w Polsce. Sukces opozycji cieszył, ale jego rozmiary martwiły. Co prawda na płaszczyźnie oficjalnych deklaracji nie brakowało pochwał, ale też obawiano się ostrego kryzysu politycznego, narastającego napięcia, a może i gorszych scenariuszy z sowiecką inwazją włącznie. Dlatego w zachodniej dyplomacji coraz wyraźniej uwidaczniało się intrygujące przejście od wyraźnego popierania Solidarności do strategii nawoływania do umiaru, a nawet wspierania, w imię równowagi, strony rządowej.

Bush chwali Jaruzelskiego

Nieufność i obawy Zachodu wobec przemian w Polsce jeszcze lepiej niż w przypadku Francji widać na przykładzie antykomunistycznego przecież Waszyngtonu, który – obserwując klęskę rządu i miażdżące zwycięstwo opozycji – zaczął się obawiać, by Solidarność, upojona sukcesem, nie zapragnęła przejąć całej władzy i złamać postanowień Okrągłego Stołu. Jak nieco przesadnie podkreśla amerykański badacz Gregory Domber, prezydent George Bush zaczął odgrywać rolę

„niechętnego spowalnicza” (*reluctant inhibitor*) przemian w PRL.

Obawy i czarne prognozy ukrywały się pod oficjalnymi komentarzami wyników wyborów, podkreślającymi doniosłość chwili i wielki sukces Solidarności. Bardzo szybko uwaga amerykańskiej dyplomacji skupiła się na przepychankach wokół nieformalnie ustalonej przy Okrągłym Stole elekcji gen. Jaruzelskiego na prezydenta. Rozkład głosów po wyborach pokazywał, że z uzyskaniem wymaganej większości mógł być duży kłopot. Amerykanie, zupełnie zaskakująco i paradoksalnie, zaczęli w związku z tym nieformalnie popierać kandydaturę Jaruzelskiego, obawiając się, że porażka generała, zniechęconego zresztą wyborczą klęską PZPR, może pogrzebać kruchy porządek przyjęty przy Okrągłym Stole.

Amerykańskie wsparcie przybierało konkretne, zdumiewające zresztą, formy. 22 czerwca 1989 roku ambasador USA w Warszawie John R. Davis spotkał się na obiedzie z liderami Solidarności. W wysłanej następnego dnia depe-

szy do Waszyngtonu został zawarty opis tego spotkania (nazwiska uczestników nie zostały w depeszy wymienione, by nie przysporzyć opozycjonistom problemów). W relacji ambasadora solidarnościowi przywódcy przyszli po radę, jak zachować się w sprawie elekcji Jaruzelskiego. Naciski opinii publicznej i ogółu środowisk opozycyjnych były wyraźne – nie chcieli zatem oficjalnie popierać kandydatury generała. Zarazem jednak obawiali się, że jego porażka mogła wywołać „autentyczną groźbę wojny domowej”, która prawdopodobnie doprowadziłaby do „niechętnych, ale brutalnej interwencji sowieckiej”.

Sytuacja była patowa. Jeśli wierzyć słowom Davisa, zaproponował on wtedy opozycjonistom mały wykład „z arkanów zachodniej praktyki politycznej znanej jako *head-counting*”. Polegała ona na kontrolowanej nieobecności posłów podczas głosowania, wpływającej na rozkład głosów. Na kartce z notatnika zaczął obliczać, ilu reprezentantów „drużyny Wałęsy” musiałoby nie przyjść, by

strona komunistyczna mogła przeorsować kandydaturę Jaruzelskiego. Był to zaskakujący i bezpośredni przejaw doradczej roli amerykańskiej ambasady w polityce Solidarności.

Kwestia wyboru Jaruzelskiego stała się jednym z ważniejszych elementów polsko-amerykańskich negocjacji w sprawie przyjazdu prezydenta George’a Busha do Polski. Komuniści, nerwowo reagujący po klęsce wyborczej i nieoceniający trzeźwo szybkich przewartościowań zachodniej dyplomacji, nie dostrzegli, że Biały Dom wcale nie dążył do podkopania pozycji Jaruzelskiego. W związku z tym zupełnie nietrafnie oskarżali Amerykanów o złe intencje, co wywołało zaskoczenie tych ostatnich. Dochodziło do dyplomatycznego *qui pro quo*.

Cała sytuacja utrudniała przygotowania do wizyty Busha. Ostatecznie doszło do niej między 9 a 11 lipca 1989 roku. Główny lokator Białego Domu odbył prywatne rozmowy zarówno z Wałęsą, jak i Jaruzelskim, uczestniczyli także w uroczystym przyjęciu w rezydencji ▶



▶ Prezydent USA George Bush na posiedzeniu sejmku kontraktowego; obok niego gen. Wojciech Jaruzelski, marszałek senatu Andrzej Stelmachowski, w drugim rządzie (drugi od prawej) ambasador USA w Polsce John R. Davis Jr.; 10 lipca 1989 roku

ambasadora Davisa. Rozmawiał ponadto m.in. z premierem oraz marszałkami sejmu i senatu. Złożył kwiaty na Umschlagplatz. Odwiedził Gdańsk, gdzie upamiętnił obrońców Westerplatte i poległych stoczniovców z 1970 roku. Wbrew zabiegom władz PRL wygłosił przy tym przemówienie; w dodatku wtórował mu Wałęsa. W najbardziej dla Polaków interesujących kwestiach gospodarczych prezydent wciąż stał na ostrożnym stanowisku. Obiecywał lobbowanie na rzecz Polski na zbliżającym się szczycie grupy G-7 (najbogatszych państw świata) i deklarował: „Stany Zjednoczone nie pozostawią Polski samej”. Nie znaczyło to jednak wiele – prezydent nie obiecał bowiem nowego planu Marshalla, o którym marzyła strona polska.

W czasie historycznego przemówienia Busha na wspólnym posiedzeniu sejmu i senatu, które to izby dopiero co rozpoczęły obrady, w pierwszym rządzie ramię w ramię zasiedli Wałęsa i Jaruzelski. Tydzień później przewagą jednego głosu generał został wybrany na prezydenta. Podróż Busha nie była pod tym względem bez znaczenia: rankiem 10 lipca, podczas spotkania z generałem w Belwederze, prezydent USA miał namawiać swego rozmówcę do kandydowania na najwyższy urząd w Polsce. Był to zapewne główny, choć nieformalny cel wizyty następcy Reagana. Bush wielokrotnie jednoznacznie wyrażał swe poparcie dla generała i chwalił go. Waszyngton był przekonany, że Jaruzelski był niezbędny w nowym układzie władzy dla utrzymania stabilizacji w Polsce.

Bogu świeczka, a diabłu ogarek

Nie można – rzecz jasna – przeceniać amerykańskiej pomocy dla komunistów. Podtrzymywanie upadającego generała rekompensowano materialnym wspieraniem opozycji. W 1989 roku finansowa pomoc Amerykanów dla Solidarności zdecydowanie wzrosła w porównaniu z poprzednimi latami. Według polskiego wywiadu finansowanie solidarnościowej aktywności przed wyborami czerwcowymi i po nich miało sięgnąć aż 3 mln dolarów. Być może dotacje, obejmujące

głównie umiarkowane skrzydła opozycji, miały służyć stabilizacji sytuacji w Polsce i w ten sposób nie stały w sprzeczności z polityką „niechętnego spowalniacza”. Z pewnością wynikały ponadto z nacisków opinii publicznej i zabiegów wielu polityków obu głównych amerykańskich partii.

Tuż po wizycie w Polsce Bush udał się na Węgry, a zaraz potem do Paryża na obrady grupy G-7 – bardzo ważne z punktu widzenia Polaków. Jeśli nawet pobyt w Polsce nie przyniósł przełomowych rozstrzygnięć, to stał się podstawą dla istotnych decyzji podjętych w Paryżu. Na forum grupy Bush wezwał do udzielenia Polsce i Węgrom pomocy finansowej i restrukturyzacji zadłużenia. Sojusznicy przychylni się do tej inicjatywy, zapoczątkowując tym samym międzynarodową, uzgodnioną pomoc gospodarczą dla Polski i Węgier. Na początek postanowiono w trybie pilnym przesłać pomoc żywnościową. Inicjatywy grupy G-7 szybko przejęła Wspólnota Europejska. W stosunkach gospodarczo-finansowych Polski z Zachodem zaczynała się nowa epoka, której kolejnym przejawem stał się szczyt państw wspólnoty w Paryżu w listopadzie 1989 roku, podczas którego m.in. postanowiono utworzyć fundusz stabilizacyjny dla Polski.

Jaruzelski w Londynie

Szok czerwcowych wyborów nastąpił zaledwie kilka dni przed wyjazdem gen. Jaruzelskiego do Londynu. Wątki wyborcze musiały się pojawić podczas wizyty. Dziennikarze pytali o przyszłość Polski, PZPR i samego Jaruzelskiego, ten zaś unikał jednoznacznych deklaracji. Konkretnym rezultatem podróży było ogłoszenie przez rząd brytyjski pakietu ekonomicznego dla Polski o wartości 25 mln funtów (na lata 1989–1993), przeznaczonego głównie na kształcenie kadr gospodarczych, politycznych i administracyjnych. Co ciekawe, tydzień po misji Jaruzelskiego do Wielkiej Brytanii przybył Bronisław Geremek i spotkał się m.in. z szefem Foreign Office Goeffreyem Howe'em. Komunistyczne władze traciły monopol na dyplomację.

Spóźnieni Niemcy, niepewni Włosi

W porównaniu ze strategiami amerykańską, brytyjską czy francuską linia polityczna realizowana przez RFN pozostawała w tyle, czego najlepszym przejawem było zwlekanie kanclerza Helmuta Kohla z przyjazdem do Warszawy. To z kolei wiązało się z brakiem decyzji Bonn w sprawie kredytów i zbyt wygórowanymi żądaniami strony polskiej. W Bonn, podobnie jak gdzie indziej, doceniano postęp na drodze demokracji, ale obawiano się o przyszłość reform gospodarczych w obliczu kłęski władz. I chociaż rzecznik rządu określił wyborczy rezultat Solidarności jako „niebываły sukces, który wpłynie na dalszy rozwój procesu demokracji”, to polskie wybory w rzeczywistości usztywniły stanowisko RFN – także w sprawach kredytowych.

Na początku lipca w Bonn gościła delegacja NSZZ „Solidarność” z Bronisławem Geremekiem na czele. Polacy rozmawiali m.in. z Kohlem. Geremek, który zaraz potem udawał się do Francji, podobnie jak komuniści przekonywał o konieczności udzielenia Polsce pomocy finansowej i bronił polskiej granicy zachodniej. Jednak nawet wobec gości z Solidarności kanclerz nie wypowiadał się konkretnie, choć – jak się wydaje – mieli oni większą siłę przekonywania niż komunistyczni dyplomaci.

Tymczasem we Włoszech przeciągający się kryzys rządowy utrudniał wypracowanie spójnego stanowiska wobec polskich przemian. Na pewno włoscy decydenci popierali wybór gen. Jaruzelskiego na prezydenta jako konieczny punkt realizacji porozumień Okrągłego Stołu. Minister spraw zagranicznych Giulio Andreotti przekonywał, że było to konieczne dla „zachowania niezbędnej równowagi wewnętrznej”. Nie różnił się w tym od innych polityków zachodnich. Dlatego na wybór generała zareagowano pozytywnie, ciesząc się z przezwyciężenia instytucjonalnego impasu.

Głos z Watykanu

Reakcja Jana Pawła II na wynik wyborów czerwcowych była bardziej jed-



► Wizyta prezydenta USA w prywatnym mieszkaniu Wałęsów była mimo wszystko wyraźnym gestem poparcia dla przemian w Polsce i uznaniem Lecha Wałęsy za ich lidera – na zdjęciu (od lewej): żona prezydenta USA Barbara Bush, George Bush, przewodniczący NSZZ „Solidarność” Lech Wałęsa, Danuta Wałęsa; Gdańsk, 11 lipca 1989 roku

noznaczna: po pierwsze, papież coraz usilniej starał się lobbować na rzecz zachodniej pomocy dla Polski, a po drugie, mimo wyczekiwania na rozwój sytuacji, sporów wobec wyboru gen. Jaruzelskiego na prezydenta i niepokołów związanych z pogarszającą się sytuacją gospodarczą, najprawdopodobniej w końcu czerwca podjął ostateczną decyzję w sprawie nawiązania pełnych stosunków dyplomatycznych z PRL.

Niewątpliwie niepewność co do prezydentury Jaruzelskiego z początku opóźniła nieco tę decyzję. Papież, podobnie jak włoscy politycy, uważał wybór generała za konieczną gwarancję realizacji postanowień Okrągłego Stołu. Ostatecznie jednak kryzys prezydencki paradoksalnie przyczynił się do pewnego przyspieszenia w załatwianiu ostatnich formalności – papież pragnął wzmocnić pozycję Jaruzelskiego przez ogłoszenie porozumienia. Zapewne z podobnych względów politycznych również strona polska naciskała na doprowadzenie do końca negocjacji. Ostatecznie ustalono, że 17 lipca, w dniu wspomnienia św. Jadwigi, królowej Pol-

ski, o 12.00 zostanie ogłoszone (jednocześnie w Warszawie i Watykanie) wznowienie relacji. Tak też się stało, a ponad miesiąc później papieskim nuncjuszem został mianowany arcybiskup tytularny Heraklei Józef Kowalczyk, choć strona polska spodziewała się raczej wyboru ks. Stanisława Dziwisza.

Nieudany manewr Kiszczaka

Kryzys rządowy, który na dobre wybuchł tuż po rozwiązaniu kwestii prezydentury w związku z „przyśpieszeniem” forsowanym przez Lecha Wałęsę, nie doprowadził już do tak zdumiewających reakcji zachodniej dyplomacji. Sytuacja międzynarodowa była nieco inna, a fenomen Jesieni Ludów (demokratyzacji w Europie Środkowej) zataczał coraz szersze kręgi. Jeśli komuniści liczyli, że Zachód dyskretnie poprze starania gen. Czesława Kiszczaka o fotel premiera, tak jak poparł kandydaturę gen. Jaruzelskiego na urząd prezydenta, to doznali zawodu. Nie pomogła nawet historyczna wręcz taktyka zastraszania. Wyraźnym przejawem nowej sytuacji była dramatyczna rozmowa Kiszczaka

z ambasadorem Davisem, do której doszło 11 sierpnia. Generał dał do zrozumienia, że próba przejścia władzy przez Solidarność wspólnie z ZSL i SD była nie do przyjęcia dla partyjnych i wojskowych ortodoksów zarówno w Polsce, jak i w Czechosłowacji, NRD i Moskwie. Wyraźnie groził, że obalenie jego z trudem formowanego rządu mogło doprowadzić do katastrofy. Czynił nawet niejasne aluzje do wydarzeń na placu Tian’anmen. Zdaniem Dombera, była to „desperacka próba” skłonienia Waszyngtonu, by próbował odwieść opozycję od uformowania własnego rządu.

Tym razem jednak USA postanowiły po prostu czekać na rozwój sytuacji. Mimo wciąż realnych obaw Zachodu co do dalszego przebiegu wydarzeń w Polsce i pewnej dezorientacji, komuniści nie mogli już więcej liczyć na egzotyczny „sojusz” z „kapitalistami”.

dr Patryk Pleskot – historyk, pracownik Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN w Warszawie, autor książki *Kłopotliwa Panna „S”. Polityczne postawy Zachodu wobec „Solidarności” na tle stosunków z PRL (1980–1989)* (2013)



OCENZUROWANO

Ćwierć wieku bez cenzury

C

wierć wieku temu, po wyborach czerwcowych, zakończyła się w historii Polski pewna epoka. Nie tylko w wymiarze polityczno-ustrojowym czy społecznym. W wyniku przemian, które wtedy zaszły, kilka miesięcy później, w kwietniu 1990 roku – działalność zakończył Główny Urząd Kontroli Publikacji i Widowisk. Wreszcie w oficjalnym obiegu mogły zacząć się ukazywać książki opisujące prawdę o Katyniu, łagrach, przejściu władzy przez komunistów, działalności bezpieki... Historycy uzyskali nieskrępowany dostęp do materiałów źródłowych dotyczących PZPR i jej przybudówek, aparatu represji. Zintensyfikowały się kontakty międzynarodowe. Utworzono nowe instytucje naukowe, muzealne, edukacyjne, które upowszechniają wiedzę i wpływają na kierunki badań naukowych. Na rynku ukazuje się kilkadziesiąt czasopism, a każdego roku pojawiają się tysiące książek historycznych. Często publikacje te wywołują spory, polemiki, a nawet konflikty, które wykraczają daleko poza wewnętrzny obieg środowiska naukowego.

W ćwierćwiecze wolnej Polski postanowiliśmy zapytać grono wybitnych badaczy, która z książek historycznych ostatnich 25 lat stała się – według ich subiektywnego zdania – publikacją przełomową. Która z nich zmieniła spojrzenie na historię, wniosła nowe treści i interpretacje, zmieniła warsztat współczesnych historyków, stała się wzorcem nowoczesnej książki historycznej? Która przekroczyła ramy dyskursu naukowego i wywarła wpływ na polskie społeczeństwo i jego edukację? A może ukazały się książki, które nie przebiły się do szerszego grona czytelników, a ich wartość jest znaczna? Który tytuł – i jego autora – warto w tym rocznicowym czasie przypomnieć i wyróżnić? Oddajmy głos ekspertom i praktykom.

Mariusz Mazur
profesor nadzwyczajny UMCS

Muszę przyznać, że postawiony przez Redakcję problem sprawił mi w pewne zakłopotanie. Od razu przyszła mi do głowy myśl, że żadna ze znanych mi książek nie spełnia wszystkich zaproponowanych kryteriów. Taka konstatacja wymusiła jednak natychmiastowe sformułowanie pytania o przyczynę takiego stanu rzeczy.

Najgłośniejszą pracą, która moim zdaniem wywołała największy oddźwięk w kraju, byli *Sąsiedzi* autorstwa Jana T. Grossa. Mieliśmy tu jednak do czynienia raczej z wpływem moralnym czy mentalnym, ale z pewnością nie warsztatowym. Z jednej strony ze względu na znane wcześniej socjologizujące podejście, z drugiej – z uwagi na wielokrotnie już komentowane jej wady i niedociągnięcia. W dodatku bardziej inspirowała środowisko poza zawodowymi historykami.

Jest jednak pewna seria książek, która według mnie jako całość wpłynęła na polską historiografię i będzie na nią oddziaływać nadal, choć jej zasób został już zamknięty. Myślę tu o kilkudziesięciu książkach w cyklu „W krainie PRL”, publikowanym przez kilka lat w wydawnictwie Trio. Był on propozycją wyjścia poza dominującą historiografię polityczną, tworzoną na podstawie jednolitego i klasycznego wybór źródeł. W serii przeważa

historiografia społeczna, kultury, zachowań, mentalności, materialna, a także historia mediów i sportu, gdzie źródłem służącym opowiadaniu o przeszłości może być wszystko. Wielu z jej autorów rozpoczęło od niej swoją aktywność naukową, kontynuując potem pozamainstreamową perspektywę badawczą.

Wydaje się też, że obecnie nie można już wskazać jednej, a nawet kilku książek, które przyczyniłyby się do redefinicji dotychczasowych doświadczeń, zaskoczyły swym nowatorstwem czy trwale zmieniły sposób myślenia środowiska historycznego. Jest ono zbyt duże, mocno spetryfikowane, a współczesna historiografia najnowsza – mimo swych dostrzegalnych ułomności – mocno zróżnicowana. Dzisiejsza nauka nie stanie się już polem rewolucyjnego przewrotu; to raczej mozolne rzemiosło, na które składają się różne fragmenty, o niejednorodnych kolorach, kształtach, materiałach pochodzących z zupełnie odmiennych opowieści o przeszłości. Są dobierane, zmieniane, odrzucane, dopasowywane – po to by opisać, zrozumieć, zachwyć czy ukarać. I nie można tu liczyć na kopernikański przewrót, ani nawet na arcydzieło, które oczaruje większość i wywrze jakiś niezapomniany wpływ. W pluralistycznym, zdemokratyzowanym świecie historii to chyba już niemożliwe. 🍷

Antoni Dudek

profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, członek Rady IPN

Nie wydaje mi się, aby w minionym dwudziestopięcioleciu ukazała się w Polsce książka historyczna o charakterze przełomowym, a zwłaszcza taka, o której mógłbym napisać, że doprowadziła do zmiany warsztatu współczesnych historyków. W każdym razie ja takiej nie potrafię wskazać. Z książek, które odbiły się bardzo szerokim echem, z pewnością wykraczającym poza ramy dyskursu naukowego, a nawet go dość skutecznie tłumiącym, na pewno trzeba wymienić dwie pozycje: *Sąsiadów* Jana Tomasz Grossa oraz *SB a Lech Wałęsa* Sławomira Cenckiewicza i Piotra Gontarczyka. W obu przypadkach jednak śmiem wątpić, by prace te – choć z różnych powodów – przyczyniły się do

edukacji historycznej społeczeństwa polskiego.

Jako zasłużone na tym ostatnim polu byłbym raczej skłonny wymienić syntezę dziejów PRL autorstwa Andrzeja Paczkowskiego i Andrzeja Friszke, a także niektóre książki takich historyków, jak Jerzy Eisler, Jerzy Kochanowski, Grzegorz Motyka, Paweł Machcewicz, Dariusz Stola, Rafał Wnuk czy Marcin Zaremba. W cieniu tych znanych i w większości przypadków nagradzanych badaczy pozostaje znacznie liczniejsza grupa historyków, których prace z różnych powodów nie odegrały roli, na jaką – w moim przekonaniu – zasługują. Są wśród nich niektóre pozycje wydane w ramach nieukazującej się już niestety serii wydawnictwa Trio „W krainie PRL”; są prace opublikowane przez wydawnictwa uczelniane, a także kilkanaście monografii wydrukowanych nakładem IPN. 📖

Marcin Kula

emerytowany profesor Uniwersytetu Warszawskiego

Która z książek ostatnich 25 lat stała się publikacją przełomową? Która z nich zmieniła spojrzenie na historię, zmieniła warsztat współczesnych historyków, stała się współczesnym wzorcem książki historycznej? Na te pytania chcę odpowiedzieć przekornie – przez wskazanie książki, która – jak dotychczas – w środowisku historyków nie przebiła się... a szkoda. Powiem nawet mocniej: ta książka ma małe szanse przebicia się, jest bowiem napisana w stylu rzadko wśród nas spotykanym – czego tym bardziej szkoda. Jest to nadzwyczajnie przeze mnie ceniona książka Adama Leszczyńskiego *Skok w nowoczesność. Polityka wzrostu w krajach peryferyjnych 1943–1980* (Krytyka Polityczna, ISP PAN, Warszawa 2013). Jej przedmiotem jest zagadnienie fundamentalne dla okresu powojennego, w tym również dla krajów socjalistycznych, które obejmuje. Tak się złożyło (nieprzypadkowo!), że ideologia marksistowska, wymyślona na rozwiniętym Zachodzie i snująca przewidywania czy też formułująca zalecenia odnoszące się do świata silnego przemysłu oraz licznych robotników, została obleczona w ciało w krajach biednych. Z wyjątkiem Czech, miasta Budapeszt oraz bardzo specyficznej NRD były to tereny, gdzie nie było przemysłu, burżuazji ani silnych grup robotniczych (by już nie powiedzieć „klasy robotniczej”!). Charakteryzowały je zaś nasilenie kwestii narodowej, chłopskiej oraz zagadnienie rozwoju gospodarczego jako podstawowe. Autor śledzi, jak owe zagadnienia stały się w swoim czasie centralnymi problemami ekonomii, jak były rozwiązywane w krajach socjalistycznych oraz w innych biednych państwach – takich, jak Chiny, Indie, Polska, Korea Południowa, ZSRR i wiele innych. Rozważa także, co myślano o zagadnieniach rozwoju gospodarczego w krajach bogatych, w niektórych wypadkach w nadziei znalezienia recept polityczno-gospodarczych, które

by biedne kraje niekomunistyczne powstrzymały od pójścia w kierunku komunizmu. Bardzo ciekawy jest rozdział o Polsce, w którym autor wychodzi od sporów w kwestii rozwoju gospodarki w latach trzydziestych, a kończy analizę na epoce Gierka.

Książka powinna być jednak czytana przez historyków zarówno dla jej bogatej warstwy informacyjnej, jak i dla wzorca metody analizy, za który może być uważana – wzorca niestety rzadko spotykanego wśród nas. Autor rozpatruje problem, a nie zbiór faktów. Prowadzi rozumowanie, a nie tylko buduje opis. Bierze pod uwagę różne kraje. Opiera się nie tylko na źródłach historycznych, lecz także na bardzo bogatych lekturach (nie sposób samemu przebadać źródłowo tak szerokiej problematyki!). Korzysta z opracowań napisanych przez specjalistów z różnych dyscyplin, nie tylko przez historyków. Co lepsze, korzysta z dorobku innych dyscyplin ze zrozumieniem (*sic!*). Wiele krajów, o których pisze, zna z autopsji. Nie dzieli historii na „narodową” i „powszechną”. Przekracza granice wąskich okresów chronologicznych. Pokazuje zjawiska socjalizmu jako specyficzne, ale jako zarazem sytuujące się w ramach myśli epoki. Planowanie gospodarcze i gigantomańskie inwestycje nie były tylko pomysłami socjalistycznymi, podobnie koncepcje etatystyczne. Co też ważne, autor pokazuje dwukierunkowe relacje między wypracowanymi przez ludzi koncepcjami a rzeczywistością. Przedstawia uwarunkowania myślenia koncepcyjnego przez epokę. Jednocześnie, co chcę bardzo mocno podkreślić, to nie jest pozanaukowy reportaż, czy swobodny esej. Książkę się dobrze czyta, ale to nie umniejsza faktu, że autor jest specjalistą z zakresu problematyki rozwoju, a jego analizy są też głęboko wyspecjalizowane. Jerzy Jedlicki napisał w swojej niedawno publikowanej recenzji, że książka Leszczyńskiego go zafascynowała, jej lekturze zaś poświęcił „więcej czasu niż jakiegokolwiek innej w ostatnich latach”. Ja podobnie. 📖

Wojna nad Doliną Muminków. Tove Jansson (1914–2001)

Joanna Hytrek-Hryciuk

Sympatyczne, pucolowate Muminki podbiły serca dzieci i dorosłych na całym świecie. Ale mądre historie o małych trollach powstały przede wszystkim jako lekarstwo na wojenną i powojenną traumę ich autorki, Tove Jansson.

Na mocy układu Ribbentrop–Mołotow, podpisanego w sierpniu 1939 roku między III Rzeszą a ZSRR, Armia Czerwona miała zająć republiki nadbałtyckie, część Polski oraz Finlandii. Wojna zimowa z młodziutką republiką (Finlandia odzyskała niepodległość w roku 1917) rozpoczęła się już w listopadzie 1939 roku od potężnego bombardowania Helsinek przez radzieckie lotnictwo. Rosjanie nie pokonali jednak słabo uzbrojonych, ale zdeterminowanych Finów. W 1940 roku podpisano układ pokojowy. Władze republiki, wiedząc, że po raz kolejny nie obronią neutralności kraju, poprosiły o pomoc nazistowskie Niemcy.

Rosjanie ponownie zaatakowali Finlandię w 1944 roku. W wyniku kolejnego paktu to najbardziej wysunięte na północ Europy państwo utraciło Karelię i ważny port w Petsamo. Swoje domy straciło 500 tys. Finów.

W tych warunkach doskonale rozwijały się dwie kariery: przyszłej fińskiej głowy państwa – Carla Gustawa Mannerheima oraz... artystki Tove Jansson. Chociaż ta ostatnia pisała w swoich dziennikach, że wojna była najgorszym czasem w jej życiu.

Kiedy straszne wydaje się straszniejsze

„Kiedy ma się zamknięte oczy, straszne rzeczy wydają się straszniejsze” – te słowa Tove Marika Jansson włożyła w usta małego Ryjka w książce *Kometa nad*

► Tove Jansson z wizytą w łódzkiej wytwórni filmów animowanych Se-Ma-For; Łódź, 1978 rok



Fot. PAP/ Woody Ochmio

Doliną Muminków. Wydaje się jednak, że sama doskonale знаła takie uczucie.

Urodziła się w 1914 roku w Helsinkach w rodzinie fińskiego rzeźbiarza i szwedzkojęzycznej rysowniczkii. W dzieciństwie słowo „atelier” było dla niej synonimem domu. I tak już pozostało. Sama, po latach studiów, określała się jako malarka. Jednak w roku 1940, dzięki sprawnej kresce i ciętymu językowi, została okrzyknięta pierwszym rysownikiem kraju. Źródłem sukcesu były polityczne obrazki autorstwa Jansson, które ukazywały się na łamach satyrycznego pisma „Garm”. Nie dbając o bezpieczeń-

stwo i igrając z cenzurą, artystka zanosila do redakcji szydercze wizerunki Hitlera czy groteskowe wyobrażenia Stalina, przebranego za Indianina.

Jeszcze w 1938 roku skomentowała sytuację polityczną w Europie, przedstawiając Hitlera jako małe, płaczące dziecko, domagające się kolejnego kawałka tortu, otoczone przez europejskich polityków, którzy podsuwają mu kolejne smakołyki. W 1944 roku zilustrowała wycofywanie się z Laponii wojsk niemieckich – dziesiątki małych „Hitlerów” gonią drób, podpalają domy, kradną ziemniaki. „Rozkosz” – skomentowała

rysunek w swoich dziennikach. Pracowała dla „Garmu” ponad piętnaście lat. Tam też po raz pierwszy zamieszczono wizerunek Muminka.

Chęć życia

„To te przecholone czasy wojny zmusiły mnie, malarkę, do pisania baśni” – pisała w liście do przyjaciela. Jansson uciekała przed piekłem międzynarodowego konfliktu w wymyślony świat.

Wojna pogłębiła jej waśnię z ojcem, fanatycznym wręcz nacjonalistą, niechętnie nastawionym do Żydów. Z powodu swojego żydowskiego i rosyjskiego pochodzenia z Finlandii musiała uciekać przed przyjaciółką Eva Konikoff. Na froncie walczyli: brat Per Olov, później także młodszy – Lars oraz ukochany Tapio Tapiovara. „W domu cisza jak w studni” – podsumowała atmosferę w Lalukki. „Jakby cały świat zamienił się w bryłę strachu” – zanotowała innego dnia.

Pogrążona w smutku i niepokoju o los krewnych, namalowała *Rodzinę*, jeden ze swoich najslynniejszych obrazów. To autoportret artystki i jej najbliższych. Zastygłe pozy, spojrzenia tkwiące w podłódze, ludzie pozbawieni bliskości. Na pierwszym planie Per Olov i Lars grają w szachy: na planszy czarne i czerwone pionki – III Rzesza i ZSRR. Jej dzienniki, dotychczas pełne planów, szkiców, opisów i pomysłów, stały się bardziej monotematyczne. Sprawy osobiste przeplatały się z krótkimi notatkami o przepustkach przyjaciół i kolejnych atakach „powietrznych bydlaków”, jak nazywała samoloty.

W lutym 1942 roku pasja tworzenia wzięła górę nad miłością. Rozstała się z ukochanym Tapio, który snuł małżeńskie plany, i zanotowała w dzienniku: „Byłabym albo złą malarką, albo złą żoną. I nie chcę sprowadzać na świat dzieci, które zabije jedna z przyszłych wojen”. Rzuciła się w wir pracy. Obrazy były jej walutą: płaciła nimi za wizytę u dentysty, wstawienie wybitych szyb czy opał na zimę. Wkrótce jednak wojenna rzeczywistość przygnębiła ją tak bardzo, że nie była w stanie nawet malować. Żeby zarabiać, wróciła do rysowania.

Muminki

Muminek, który po raz pierwszy pojawił się w satyrycznym „Garmie”, nie był poczciwym grubaskiem o ogromnych oczach, które ze zdziwieniem przypatrzą się światu. Początkowo zresztą był nazywany „niuchaczem”. Pierwotnie był znacznie szczuplejszy, miał mniejszy nos i gestami oraz mową ciała komentował bieżącą politykę. Jansson wykorzystywała go również jako podpis, do tego stopnia, że z czasem mała postać całkiem przesłoniła jej nazwisko. Dopiero w 1946 roku Muminek przybrał swój dzisiejszy wygląd i przeniósł się do świata dziecięcej wyobraźni.

Imię Muminek pochodziło z opowiadań ukochanego wujka, Einara, który przestrzegał małą Tove, że nie należy nocą zaglądać do szafki z zapasami, bo wyjdą z niej zimne trolle i dmuchną szabrownikowi w kark.

Pierwsze opowiadanie o małych bohaterach powstało w czasie wojny zimowej z lat 1939–1940. W *Osobliwej podróży Muminka* Jansson przelała na papier wszystkie swoje wojenne troski: Muminek i jego mama szukają domu na zimę, w czasie wędrowki opiekują się porzuconym „dzieckiem” – Ryjkiem. Ta Muminkowa historia stworzenia, budowania nowego domu i rodzinnego ładu ukazała się ostatecznie pod tytułem: *Małe trolle i duża powódź* i początkowo zbierała kurz na półkach księgarń. Sukcesu nie odniosło również pierwsze wydanie *Komety nad doliną Muminków* – wieszczącej koniec życia, ponurej opowieści o ucieczce z Doliny Muminków, wzorowanej na ewakuacji mieszkańców Helsinek.

Sława Muminków rozpoczęła się po serii komiksów zamieszczanych w przeznaczonej dla dzieci części pisma „Ny Tid”. W 1948 roku pracownię Tove Jansson odwiedziła „bardzo mała dama”, która w szkole kolportowała skierowany do wydawnictwa list protestacyjny z żądaniem wyjaśnień, dlaczego to przetrzymuje kolejne opowiadanie o trollach. Po opublikowaniu *Zimy Muminków* artystkę uznano za geniusza.

Ostatecznie powstało dziewięć części sagi o Muminkach i ponad dwadzieścia

komiksów o tych trollach. Kolejnych pięćdziesiąt komiksów stworzył brat Lars. Po *Kalewali*, narodowym eposie, jest to najbardziej znane fińskie dzieło literackie. Książki przetłumaczono na 34 języki. W 1966 roku Jansson otrzymała Medal im. Hansa Christiana Andersena – międzynarodową nagrodę dla twórców książek dla dzieci. Dziewięć lat później w ambasadzie PRL w Helsinkach odebrała Order Uśmiechu. W 1978 roku odwiedziła z kolei studio filmowe „Se-Ma-For” w Łodzi. To tam powstało blisko osiemdziesiąt odcinków filmu *Opowiadania z Doliny Muminków*. Stwórki te zadebiutowały również na deskach teatru. W 1987 roku w Tampere otwarto Dolinę Muminków – muzeum poświęcone twórczości Jansson, które zgromadziło ponad 2 tys. eksponatów. Obecnie można zwiedzać je również wirtualnie.

Pluszowe trolle do dziś mieszkają w wielu dziecięcych pokojach – wielki rynek dla tych postaci otworzył się w połowie lat pięćdziesiątych. W domu towarowym Stockmana w Helsinkach w dziale zabawek w 1957 roku otwarto osobny dział specjalnie dla Muminków. Jansson bezskutecznie starała się zachować kontrolę nad zapędami przemysłowców, zdecydowanie odmawiając umieszczenia wizerunków trolli na opakowaniach z margaryną, dżemem czy podpaskami. Z pomocą przyszło dopiero prawo autorskie. Do dziś *Moomin Characters* (chroniące też jakość artystyczną) jest najbardziej dochodowym przedsięwzięciem w Finlandii.

„Rzygam już na te Muminki” – zdarzało jej się narzekać. Sukces powoli stawał się udręką.

Tove Jansson zmarła 27 czerwca 2001 roku w Helsinkach. W oficjalnym nekrologu przytoczono parę wersów z *Wiosennej piosenki Włóczykija*: „Wolności trzeba mi, by pieśni nowych szukać i własnej melodii”.

dr Joanna Hytrek-Hryciuk – historyk, pracownik OBEP IPN we Wrocławiu, autorka m.in. książki „Rosjanie nadchodzą!” (2013)



Korzystałam z książki Boel Westin, *Tove Jansson. Mama Muminków*, Warszawa 2012

Czerwcową „ekstremistką”

Arkadiusz Kutkowski



Fot. AIPN

► Danuta Chomicka

Próba wdarcia się do siedziby KC PZPR w Warszawie, zakłócenie wizyty Edwarda Gierka w Radomiu, udział w głodówce protestacyjnej KOR – to tylko część działań, które podjęła Danuta Chomicka w obronie męża, Czesława Chomickiego, jednego ze skazanych w procesach radomskich po proteście robotniczym w czerwcu 1976 roku.

10 lipca 1976 roku w mieszkaniu Chomickich w Radomiu zjawili się kilku umundurowanych funkcjonariuszy Milicji Obywatelskiej. Podoficer dowodzący patroliem oświadczył, że muszą zabrać Chomickiego na komendę, by tam zamienić z nim „kilka słów”. Nie spodziewając się niczego złego, Chomicki wyszedł z milicjantami i... zniknął. Dwa dni później jego żona dowiedziała się, że został zatrzymany i będzie odpowiadał za demolowanie gmachu Komitetu

Wojewódzkiego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej w Radomiu w dniu 25 czerwca 1976 roku. I to nie jako zwykły uczestnik demonstracji, tylko naładowany nienawiścią do władzy ludowej chuligan, który zupełnie bez powodu rozbijał we wnętrzu komitetu co tylko się da: okna, drzwi, biurka, telefony. Prokurator prowadzący sprawę Chomickiego uznał go na dodatek za „prowodyrę zamieszek”, wręcz „przywódcę najbardziej agresywnych osobników” – takie stwierdzenia zawarł w sporządzonym naprędce akcie oskarżenia.

Chomicka nie uwierzyła nigdy w winę męża. I dlatego, gdy 13 sierpnia 1976 roku Sąd Wojewódzki w Radomiu (w składzie: sędzia Wojciech Oziębło, ławnicy Irena Sołtyk i Zenon Ciura) skazał go na karę aż dziewięciu lat więzienia, jedną z najwyższych w historii procesów radomskich, postanowiła działać – z determinacją, której nikt się chyba nie spodziewał po tej zaledwie dwudziestosześcioletniej pracownicy Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Handlu Wewnętrznego w Radomiu, matce czteroletniego chłopca.

Odwoływać się – aż do skutku!

Zaczęła typowo, jak krewni innych skazanych, od pisania podań, skarg i prośb do prokuratora generalnego, ministra sprawiedliwości oraz I sekretarza Komitetu Centralnego PZPR Edwarda Gierka. Przekonywała w nich, że mąż w dniu demonstracji był wprawdzie w gmachu KW PZPR, ale nic złego tam nie robił, bo jako były skazany, wypuszczony kilka tygodni wcześniej z zakładu karnego, obawiał się powrotu za kratki. Podawała bulwersujące okoliczności samego śledztwa i procesu, w czasie których nie doszło do przesłuchania koronnego świadka obrony, mężczyzny mogącego potwierdzić niewinność męża, i dociekała, co się stało z pisemnym oświadczeniem złożonym przez tego mężczyznę na komendzie nazajutrz po demonstracjach. Według jej

wiedzy – zniknęło, by utrudnić mężowi dochodzenie sprawiedliwości.

Pisma wysyłał też sam Chomicki, zupełnie załamany wyrokiem. W jednym z nich zapowiadał: „Będę odwoływał się do wszystkich instancji w kraju i za granicą, aż do ostatniego tchu, a gdy mi go nie starczy, zginę z klątwą na ustach, przeklinających tych, którzy mi wyrządzili krzywdę”. Mnożył również pytania: „Dlaczego nie aresztowano mnie natychmiast, skoro moje nazwisko było znane oskarżającym mnie milicjantom? Czy nie potrzebowano czasu na spreparowanie fikcyjnych dowodów?”.

W listopadzie 1976 roku z rodziną Chomickich skontaktowali się wysłannicy Komitetu Obrony Robotników. Zaoferowali pomoc prawną i finansową. Chomicka ją przyjęła, i – zgodnie z sugestią korowców – przygotowała skargę do sejmowej Komisji Spraw Wewnętrznych i Wymiaru Sprawiedliwości na bezprawne działania milicji wobec męża. Kilkanaście dni później została wezwana na „rozmowę ostrzegawczą” w Prokuraturze Wojewódzkiej w Radomiu. Prokurator Anna Zięba szczegółowo wypytała ją o skargi wysyłane do Warszawy, zwłaszcza te inspirowane przez KOR. Chciała się też dowiedzieć, co Chomicka sądzi o artykule w „Życiu Warszawy”, zawierającym odpowiedź prokuratora generalnego na zarzuty KOR o łamanie praworządności w PRL. Chomicka odparła: „Wystąpienie było niezgodne z prawdą, bo prokurator generalny mówił, że aresztowane są tylko te osoby, które dopuściły się rozbojów i kradzieży, a mój mąż siedzi pod zarzutem demolowania komitetu”. Wyraźnie zbulwersowana prokurator zaznaczyła: „Odmawia wyjaśnień dotyczących bliższych szczegółów, w tym ujawnienia adresu i nazwisk tych osób, u których była skarga”.

Milicja *locuta, causa finita*

31 stycznia 1977 roku przed Sądem Najwyższym w Warszawie odbył się proces rewizyjny Chomickiego i pięciu innych robotników oskarżonych o udział w manifestacjach. Mecenas Stanisław Szczuka, reprezentujący Chomickiego, dwoił się i troił, by przynajmniej obniżyć mu karę.



Precyzyjnie wskazywał na słabe punkty aktu oskarżenia i wyśmiewał prokuratorskie ustalenia, według których to właśnie Chomicki przewodził grupie demolującej komitet. Nawiązując do rozstrzygnięć w innych sprawach wytaczanych manifestującym, też obfitującym w „prowodów” i „przywódców”, ironizował: „To już chyba piąty przywódca, który staje przed sądem w procesach radomskich. Czy aby nie za dużo tych przywódców jak na jeden korytarz w KW?”. Sąd jednak pozostał głuchy na argumenty mecenasa i utrzymał wyrok skazujący Chomickiego na karę dziewięciu lat więzienia.

„Milicja *locuta, causa finita* (milicja przemówiła, sprawa skończona)” – skomentował orzeczenie mec. Władysław Siła-Nowicki, podobnie jak Szczuka angażujący się w pomoc represjonowanym

robotnikom, a KOR wydał oświadczenie, w którym ostrzegał: „Po tym, co się stało w Sądzie Najwyższym, każdy obywatel może spodziewać się podobnego losu. Jeśli zachowa milczenie i obojętność wobec tego bezprawia w majestacie prawa, sam stanie się jego uczestnikiem i potencjalną ofiarą. Tam bowiem, gdzie są zakładnicy, nie ma mowy o sprawiedliwości. Wyroki sądów muszą się różnić od zemsty przerażonego o swoją własność posiadacza”.

Wstrząśnięta wyrokiem była też Danuta Chomicka. 1 lutego 1977 roku – nazajutrz po decyzji sądu – wraz ze szwagierką Lucyną Chomicką pojechała do Warszawy, by spotkać się z Gierkiem i przekonać go o niewinności męża. Zdesperowane kobiety dostały się do gmachu KC PZPR i zażądały spotkania z I sekretarzem. Strażnikom oświadczyły, że ▶

▶ Demonstracja pod siedzibą Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Radomiu, 25 czerwca 1976 roku

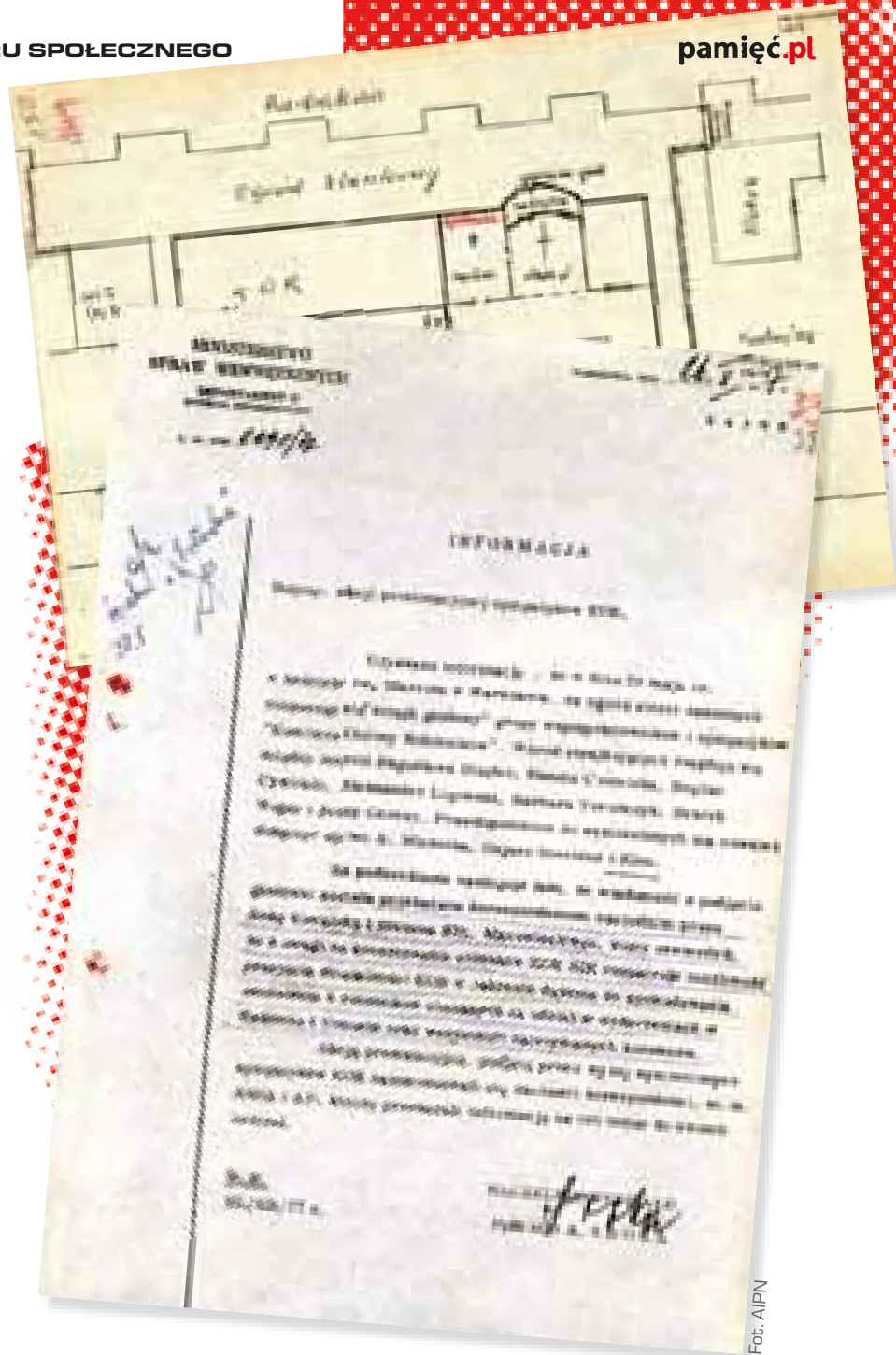


budynku nie opuszczają aż do momentu, gdy przywódca partii nie zapozna się z ich racjami. „Próbowaliśmy wejść na piętro bez przepustek, ale ich nie przepuszczono – relacjonował potem w pilnej depeszy do MSW insp. Józef Ramięga z Komendy dzielnicowej Warszawa-Śródmieście. – Po pewnym czasie zostały zatrzymane i radiowozem dowieziono do komendy. Na pytanie, co ma zamiar dalej zrobić, Chomicka oświadczyła, że zostanie w Warszawie i jeżeli nie będzie miała żadnej pomocy, to popełni samobójstwo. Na zapytanie, gdzie będzie mieszkać, odpowiedziała, że w hotelu, a jak nie będzie miejsca, to na dworcu. [...] Rozmówczyni została pouczona, że jeżeli swym zachowaniem wywoła zbiegowisko lub w inny sposób zakłóci spokój publiczny, zostanie narażona na odpowiedzialność administracyjno-karną lub karną” – zakończył swoją relację milicjant.

Prowokacja „na męża” i „na żonę”

Służba Bezpieczeństwa nie zamierzała poprzestać na połajankach. 9 lutego 1977 roku Wydział III Komendy Wojewódzkiej MO w Radomiu zaczął „rozpracowywać” małżeństwo Chomiczów w ramach sprawy o kryptonimie „Ara”. Jej celem było m.in. podkopanie wzajemnego zaufania między Chomiczami a KOR. Aby to osiągnąć, esbecy zdecydowali się na wyjątkowo łajdaką „kombinację operacyjną”, wysyłając trzy prowokacyjne, kłamliwe listy. W pierwszym, adresowanym do Jacka Kuronia, donosili, że „łącznicy KOR docierają do kobiet w Radomiu, z którym tracą pieniądze na alkohol”, co bardzo gorszy radomskich robotników; w drugim, do Zofii Romaszewskiej, że jej mąż Zbigniew „jest kobieciarzem”; w trzecim wreszcie, do Chomiczów – że jego żona kontaktuje się z korowcami i pije z nimi wódkę.

Choć esbecy zadbali, by anonimy trafiły nie tylko do adresatów (kopie otrzymali znajomi Chomiczów), prowokacja spaliła na panewce. Chomicka nie zrezygnowała z kontaktów z KOR, a Romaszewska wręcz stała się jej powierniczką



► Fragment jednego z meldunków operacyjnych SB, opisujących głodówkę Chomiczów w zakładzie karnym

w sprawach związanych z mężem – co pokreślili nawet sami esbecy w kolejnych raportach.

Amnestia, ale nie dla Chomiczów

Na początku lutego 1977 roku Edward Gierek, coraz mocniej krytykowany za restrykcyjną politykę karną po czerwcu 1976 roku, postanowił ogłosić amnestię dla zdecydowanej większości uczestni-

ków protestów, przebywających jeszcze w zakładach karnych. Na liście osób do zwolnienia nie było jednak Chomiczów. Stał się on w ten sposób jednym z największych „ekstremistów czerwcowych”, niezaskądających – zdaniem władz – na żadną łaskę.

Zupełnie już zdruzgotany Chomicz odpowiedział 16 lutego 1977 roku bezterminową głodówką i przesłał z zakładu karnego w Barczewie oświadczenie, któ-

re wkrótce cytowały komunikaty KOR, a w ślad za nimi rozgłosnie zachodnie: „Myślałem, że wiele potrafię i że wszystko będzie dobrze, lecz dzień 25 czerwca zniszczył mi wszystko. Zniszczyli mnie. Potraktowali mnie bardzo brutalnie tylko dlatego, że byłem karany. Nie pogodzę się z tym i nigdy tego nie zapomnę. Mam okazać skruchę. Pytam się – za co? Za to, że jestem niewinny? Za to, że dostałem za darmo dziewięć lat więzienia? [...] Będę walczył do upadłego o swoją wolność i prawa człowieka dotąd, dopóki starczy mi sił, a jak mi ich nie stanie, to w ostatniej godzinie będę przeklinał tych, co wyrządzili mi krzywdę”.

1 kwietnia 1977 roku, wciąż prowadząc głodówkę, Chomicki jeszcze zaostriął ton wypowiedzi: „Mam takie samo prawo do życia jak pan Gierk i pan Jaroszewicz. Kolor skóry też mamy jednakowy. Niech moje strajki będą symbolem dobrobytu w Polsce Ludowej. Proszę o wydanie mi kary śmierci. Przez cały mój wyrok będą kontynuował strajki głodowe, a po wyjściu na wolność splonę żywcem na gmachu Ministerstwa Sprawiedliwości. Zrobię to w imię sprawiedliwości, jaka spotkała mnie ze strony PZPR i władzy ludowej. O tym dowie się cały świat, więc mnie lepiej zamordujcie”.

Chomicka w obliczu tak wielkiej determinacji męża zdecydowała się na jawną już współpracę z KOR. 5 kwietnia 1977 roku wystąpiła na konferencji prasowej zorganizowanej przez komitet w Warszawie i przekazała licznemu gronu dziennikarzy zagranicznych informacje o sytuacji Chomickiego, który schudł do niespełna 50 kg. Relacja była tak wstrząsająca, że 12 kwietnia 1977 roku KOR wysłał do przewodniczącego Rady Państwa depeszę domagającą się uwolnienia Chomickiego. Równocześnie część działaczy komitetu zaczęła rozważać pomysł, by ogłosić głodówkę solidarnościową z Chomickim. Doszło do niej ostatecznie w maju 1977 roku, po śmierci studenta opozycjonisty Stanisława Pyjasa. Protest odbywał się w kościele św. Marcina w Warszawie. Głodujący, wśród których znalazły się Danuta i Lucyna Chomickie, domagali się nie tylko

zwolnienia aresztowanych na początku maja 1977 roku działaczy KOR, lecz także amnestionowania pozostających jeszcze w więzieniach robotników.

Funkcjonariusze SB wyypywali potem Chomicką, dlaczego zdecydowała się na udział w tak radykalnym proteście. Chomicka odpowiedziała: „Nie mogłabym spojrzeć o w oczy mężowi w sytuacji, gdyby wiedział, że obce mu osoby przystąpiły do głodówki w jego sprawie, a żona nie”.

Towarzysz Gierk zdenerwowany

W otoczeniu Edwarda Gierka dojrzał tymczasem pomysł, by przygotować jeszcze jeden akt amnestyjny, tym razem ostatecznie już przynoszący wolność skazanym robotnikom oraz aresztowanym działaczom KOR. Zanim jednak amnestię ogłoszono, Radom postanowił osobiście odwiedzić sam I sekretarza.

W Radomiu powszechnie oczekiwano, że wizyta przyniesie rozwiązanie do wydarzeń z czerwca 1976 roku i zdejmie ciężar wciąż na zbuntowanym mieście anatemę siedliska chuliganów i warcholów. Nic takiego się jednak nie stało. Gierk odwiedził wprawdzie Radomską Wytwórnę Telefonów i Zakłady Metalowe – dwa spośród przedsiębiorstw strajkujących w czerwcu 1976 roku – ale tylko po to, by wysłuchać hołdów, a w przemówieniu, które później wygłosił dla „przedstawicieli radomskiego świata pracy”, zebranych w hali przedsiębiorstwa ZREMB 1500, znalazły się wyłącznie slogany typowe dla partyjnej nowomowy. Nieco rozczarowany takim przebiegiem wizyty Janusz Prokopiak, I sekretarz KW PZPR w Radomiu, zapamiętał, że Gierk opuszczał Radom wyraźnie zdenerwowany. Niepokoiły go tłumy znajdujące się na trasie przejazdu i pokrzykiwał do kierowcy: „Prędej, prędzej, do jasnej cholery!”. „Wyraźnie bał się ludzi, bał się, by nie zatrzymali samochodu [...]. Uspokoił się dopiero po wyjeździe z miasta” – odnotował Prokopiak.

Co tak zdenerwowało Gierka – nie wiadomo. Ale być może klucz do zrozumienia reakcji I sekretarza kryje się w odnotowanym przez SB incyden-

cie, do którego doszło pod budynkiem KW PZPR w Radomiu. Jej bohaterkami były znowu Danuta i Lucyna Chomickie, które – według ustaleń SB – „dwukrotnie usiłowały dostać się do tow. Gierka, próbując wręczyć mu petycję o ponowne rozpatrzenie sprawy Chomickiego”. Zamiar ten wprawdzie się nie powiódł, ale SB i ochrona Gierka zostały zmuszone do działań nadzwyczajnych. Oddajmy zresztą głos świadkowi z grona funkcjonariuszy SB: „Ponieważ nie było pewności, że Chomicka nadal nie będzie się starać dotrzeć do tow. Gierka, zorganizowano od godz. 12 kontrolę jej zachowania. Około godziny 17 ponownie przybyła pod budynek KW PZPR, głośno wyrażając zamiar dotarcia do tow. Gierka w momencie jego odjazdu. Aby nie dopuścić do tego, podjęliśmy działania w momencie formowania się szpalery i zostały one oddalone na odległość uniemożliwiającą zetknięcie się z osobą I sekretarza KC PZPR. Po zebraniu obydwóch na bezpieczną odległość przez stworzony wokół nich tłum nawiązano z D. Chomicką i L. Chomicką rozmowę, podczas której D. Chomicka stwierdziła, że jej i C. Chomickiemu nie chodzi o łaskę ze strony władz centralnych, lecz o to, by dociec »prawdy« i wykazać niewinność. Dlatego też podjęła głodówkę w Warszawie”.

Raport, podobnie jak ten poprzedni, z lutego 1977 roku, kończył się pouczeniem dla Chomickiej: „Poinformowano figurantkę, iż powinna zająć się dzieckiem oraz pracą zawodową, a nie jeździć do Warszawy i wspierać KOR...”.

Czesław Chomicki wyszedł ostatecznie na wolność 23 lipca 1977 roku – w ostatniej grupie skazanych. Po opuszczeniu zakładu karnego nadal utrzymywał kontakty z działaczami KOR, a potem Komitetem Samoobrony Społecznej KOR. Kontakty takie utrzymywała również Danuta Chomicka. I to zadecydowało o tym, że SB prowadziła rozpracowanie małżonków aż do 1983 roku. To jednak temat na zupełnie inną już opowieść. 📌

Arkadiusz Kutkowski – pracownik radomskiej delegatury OBEP IPN w Lublinie

► Miłość w konwencji socrealizmu – zakochani murarze: Hanka Ruczaj (Lidia Korsakówna) i Jan Szarliński (Tadeusz Schmidt)

Przygoda na Mariensztacie

Jerzy Eisler

Pierwszy kolorowy film polski, chociaż naszpikowany socrealistyczną propagandą, został ciepło przyjęty przez publiczność. Dziś jego walorem jest przede wszystkim dokumentacja wyglądu odbudowywanej po wojnie Warszawy.

Przygoda na Mariensztacie zapisała się na trwałe w historii polskiej kinematografii jako pierwszy film fabularny zrealizowany w kolorze, chociaż można także znaleźć informację, że pierwszym filmem barwnym była nakręcona w tym samym czasie *Piątka z ulicy Barskiej* w reżyserii Aleksandra Forda. Rozstrzygające znaczenie w tym wypadku ma jednak data premiery: 25 stycznia 1954 roku miała swój ekranowy debiut *Przygoda*, a ponad miesiąc później, 27 lutego, *Piątka z ulicy Barskiej*. Warto może tylko jeszcze w tym miejscu przypomnieć, że do 1965 roku wszystkie polskie filmy barwne pełno- i krótkometrażowe były realizowane systemem Agfacolor lub Sovcolor.

Komedia w klimacie życzliwości

Film Leonarda Buczkowskiego *Przygoda na Mariensztacie* jest – obok takich obrazów jak *Sprawa do załatwienia* czy *Irena do domu!* – jedną z trzech polskich komedii filmowych zrealizowanych w konwencji socrealizmu. „W początkach lat pięćdziesiątych – pisała dwadzieścia lat później Barbara Mruklik – sprawa komedii filmowej nastęrczała wiele trudności. Widzowie znuzeni jednostajnością ówczesnego repertuaru, złożonego głównie z fil-

mów o tematyce produkcyjnej i z »optymistycznych dramatów«, domagali się rozrywki. Ale na drodze do stworzenia filmów lżejszego kalibru piętrzyły się niezliczone trudności. Lawirowano między społecznie mobilizującą satyrą i optymistyczną afirmacją społecznych zdobyczy nowego ustroju. W jednym filmie usiłowano zmieścić oba rodzaje komedii, co prowadziło nieuchronnie do stopienia ostrza satyry i do »lukrowania« przedstawionej rzeczywistości. Polska komedia filmowa omawianego okresu nie była w stanie sprostać stawianym przed nią zadaniom».

Autorka tych słów stwierdziła też jednak, że *Przygoda na Mariensztacie* utrzymana była w „charakterystycznym dla komedii Buczkowskiego klimacie życzliwości dla świata i dla ludzi, komedii w miarę wesołej i w miarę sentymentalnej. [...] Krytyka potraktowała *Przygodę na Mariensztacie* łagodnie, a publiczność przyjęła ją entuzjastycznie. Z dzisiejszej perspektywy ów wodevil z życia warszawskich budowlanych nie wydaje się tak zabawny i tak udany jak wówczas». Mimo to po latach krytycy i historycy właśnie ten film oceniali zdecydowanie najwyżej spośród wymienionych powyżej komedii. Różne były tego przyczyny, ale chyba nie na ostatnim miejscu należałoby wskazać to, że jego twórcami byli współpracujący ze sobą z powodzeniem już przy *Zakazanych piosenkach* i *Skarbie* reżyser Leonard Buczkowski i scenarzysta Ludwik Starski.

Stolica w roli głównej

Twórcy i tym razem, tak jak w *Skarbie*, jednym z głównych bohaterów filmu uczynili Warszawę. Od powstania *Skarbu* minęło wszak pięć lat i znaczna część śródmieścia stolicy została już odbudowana albo zbudowana od nowa. Pomysłowi obsadzenia

miasta w jednej z głównych ról sprzyjało na pewno także i to, że – jak już wspominałem – film był realizowany na taśmie barwnej. Nie sądzę, aby takie właśnie były zamiary twórców, w tym także autorów zdjęć: Seweryna Kruszyńskiego i Franciszka Fuchsa, ale dzisiaj właśnie te – mające walor niemal dokumentalny – kolorowe kadry świeżo odbudowanej i dalej odbudowującej się Warszawy, mają największą wartość poznawczą i historyczną. Możemy więc zobaczyć na ekranie nie tylko pałac w Łazienkach, lecz także m.in. tytułowy Mariensztat, kolumnę Zygmunta i Starówkę w odbudowie, pomnik Adama Mickiewicza przy Krakowskim Przedmieściu, Nowy Świat, Muranów w budowie i pałac Mostowskich, a także, nieistniejący dzisiaj na szczęście, pomnik Feliksa Dzierżyńskiego na placu noszącym wówczas jego imię. Widać też w pewnym momencie jeszcze niewyremontowany, zniszczony, ale niezburzony w czasie Powstania Warszawskiego, najwyższy gmach w przedwojennej Warszawie – Prudential, z oknami pozakrywanymi dyktą. Wiele z tych obiektów oglądamy oczami coraz bardziej umęczonych w upalny dzień przez przewodnika sprintera członków zespołu folklorystycznego, który przybył na występy do Warszawy.

Warto zauważyć, że ów ekspresowy przewodnik (w tej epizodycznej roli wystąpił znakomity Edward Dziewoński), pokazując przybyšom – spod pomnika Syrenki – panoramę prawego brzegu Wisły, objaśnia to w oryginalny z dzisiejszego punktu widzenia sposób: „Praga, przedmieście Warszawy”. Jednak jeszcze bardziej symptomatyczne jest to, że stojąc w pobliżu Trasy W-Z, pokazuje gościom kolumnę Zygmunta i Pałac pod Blachą, ale ani słowem nie wspomina o górującym nad trasą kościele św. Anny, który zresztą widać wyraźnie w kadrze. Cóż, „elementy klerikalne” nie tylko wtedy nie mogły pojawiać się w polskich filmach.

Możemy natomiast zobaczyć, jak wyglądały wtedy warszawskie ulice, jakie jeździły tramwaje i autobusy, jakie inne pojazdy (bo przecież nie tylko samochody) poruszały się po mieście, jak byli ubrani ludzie. Jednocześnie widzimy, jak wyglądały wówczas budowy i w jaki sposób wznoszono domy. Razem z ówczesnymi mieszkańcami miasta możemy także obserwować pracę maszyn budowlanych. Mam zresztą wrażenie, że niektóre kadry z *Przygody na Mariensztacie* w wersji czarno-białej z czasem – przy różnych okazjach – zaczęto wykorzystywać jako materiał dokumentalny.

Film ma kilka płaszczyzn fabularnych i zapewne miał także kilka zadań do wypełnienia. Jest w nim na pewno coś z „produkcyjniaka na wesoło”. Oto męska brygada budowlana pod przywództwem – ukazanego wręcz karykaturalnie, ale zarazem ciepło – majstra Ciepiewskiego (w tej roli Adam Mikołajewski) na swój sposób rywalizuje z żeńską brygadą kierowaną przez majster Rębaczową (Barbara Rachwańska). Na to nakłada się wątek miłosny, historia zakochanego w pięknej murarce Hance Ruczaj (w tej roli wystąpiła Lidia Korsakówna wywodząca się z Państwowego Zespołu Pieśni i Tańca „Mazowsze”) przodownika pracy (312 proc. normy) z brygady Ciepiewskiego, murarza Jana Szarlińskiego (Tadeusz Schmidt). Miłosnym perypetiom młodych towarzyszą melodyjne piosenki, dla potrzeb filmu na-

pisane przez założyciela „Mazowsza” Tadeusza Sygietyńskiego do słów Ludwika Starskiego: *Cyraneeczka* oraz *Jak przygoda, to tylko w Warszawie*. Współautorką słów do *Cyraneeczki* była współzałożycielka i wieloletnia szefowa „Mazowsza”, Mira Zimińska-Sygietyńska – żona Tadeusza Sygietyńskiego, który był autorem muzyki i tekstu popularnej wówczas pieśni masowej *To idzie młodość*, wykorzystanej w początkowej sekwencji filmu.

Prawie tak dobra, jak murarz

Starski, twórca popularnej piosenki *Warszawa, ja i ty* napisanej do filmu *Skarb*, tym razem był autorem tekstu przebojowego walczyka *Jak przygoda to tylko w Warszawie*. W piosence tej retorycznie i na wyrost pytao odbudowany pomnik: „Królu Zygmuncie, powiedz nam, czyś widział Warszawę tak piękną, jak dziś?”. Ale w piosence tej znalazły się też stwierdzenia mniej „rojalistyczne”, za to bardziej na czasie: „Dziś rano twe dłonie dziewczęce mieszały i wapno, i piach, wieczorem – olśnienie: w kwicistej sukience ładna jesteś jak, ładna jesteś jak... ach!”. Nie mogę się powstrzymać od zacytowania jeszcze jednego, równie „udanego” fragmentu, tym razem z *Cyraneeczki*: „Jadą maszyny, na nich dziewczyny, a każda jako chłopak”.

Jednym z wątków *Przygody na Mariensztacie* jest bowiem silnie lansowana przez ówczesne władze kwestia emancypacji kobiet. Nie sądzę jednak, żeby współczesne feministki były zadowolone ze sposobu, w jaki do tej problematyki podeszli twórcy filmu. W PRL myślano bowiem co najwyżej o tym, żeby kobiety dorównywały mężczyznom. Komplementem dla pań miało być już samo stwierdzenie, że zrobiły coś prawie tak dobrze jak mężczyźni. Współczesne feministki natomiast na ogół pragną, aby mówić, iż zrobiły coś lepiej od mężczyzn, a zapewne najbardziej ucieszyłyby je stwierdzenie, że jakiś mężczyzna (najlepiej premier, prezydent, minister, naukowiec, artysta, sportowiec itd.) zrobił coś prawie tak dobrze, jak robią to zwykle kobiety.

Pamiętać jednak trzeba, że sześćdziesiąt lat temu (nie tylko przecież w tej jednej kwestii) zupełnie inna była świadomość ▶

▶ Edward Dziewoński w roli ekspresowego przewodnika



zarówno kobiet, jak i mężczyzn. *Novum* stanowiło przecież samo pojawienie się po wojnie kobiet na budowach. Już w latach 1949–1950 na stołecznych placach budowy pracowało 6 tys. robotnic, a w następnym okresie ich liczba systematycznie rosła. Normą było wówczas, że kobiety na analogicznych stanowiskach zarabiały znacząco mniej niż mężczyźni; rzadko też pełniły funkcje kierownicze. Do tego należy dodać, że dość często robotnicy płci męskiej odnosili się do swoich koleżanek w sposób arogancki, a niejednokrotnie wręcz wulgarny. Kobiety spełniały zresztą głównie różne role pomocnicze, często na przykład będąc „podręcznymi” na budowach. Bardzo rzadko jednak ich warunki pracy były (a może nawet nigdy nie były?) tak idylliczne, jak ukazano to w *Przygodzie na Mariensztacie*. W filmie kobiety są zresztą ukazane także w innych rolach społecznych. Pojawiają się więc – ku zgorzeleniu jednego ze staroświeckich bohaterów – tramwajarki, milicjantka, kobieta kierowca samochodu dostawczego, a nawet elegancka pani dyrektor wysokiego szczebla. Kobiety wykonujące różne „męskie zawody” pokazywane są trochę na zasadzie sensacji, jako coś niezwykłego, nietypowego, wyjątkowego. W tym ujęciu mężczyzna milicjant, mężczyzna kierowca, mężczyzna murarz byli jak najbardziej naturalni, na miejscu, natomiast kobieta wykonująca te same zajęcia była kimś niezwykłym, o kim warto było – już tylko z tego powodu, że był przedstawicielem płci pięknej – napisać w gazecie, powiedzieć w radiu czy pokazać to w Polskiej Kronice Filmowej.

Baśniowy hotel robotniczy

Przygoda na Mariensztacie jest jednak filmem fałszywym z zupełnie innego powodu. Nie ma w nim w ogóle strachu przed terrorem bezpieczeństwa, o co, pamiętając o prewencyjnej cenzurze i partyjnej kontroli, trudno byłoby mieć do twórców pretensję. Gorzej, że przedstawili kompletnie nieprawdziwy wyidealizowany i lukrowany obraz sekretarza Podstawowej Organizacji Partyjnej Henryka Tokarskiego, który jest mądry, dobry, wyro-

zumiały, zaradny, opiekuńczy. Jest po prostu jak ojciec, który dla wszystkich zawsze ma czas, aby wysłuchać skarg i pocieszyć. Ale nie ma też wcale w tym filmie (a w *Skarbie* próbowano to ukazać) mizერიi życia codziennego. Kompletnie oderwany od rzeczywistości jest np. obraz hotelu robotniczego, gdzie bohaterowie nie tylko mieszkają w czystych, kilkusobowych pokojach ze schludnymi łózkami i firankami w oknach, lecz także uczą się i czytają książki, a wolny czas spędzają w świetlicy, rozmawiając, grając w warcaby czy bilard.

Ewidentnie jest to wizja baśniowa. Ówczesni decydenci zapewne chcieli, aby tak właśnie wyglądały hotele robotnicze, lecz rzeczywistość była dramatycznie inna. W 1951 roku, a więc dwa lata wcześniej niż rozgrywa się akcja filmu, w Warszawie były 134 hotele robotnicze, w tym siedem żeńskich. Łącznie mieszkało w nich ponad 10 tys. osób. Aż 65 z tych obiektów mieściło się w drewnianych barakach. Pełne oświetlenie – jak odnotował badający to zjawisko Błażej Brzostek – miało 96 takich hoteli, umywalki – 72, kuchnie – 71, świetlice – 63, skanalizowane ustępy – 45, „kapieliska” – 35, a pralnie zaledwie pięć. Dopuszczalnego zagęszczenia (2 m kw. na osobę) nie przekroczone tylko w 25 hotelach.

Przygoda na Mariensztacie – paradoksalnie – jest i zarazem nie jest świadectwem czasów, w których powstała. Możemy traktować ją jako jedno ze źródeł naszej wiedzy na temat wyglądu Warszawy w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych (jeszcze bez Pałacu Kultury i Nauki, który wtedy był budowany). Możemy podziwiać grę aktorów, których od dawna wśród nas nie ma. Poza już wymienionymi warto wspomnieć, że pechowego hydraulika Dobrzyca zagrał wybitny aktor Tadeusz Kondrat, ojciec znacznie bardziej dzisiaj znanego Marka Kondrata. Nawet w rolach trzecioplanowych i epizodach wystąpili aktorzy, którzy w następnych dekadach należeli do najpopularniejszych i najwybitniejszych w Polsce: Waław Kowalski, Józef Nowak czy Wojciech Siemion. ❄

► Ludowa zabawa na rynku tytułowego Mariensztatu; tańczą majster Rębaczowa (Barbara Rachwalska) i majster Ciepielewski (Adam Mikołajewski)

prof. dr hab. Jerzy Eisler – historyk, dyrektor Oddziału IPN w Warszawie; zajmuje się dziejami PRL, a także najnowszą historią Francji i historią kina; autor książek, m.in. *Polski rok 1968* (2006), *„Polskie miesiące”, czyli kryzys(y) w PRL* (2008), *Siedmiu „wspaniałych”. Poczet pierwszych sekretarzy KC PZPR* (2014)



Orzeł z powstańczego krzyża

Tomasz Zawistowski

Polski orzeł wojskowy w burzliwym XX wieku przybierał wiele różnych form różniących się kształtem, wielkością i sposobem wykonania. Niektóre stylizacje były archaiczne, inne nowoczesne, niektóre piękne, a inne wręcz pokraczne. Do najpiękniejszych należy z pewnością orzeł noszony przez żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, wprowadzony formalnie jako wz. 1939. Setki tysięcy godeł tego wzoru wyprodukowano w Europie, Ameryce Północnej, Afryce i Azji. Zapewne mało kto z jego użytkowników wiedział, jak długa była historia ewolucji tego znaku.



► Orzeł z jasnogórskiego wotum żołnierzy I Korpusu Polskiego, rok 1935

Fot. ze zbiorów sztuki wotywniej Jasnej Góry

W końcu stycznia 1863 roku Leon Frankowski zorganizował i uzbroił oddział składający się ze studentów Instytutu Politechnicznego. Wyruszył przez Kazimierz, aby połączyć się z oddziałami Mariana Langiewicza, a dowiedziawszy się o jego klęsce w bitwie pod Wąchockiem i wycofaniu się w Góry Świętokrzyskie, zmienił kierunek na Sandomierz. W ślad za nim postępowali Moskale pod komendą płk. Jurija Miednikowa. Do katastrofy doszło 8 lutego. Jak czytamy w monumentalnej pracy Stanisława Zielińskiego wydanej w Rapperswilu: „dopadnięty został przez nieprzyjaciela pod Słupczą, gdzie oddział, zajmując budynki i wzgórza, krótki stawiając opór, poszedł w rozsypkę”.

W potyczce między Słupczą i Dwikożami poległo, zostało rannych lub dostało się do niewoli 75 powstańców. Wiemy doskonale, że nie była to ani naj-

większa, ani najważniejsza z powstańczych porażek. Walki trwające przez ponad półtora roku przyniosły straty sięgające kilkudziesięciu tysięcy zabitych. Wielu z nich zginęło w takich właśnie małych bitwach i potyczkach. Pamięć o nich zaowocowała postawieniem przez potomków setek, a może tysięcy krzyży, pomników i kopców kamiennych, upamiętniających pobojuwiska i mogiły. Stały się one nieodłącznym elementem polskiego krajobrazu, przez lata niewoli kształtując świadomość kolejnych polskich pokoleń.

Pół wieku później

Pięćdziesiąt pięć lat po bitwie między Słupczą i Dwikożami i 600 kilometrów dalej na wschód, w położonej na Białorusi twierdzy Bobrujsk, kończył składać broń przed Niemcami I Korpus Polski, dowodzony przez gen. Józefa Dowbor-Muśnickiego. Dnia 12 czerwca 1918 roku dowódca wydał swym żołnierzom pożegnalny rozkaz:

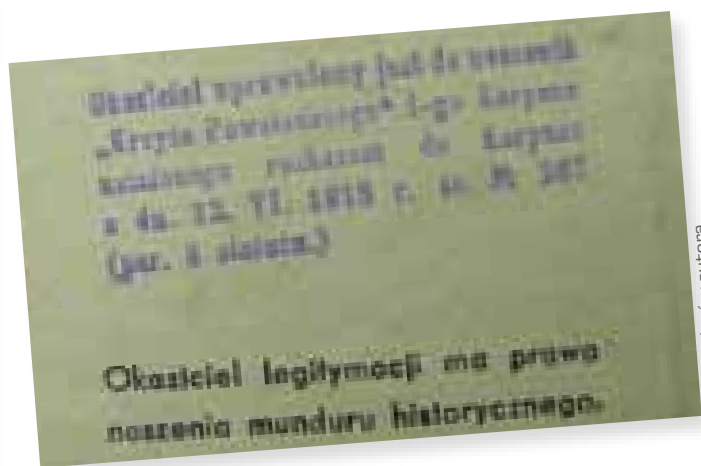
„Powierzony mi Korpus, pierwszy Korpus Polski, po uznaniu przez wszystkie państwa niezależności Polski, przestaje egzystować. Nie dokończywszy ►

swojej formacji, potrafił on odegrać historyczną rolę, zadawszy cios krwawy jednemu z ciemieżców Narodu Polskiego. Wspomnienie o korpusie nie zaginie i zaginać nie może. Niech Naród sądzi nas i wypowie się o Naszem krótkiem, lecz tak ciężkiem istnieniu.

Przypomnijcie sobie, Rodacy, kto pomagał nam. Mieliliśmy tylko wrogów i tylko miłość Ojczyzny przyswiecała naszej pracy. Będziemy pracowali i nadal dla Ojczyzny i dla Narodu.

Dla ściślejszego skojarzenia i odznaczenia naszej nielicznej wojskowej rodziny ustalam dla wszystkich, którzy znajdowali się w szeregach korpusu do 11-go marca r. b. i złożyli przysięgę Rządowi Polskiemu, znaczek według załączonego wzoru”.

Znaczek ów miał postać wysmukłego krzyża łacińskiego, na którego dolnym ramieniu był umieszczony orzeł wojskowy, siedzący na tarczy amazonek, z za



Fot. ze zbiorów autora

► Pieczętka z legitymacji Związku Żołnierzy I Polskiego Korpusu Wschodniego należącej do Józefa Stańskiego, potwierdzająca prawo do noszenia odznaki

której widać było dwie skrzyżowane szable. Na tarczy znajdował się monogram „I K.”.

Autorem znaku był gen. Dowbor-Muśnicki, który w swoich wspomnieniach zanotował: „W dzieciństwie mojem wywarła na mnie wielkie wrażenie mogiła powstańcza, znajdująca się przy szosie między Sandomierzem a Słupczą; był to kopiec obramowany kamieniami. Zauważyłem go przypadkowo, jadąc z matką, i spytałem, co by to być mogło? Była

to wspólna mogiła poległych z oddziału Czachowskiego, których Rosjanie zmasakrowali. Nieco dalej, na górcie, widniał wysoki, wysmukły krzyż z krótkimi ramionami. Zapewne jakiś powstaniec, będąc wyczerpanym, odbił się od partii lub może, ratując się, zginął, dościnęty przez wroga. Ten oto właśnie krzyż nasyłał mi myśl w 1918 r. stworzenia na jego wzór odznaki I Polskiego Korpusu, przez co związałem czyny pierwszego wojska polskiego z czynami powstańców 63 roku, wśród których był też wuj mój, Tomasz Wierzbicki”.

Wszystko wskazuje na to, że w dziecięcym wspomnieniu późniejszego generała pojawiły się właśnie pamiętki bitwy pod Słupczą. Nazwisko nieobecnego tam w rzeczywistości gen. Dionizego Czachowskiego, w początkowym okresie jednego z najlepszych oficerów Langiewicza, później rozniesionego na szablach pod Wierchowiskami, przeszło do legendy i na jej prawach ozdobiło wiele podań o walkach, w których generał nie wziął udziału. Tak czy inaczej, pamięć powstańczej legendy zrodziła taką, a nie inną formę odznaki I Korpusu. Opowieść ta musiała być dobrze znana już w tamtych czasach, w oficjalnych dokumentach bowiem odznakę nazywano „Krzyżem Powstańczym”.

Pomnik, mogiła i wotum

Odznaka w formie krzyża, zaprojektowana jeszcze za czasów istnienia Korpusu, w latach międzywojennych cie-



Fot. ze zbiorów autora

► Pomnik ofiar Powstania Styczniowego na cmentarzu w Tarnowie, postawiony w roku 1891; większa swoboda używania symboli patriotycznych w Galicji pozwalała na umieszczanie okazałych napisów i tablic pamiątkowych (pomniki w zaborze rosyjskim były dużo skromniejsze, często po prostu przyjmowały postać przydrożnego krzyża); zdjęcie, wykonane po 1894 roku, sygnował Leon Starża Majewski.

► Weteran I Korpusu Polskiego z odznaką przypiętą do munduru; Wilno, lata dwudzieste



Fot. ze zbiorów autora



► Odznaka pamiątkowa I KP po Józefie Stańskim

identyczny z egzemplarzem z mogiły na Powązkach. Identyczny jest również rysunek orła z pętlicami na udach. Zmianie uległ natomiast kształt tarczy amazonek, którą uzupełniono dolnym szlakiem opatrzonym gwoździami, charakterystycznym dla wojskowych godeł do czapek noszonych w latach międzywojennych.

Powstaje pytanie: kto był autorem tego orła, jednej z piękniejszych dwudziestowiecznych stylizacji? Z pewnością był to biegły artysta plastyk związany ze środowiskiem Dowborczy-

ków i rozumiejący jego symbolikę. Ani w metryce mogiły, ani na wotum nie zachowało się nazwisko ich projektanta, mamy jednak przesłanki, by wiązać ich autorstwo z konkretną postacią.

W roku 1930 na warszawskim Wybrzeżu Kościuszkowskim odsłonięty został nieistniejący dzisiaj pomnik Dowborczyków. Jego projektantem był mjr Michał Kamieński, były żołnierz I Korpusu Polskiego i uznany artysta rzeźbiarz oraz malarz. Na cokole pomnika znajdowała się powiększona odznaka Korpusu o charakterystycznym, wysmukłym kształcie, jak pisał gen. Dowbor-Muśnicki „krzyż z krótkimi ramionami”, na ►

szła się dużą popularnością jako znak rozpoznawczy weteranów. Świadczy o tym jej obecność przy wielu mundurach i ubraniach cywilnych na zachowanych fotografiach archiwalnych, spora liczba ocalałych egzemplarzy odznaki i jej miniatur, a także występowanie jej w postaci znaku graficznego w nagłówkach pism związku zrzeszającego weteranów I Korpusu. Oczywiście wizerunek odznaki figurował też na legitymacjach uprawniających do jej noszenia, zarówno tych wystawionych jeszcze w Bobrujsku, jak i na późniejszych.

Powiększona wersja odznaki ozdobiła odsłoniętą w 1932 roku i istniejącą do dziś symboliczną mogiłę Dowborczyków na warszawskim cmentarzu Powązkowskim. Zwiększenie wymiarów odznaki wymagało starannego dopracowania szczegółów jej rysunku. Pojawiła się na niej bardzo ciekawa plastycznie wersja orła, znamionująca wprawna rękę autora. Charakterystyczną cechą orła, akcentem graficznym, który nigdy wcześniej nie pojawił się w projekcie polskiego godła, jest upierzenie na udach zawinięte

w kształt pętlic. Orzeł z mogiły siedzi na tarczy amazonek o kształcie typowym dla godeł, jakie Dowborczycy nosili na swych czapkach w latach 1917–1918.

W roku 1935 przygotowywano wotum, które byli żołnierze I Korpusu postanowili ofiarować Jasnogórskiej Hetmance. Wybór formy był dość oczywisty. Odpowiednio powiększony Krzyż Powstańczy posadowiono na prostokątnej tabliczce z napisem: „Bogarodzicy Dziewicy/ Bogiem sławionej Maryi/ Iy Polski Korpus/ Jen. J. Dowbor Muśnickiego/ Bobrujsk 1918/ Jasna Góra 1935/ Wódz i Żołnierze”. Sam krzyż w kształcie, rozmiarze i sposobie wykonania jest

► Orzeł z odznaki I Korpusu Polskiego zdobiącej symboliczną mogiłę Dowborczyków na cmentarzu Powązkowskim, (rok 1932); zwracają uwagę proporcje skrzydeł i charakterystyczny kształt pętlic, w jaki ułożone są pióra na udach



Fot. ze zbiorów autora

► Żołnierz pododdziału łączności we Francji, na furażerze orzeł wz. 39

Fot. z archiwum IPMS

której orzeł umieszczony był bardzo nisko (nawiasem mówiąc, szkoda, że zlekceważono te proporcje, odtwarzając pomnik w 2001 roku). Kluczowe pytanie brzmi: czy orzeł z cokołu pomnika miał taki sam układ skrzydeł i upierzenia na udach, jak o dwa lata późniejsze godło z mogiły? Gdyby tak było, gdyby oba orły były identyczne, gdyby można byłoby przypisać ich autorstwo mjr. Kamińskiemu, to historia polskiego godła wzbogaciłaby się o niebawale istotny element. Poznalibyśmy nazwisko projektanta orła, który w nadchodzącej wojnie miał zostać wyprodukowany w kilkudziesięciu odmianach i setkach tysięcy egzemplarzy.

Na ziemi francuskiej

Żołnierze odtwarzanego we Francji Wojska Polskiego otrzymali pierwsze orły już w październiku 1939 roku. Były to godła prowizoryczne, tanie i łatwe w produkcji, aplikowane z białego sukna na czerwonych podkładkach. Uruchomienie produkcji orłów lepszej jakości wymagało jednak pewnego namysłu. Jesienią 1939 roku zapadła decyzja o odrzuceniu stosowanego przez minione dwadzieścia lat godła wz. 1919. Czy stały za nią względy estetyczne, polityczne czy może praktyczne – tego dziś niestety nie wiemy.

Nie wiemy również, w jaki sposób do Francji trafił rysunek orła z wotum Dowborczyków, ofiarowanego na Jasną Górę. Wotum pozostało w kraju, podobnie jak jego domniemany projektant. Faktem jest, że paryska firma Alavoine zaproponowała polskiemu Ministerstwu Spraw Wojskowych godło czapkowe o rysunku identycznym jak orzeł z wotum, pozbawione – rzecz jasna – monogramu „IK”. Godło to zostało zaaprobowane pismem z 8 grudnia 1939 roku, stwierdzającym, że „wzór orła polskiego jest przyjęty do użytku w Armii polskiej”. Dokument ten pozwala określić nowe godło nazwą „wz. 39” (szerzej o orle wz. 39 w numerze 1/2012 „Pamięci.pl”). Podstawowe cechy odróżniające jego rysunek od wz. 1919 to płynna linia zewnętrznej warstwy piór w skrzydłach i charakterystyczne pętlice na udach. Jeszcze przed upadkiem Francji doczekało się ono czterech dalszych wersji: o rozmiarach zmniejszonych do 41 mm, hełmowej, tłoczonej na okrągłej, stalowej blasze, a także dwóch lotniczych, uzupełnionych skrzydłami husarskimi: małej i dużej.

Formalnie zatwierdzony wzór orła pozostał w użyciu przez cały czas istnienia Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Uchodźcy z Francji zanieśli go najpierw do Wielkiej Brytanii i Palestyny, gdzie powstały kolejne jego odmiany. Z czasem orły wz. 39 produkowano na całym

Środkowym Wschodzie, w Egipcie, we Włoszech i w Kanadzie. Były one najbardziej rozpowszechnionym emblematem używanym przez polskich żołnierzy w latach II wojny światowej.

Major w stanie spoczynku Michał Kamiński został rozstrzelany przez Niemców podczas Powstania Warszawskiego. Pomnik Dowborczyków wojnę przetrwał, ale zniknął niebawem po jej zakończeniu jako upamiętniający „niewłaściwych” żołnierzy. Słownik Artystów Polskich w tomie III z roku 1979 podaje, że projekt pomnika znajduje się w zbiorach Muzeum Wojska Polskiego. W 2014 roku nie udało się go odnaleźć. Znamy dzisiaj jedynie dwa elementy: jasnogórskie wotum i odznakę z powązkowskiego kopca. Być może z czasem uda się odnaleźć zdjęcie postumentu pomnika na tyle dokładne, by można było potwierdzić, że to mjr Kamiński zaprojektował najważniejsze godło PSZ.

A swoją drogą, ciekawe, czy autor orła, jeśli był nim naprawdę mjr Kamiński, dowiedział się o światowej karierze swego dzieła przed śmiercią. 🍷

Tomasz Zawistowski – autor trzech tomów monografii polskiego orła wojskowego, urzędniczego i szkolnego *Polskie orły do czapek w latach 1917–1945*

Autor składa gorące podziękowanie Wiesławowi Miechowickiemu za wskazanie powązkowskiego tropu.

Karabin maszynowy – król okopów

Michał Mackiewicz

Nie licząc artylerii, która odpowiadała za przeszło 60 proc. strat krwawych, karabin maszynowy stał się niekwestionowanym królem pola walki w okresie I wojny światowej.

Wynaleziony przez Amerykanina Hiriama Maxima na początku lat osiemdziesiątych XIX wieku, zadebiutował dopiero dziesięć lat później – w trakcie wojen kolonialnych. Z początku była to raczej kosztowna zabawka, której potencjału nie potrafiono docenić. Dość powiedzieć, że pierwsze maximy osadzano na solidnych kołowych lawetach, widząc w nich raczej rodzaj artylerii niżli skutecznego oręża do wsparcia piechoty.

Maximy, vickersy, hotchkissy

Po raz pierwszy swą niszczycielską moc zaprezentowały podczas zmagania

Rosjan z Japończykami, ale doświadczenia tego konfliktu nie zostały należycie wyzyskane. Niemniej wszystkie armie, które w 1914 roku przystąpiły do wojny, były już względnie dobrze wyposażone bronią maszynową, grupowaną najczęściej w kompaniach (6–8 karabinów) przydzielanych poszczególnym pułkom (w c.k. armii dwukarabinowe sekcje w batalionach piechoty). Najpopularniejszymi karabinami maszynowymi były maximy, zarówno w klasycznej postaci (niemiecki MG 08, rosyjski obr. 1910), jak też zmodyfikowanej (angielski Vickers Mk I). Broń działała na zasadzie krótkiego odrzutu lufy i była zasilana z parcianej taśmy nabojeowej. Karabiny

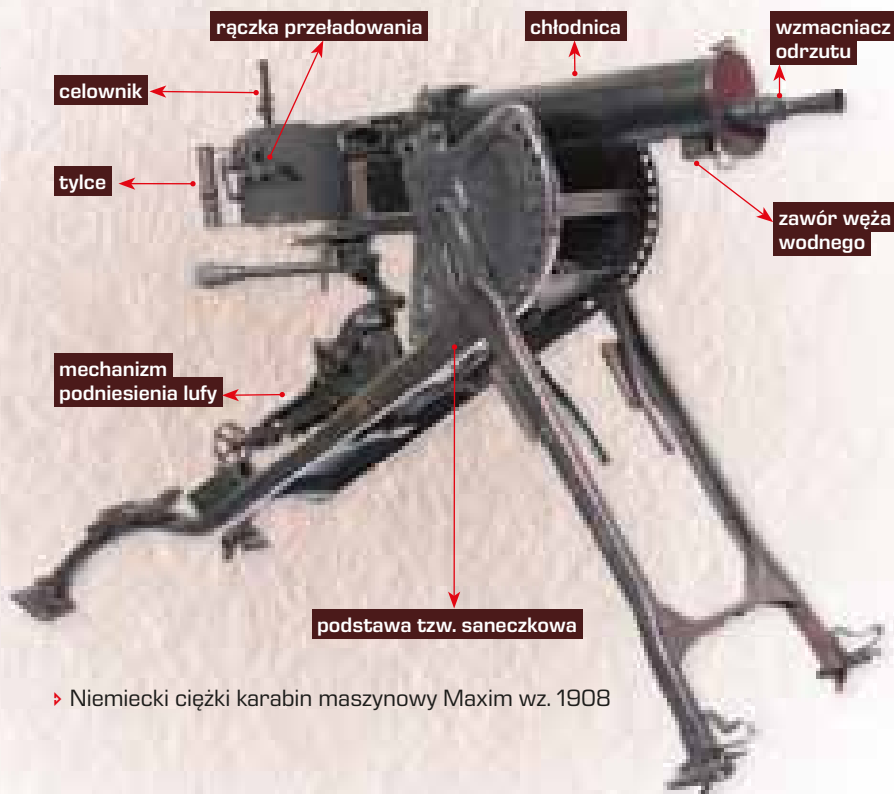
▶ Stanowisko austriackiego cekaemu Schwarzlose wz. 1907/12 na froncie w Alpach

te, choć skomplikowane konstrukcyjnie i wymagające starannej obsługi, dzięki wodnemu chłodzeniu mogły prowadzić długotrwały, nieprzerwany ogień.

O wyjątkowej żywotności cekaemów systemu maxima świadczą choćby walki nad Sommą, gdzie brytyjskie vickersy wykorzystano do wsparcia atakującej piechoty. Prowadziły one ogień pośredni na dystansie przekraczającym 2,5 km przez kilkanaście godzin! Z dziesięciu karabinów maszynowych wystrzelono blisko milion pocisków, zużywając do chłodzenia luf ogromne ilości wody i... moczu.

Równie udaną bronią był austriacki cekaem Schwarzlose M1907/12, także chłodzony wodą. Niezawodny, ale znacznie mniej skomplikowany – o stałej lufie i zamku półswobodnym (niezaryglowanym), którego wsteczny ruch był opóźniany kolankowymi dźwigniami – dzięki temu ciśnienie gazów prochowych zdążyło spaść do poziomu niezagrażającego rozerwaniu łuski.

Dyskusyjna jest natomiast wartość bojowa francuskich hotchkissów Mle 1914, których lufy były chłodzone powietrzem. Podkreślano prostotę konstrukcji (zasada działania – odprowadzanie gazów prochowych) i jej niezawodność, a brak wodnego chłodzenia bardzo ułatwiał obsługę broni w warunkach polowych. Z drugiej jednak strony ograniczało to możliwość prowadzenia długotrwałego ognia ciągłego; narzekano także na sposób zasilania ze sztywnych taśm metalowych.



▶ Niemiecki ciężki karabin maszynowy Maxim wz. 1908



► Obsługa niemieckiego Maxima wz. 1908 w trakcie zmiany pozycji; front zachodni

Kompania ciężkich karabinów maszynowych miała siłę ognia batalionu piechoty, dzięki czemu ograniczono liczbę żołnierzy w okopach pierwszej linii. Resztę można było rozmieścić na pozycjach tyłowych i wykorzystać do kontrataków. Najważniejsze było rozmieszczenie stanowisk karabinów maszynowych tak, aby zapewnić możliwość ostrzału krzyżowego. Ogień prowadzony z flanki był najbardziej niszczycielski. Ponieważ przeciwnik koncentrował ogień artylerii na wykrytych gniazdach cekaemów, chcąc je wyeliminować z walki, zanim własna piechota ruszy do ataku, stanowiska te wyjątkowo pieczołowicie rozbudowywano i maskowano, a system schronów umożliwiał przeczekanie ostrzału.

„Odchudzone” cekaemy

Ciężki karabin maszynowy stanowił doskonałe narzędzie walki defensywnej, jednak jego walory ofensywne były ograniczone. Przyczyna tkwiła w ciężarze i gabarytach. Niemiecki MG08 osadzony na potężnej podstawie saneczkowej i z pełną chłodnicą (4 l) ważył blisko 60 kg. Teoretycznie mógł być przenoszony przez dwóch ludzi, ale nie było to ani wygodne, ani bezpieczne, a cały siedmioosobowy zespół obsługi był narażony na ogień przeciwnika w trakcie powolnego zmieniania stanowiska na zrytm lejami polu walki. Problem dotyczył oczywiście wszystkich cekaemów, nawet tych wyposażonych w lżejsze podstawy trójnożne.

Rozwiązaniem okazało się wprowadzenie w 1916 roku do uzbrojenia piechoty

lekkih i ręcznych karabinów maszynowych. Zwielokrotniły one siłę ognia kompanii i plutonów, towarzysząc przez cały czas nacierającym oddziałom (można było z nich razić przeciwnika samemu będąc w ruchu), co z kolei umożliwiała wykonywanie bardziej samodzielnych zadań ofensywnych. Ich ogień koncentrowano na wykrytych stanowiskach cekaemów, wykorzystywano

je także w charakterze „czyścicieli” okopów. Były wreszcie nieocenione w obronie zdobytych pozycji, które przeciwnik próbował niezwłocznie odzyskać.

Do najbardziej znanych należą: angielski Lewis Mk I, francuski Chauchat Mle 1916 i niemiecki MG08/15. Ten pierwszy, chyba najefektywniejszy z całej trójki, działał na zasadzie odprowadzania gazów prochowych i był zasilany z naboju magazynków. Ze względu na chłodzenie, lufę osłonięto otwartym z obu stron aluminiowym płaszczem, który w trakcie strzelania powodował silny ciąg powietrza. W 1916 roku jeden elkaem Lewisa przypadał na pluton piechoty, w 1918 roku – już dwa. Karabin z pełnym magazynkiem ważył ok. 15 kg.

Znacznie lżejszy był francuski Mle 1916 (niespełna 10 kg), działający na zasadzie długiego odrzutu lufy. Powszechnie uważa się go za najgorszy karabin maszynowy w historii, ale jest to osąd niesprawiedliwy, bo – przy wszystkich swoich wadach – bardzo znacząco zwiększył siłę ognia kompanii piechoty. Każdej z nich przydzielono po dwa – szesnaście *fusil mitrailleur*. Rozdysponowano je między półplutony,

będące *de facto* samodzielnymi zespołami ściśle ze sobą współpracujących żołnierzy uzbrojonych w granaty ręczne i karabinowe, erkaemy oraz karabiny powtarzalne. Ich zasadniczym zadaniem było niszczenie gniazd niemieckich MG08/15 (wprowadzono je do uzbrojenia w 1917 roku). Ten „najcięższy” kaemów ważył prawie 20 kg i mimo pewnych modyfikacji zachował wodne chłodzenie i układ konstrukcyjny pierwowzoru – MG 08. Pod koniec wojny każda kompania miała w swoim składzie po cztery–sześć MG 08/15.

Karabin maszynowy okazał się jedną z najbardziej wyspecjalizowanych broni i jednocześnie orężem determinującym taktykę walki piechoty; sposoby jego użycia opracowywano z iście matematyczną precyzją. Zaraz po artylerii odpowiadał za największe straty krwawe (kilkadziesiąt procent z ogółu poległych w latach 1914–1918), stając się ikoną piekła wojny okopowej. 📌

Michał Mackiewicz – archeolog, pracownik Działu Historii Wojskowości Muzeum Wojska Polskiego; zajmuje się historią wojen i uzbrojenia oraz archeologią militarną; autor licznych artykułów o tematyce historyczno-wojskowej, współautor książki *Kircholm–Kluszyn, zwycięstwa husarii* (2011)

► Obsługa brytyjskiego cekaemu Vickers; diorama z National Army Museum w Londynie



Powstanie *non-fiction*

Ingerencja w źródło historyczne to dla historyka największe świętokradztwo. Twórcy *Powstania Warszawskiego*, którzy naruszyli tę świętość i w warstwie graficznej, i dialogowej, udowodnili, że z urywków kronik można zrobić atrakcyjny i poruszający film, który nie traci waloru dokumentalnego, a na długo zapada w pamięć.

Nie należę do widzów, z których łatwo wykrzesać emocje. Udało się to pomysłodawcy fabuły Janowi Komasię, producentowi Janowi Ołdakowskiemu i wszystkim, których trzyletnia, mrówcza praca złożyła się na niemal półtoragodzinną opowieść o codzienności powstańczych operatorów – a przede wszystkim o tym, co widziała ich kamera.

– Za chwilę zobaczycie nas, powstańców warszawskich, siedemdziesiąt lat temu – zapowiedział film jeden z honorowych gości uroczystej premiery, uczestnik Powstania, prof. Witold Kieżun. Można by powiedzieć: przecież prawie każdy z widzów *Powstania Warszawskiego* oglądał już choćby urywek filmowej kroniki z sierpniowego zrywu. Ale jednak dopiero „pierwszy na świecie wojenny dramat *non-fiction*” – jak jest reklamowany ten film – pozwala zobaczyć dziewczyny i chłopaków z tamtych dni właśnie takimi, jakimi byli: kolorowymi, roześmianymi, pełnymi entuzjazmu. Przyzwyczailiśmy się bowiem, że sceny Powstania Warszawskiego oglądaliśmy w wersji niemej i czarno-białej. Przez to, choć mamy świadomość, że to wszystko działo się naprawdę, trudno poczuć realność wydarzeń z sierpnia i września 1944 roku. Kolor i dźwięk zmieniają wszystko. Oglądane sceny przestają przypominać zakurzony eksponat w gablocie, a zaczynają się kojarzyć z reportażem z Powstania – widzimy (a nie tylko wiemy), że krew była czerwona i nie musimy sobie wyobrażać, że apaszka w białe groszki miała kolor niebieski; słyszymy strzały karabinów na ulicach i brzęk sztućców w kuchni polowej oraz śmiech dziewcząt i chłopców szykujących się do akcji, a kilkanaście mi-

nut później – rozdierający krzyk kobiety usiłującej uciec z płonącej kamienicy. Czy się uratowała? – może się zastanowić widz. Oczywiście, tak naprawdę wcale nie wiadomo, czy w tej konkretnej kamienicy akurat był ktoś, kto usiłował uciec przed pożarem. Ale takich sytuacji z całą pewnością nie brakowało.

Aby to wszystko tak właśnie wyglądało, potrzeba było tysiąca godzin na konsultacje kolorystyczne. Filmowcy musieli ubarwić każdą ze 112 tys. klatek, wyselekcjonowanych z sześciu godzin materiału wyjściowego (tyle kronik ocalało z Powstania). Dzięki wysiłkowi historyków, varsavianistów, urbanistów i znawców militariów sceny układają się chronologicznie i spójnie, choć ujęcia, które twórcy mieli do dyspozycji, trwały zaledwie po kilka sekund. Z tych kadrów udało się rozpoznać do tej pory 130 osób. – Wciąż jednak liczymy na więcej. Na stronie internetowej filmu są zdjęcia osób rozpoznanych oraz tych, których nazwisk poszukujemy. Będziemy wdzięczni za informacje – mówi Anna Kotonowicz, rzecznik Muzeum Powstania Warszawskiego.



Niektóre dialogi w filmie mogą sprawiać wrażenie blących i sztucznych. Ale może tak jest, bo mamy zakodowane w podświadomości, że w czasie Powstania rozmawiano wyłącznie poważnie i patetycznie? A przecież wiemy, że tak nie było! Czy to takie nieprawdopodobne, by operator, który wiedział, że kręci niemą kronikę, zadawał banalne pytania w stylu „Czy pani ładna zechce wziąć udział w filmie?”? Odpowiedzi brzmią i wyglądają bardzo naturalnie za sprawą perfekcyjnego skoordynowania z ruchem warg. Udało się to osiągnąć dzięki zaangażowaniu najlepszego w Polsce specjalisty w tej dziedzinie – Michała Bernarda Łacha.

Powstanie Warszawskie wbija w fotel. Rozkleja. Przyprawia o niedowierzanie – że to wszystko wyglądało właśnie tak, jak wyglądało. Że Warszawa, miasto dziś tętniące życiem, była gruzowiskiem z wystającymi kikutami resztek kamienic. A potem długo nie daje spokoju myśl, że takiego miasta jak to, w którym przyszło mi się urodzić i mieszkać – tak dumnego, tak niezwykłego – nie ma na całym świecie. Jakkolwiek patetycznie to brzmi – nie sposób tego inaczej wyrazić. Tym bardziej nie sposób znaleźć słowa, które wyraziłyby wdzięczność i podziw wobec uczestników Powstania. ❀

Karolina Wichowska

„Mając na względzie zachowanie pamięci...”

Janusz Piwowar, Mariusz Żuławnik

Od lutego 2014 roku w archiwum Instytutu Pamięci Narodowej w Warszawie działa Centrum Udzielania Informacji o Ofiarach II Wojny Światowej. Jego głównym zadaniem jest realizacja kwerend oraz udzielanie informacji na podstawie zasobu archiwalnego dokumentującego losy Polaków i obywateli innych narodowości poddanych represjom niemieckim i sowieckim w latach 1939–1956. Celem jest również pozyskanie nowych dokumentów, które dotyczyłyby możliwie jak największej liczby osób represjonowanych.

Pomysł utworzenia Centrum Udzielania Informacji o Ofiarach II Wojny Światowej zrodził się kilka miesięcy po przejęciu przez IPN od Ośrodka KARTA programu dokumentacyjno-badawczego Indeks Represjonowanych, zajmującego się imienną dokumentacją losów obywateli II Rzeczypospolitej represjonowanych przez władze sowieckie po 17 września 1939 roku. Zdaniem prezesa IPN, dr. Łukasza Kamińskiego, kontynuacja programu jest fundamentalnym obowiązkiem instytutu, a ponadto – drogą do naszej wspólnej pamięci o ofiarach II wojny światowej. – Abyśmy mogli kiedyś powiedzieć, że zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, aby każdej z tych ofiar przywrócić imię i nazwisko. Bo przecież celem obu systemów totalitarnych w XX wieku było to, aby ofiary pozostały anonimowe – podkreśla prezes.

Wychodząc naprzeciw osobom represjonowanym przez III Rzeszę Niemiecką i Związek Socjalistycznych Republik Sowietkich, ich rodzinom oraz badaczom zajmującym się historią II wojny światowej, prezes Kamiński powołał specjalną komórkę, której zadaniem – zgodnie ze słowami preambuły ustawy o IPN – jest właśnie przywracanie pamięci o tych, którzy w okresie okupacji oraz w pierwszych latach po zakończeniu wojny byli poddawani prześladowaniom.

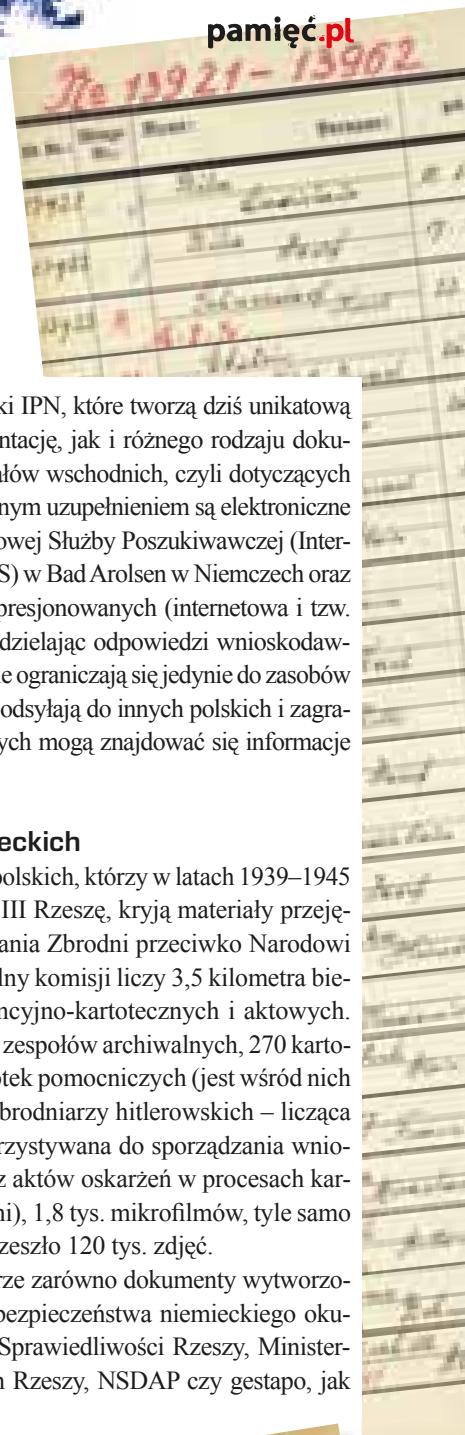
Podstawą pracy centrum jest obszerny zasób ewidencyjno-kartoteczny i aktowy zgromadzony w warszawskiej centrali instytutu. Składają się na ten zbiór zarówno materiały przejęte z Głównej Komisji Badania Zbrodni przeciwko Narodo-

wi Polskiemu, poprzedniczki IPN, które tworzą dziś unikatową w skali światowej dokumentację, jak i różnego rodzaju dokumenty z tzw. zbioru materiałów wschodnich, czyli dotyczących represji sowieckich. Ich cennym uzupełnieniem są elektroniczne bazy danych: Międzynarodowej Służby Poszukiwawczej (International Tracing Service, ITS) w Bad Arolsen w Niemczech oraz dwie aplikacje Indeksu Represjonowanych (internetowa i tzw. wewnętrzna). Co istotne, udzielając odpowiedzi wnioskodawcom, pracownicy centrum nie ograniczają się jedynie do zasobów IPN, lecz także dość często odsyłają do innych polskich i zagranicznych archiwów, w których mogą znajdować się informacje o poszukiwanych osobach.

Ofiary represji niemieckich

Informacje o obywatelach polskich, którzy w latach 1939–1945 byli represjonowani przez III Rzeszę, kryją materiały przejęte z Głównej Komisji Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu. Zasób archiwalny komisji liczy 3,5 kilometra bieżącego materiałów ewidencyjno-kartotecznych i aktowych. Składa się na niego ok. 900 zespołów archiwalnych, 270 kartotek historycznych, 20 kartotek pomocniczych (jest wśród nich m.in. kartoteka osobowa zbrodniarzy hitlerowskich – licząca blisko milion kart – wykorzystywana do sporządzania wniosków ekstradycyjnych oraz aktów oskarżeń w procesach karnych przed sądami polskimi), 1,8 tys. mikrofilmów, tyle samo afiszów i plakatów oraz przeszło 120 tys. zdjęć.

Znajdują się w tym zbiorze zarówno dokumenty wytworzone przez urzędy i organa bezpieczeństwa niemieckiego okupanta, m.in. Ministerstwo Sprawiedliwości Rzeszy, Ministerstwo Spraw Zagranicznych Rzeszy, NSDAP czy gestapo, jak



Niezwykle cennym uzupełnieniem zgromadzonych w IPN materiałów ewidencyjno-kartotecznych i aktowych poświęconych ofiarom represji niemieckich jest baza Międzynarodowej Służby Poszukiwawczej w Bad Arolsen. Instytucja ta powstała

w celu prowadzenia poszukiwań i rejestracji osób zaginionych podczas II wojny światowej. Od początku istnienia, jeszcze podczas działań militarnych, gromadziła różnego rodzaju dokumenty, które tworzą dziś ogromny zasób składający się z 26 kilometrów bieżących akt. Od przeszło dziesięciu lat materiały te poddawane są procesowi digitalizacji. Jego efektem jest umożliwienie dostępu do zbiorów nie tylko za pośrednictwem ITS, lecz także w siedzibach kilku światowych instytucji zajmujących się upamiętnieniem ofiar III Rzeszy, m.in. w USA, Izraelu, a od kilku lat również w Polsce. IPN jest jedyną instytucją badawczą w Polsce, która uzyskała dostęp do bazy danych w związku z przystąpieniem Rzeczypospolitej Polskiej 7 marca 2000 roku do Umów Bońskich z 1955 roku oraz z ich nowelizacją z 16 maja 2006 roku, kiedy to w Luksemburgu podjęto decyzję o możliwości udostępnienia cyfrowych kopii zasobu ITS sygnatariuszom traktatu. W 2007 roku polskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych zdecydowało o przekazaniu zdigitalizowanych materiałów do IPN w Warszawie.

Aplikacja zawiera dane odnoszące się do losów ponad 17 mln osób. Składa się z trzech części, które zawierają zeskanowane dokumenty dotyczące osób osadzonych w więzieniach i obozach koncentracyjnych w III Rzeszy i w krajach okupowanych oraz cudzoziemców zarejestrowanych i zatrudnionych na terenie Niemiec. Wśród nich znajdują się dokumenty pracy, karty meldunkowe, akta urzędów stanu cywilnego itp., a także powojenne materiały rejestrujące losy tzw. *displaced persons*, tj. uchodźców, którzy w czasie wojny znaleźli się poza swoją ojczyzną. Te ostatnie zawierają informacje o ich pobycie w obozach przejściowych, uzyskanej pomocy i repatriacji bądź emigracji.

Aplikacja zawiera dane odnoszące się do losów ponad 17 mln osób. Składa się z trzech części, które zawierają zeskanowane dokumenty dotyczące osób osadzonych w więzieniach i obozach koncentracyjnych w III Rzeszy i w krajach okupowanych oraz cudzoziemców zarejestrowanych i zatrudnionych na terenie Niemiec. Wśród nich znajdują się dokumenty pracy, karty meldunkowe, akta urzędów stanu cywilnego itp., a także powojenne materiały rejestrujące losy tzw. *displaced persons*, tj. uchodźców, którzy w czasie wojny znaleźli się poza swoją ojczyzną. Te ostatnie zawierają informacje o ich pobycie w obozach przejściowych, uzyskanej pomocy i repatriacji bądź emigracji.

Ofiary represji sowieckich

Informacje o losach obywateli polskich na ziemiach wschodnich II Rzeczypospolitej i w Związku Socjalistycznych Republik sowieckich w latach 1939–1956 kryje tzw. zbiór akt wschodnich. Składa się na niego ponad 30 metrów bieżących (2249 jednostek archiwalnych) kopii papierowych oraz blisko 700 jednostek archiwalnych kopii cyfrowych dokumentacji pozyskanej z różnych instytucji, m.in. z Głównego Centrum Informacji Ministerstwa Spraw Wewnętrznych Federacji Rosyjskiej, Rosyjskiego

i przez samą Główną Komisję oraz podobne instytucje zagraniczne, w tym m.in. Komisję Narodów Zjednoczonych ds. Zbrodni Wojennych i Amerykańskie Trybunały Wojskowe w Norymberdze. Uzupełnienie tego zasobu stanowią archiwalia pozyskane przez Główną Komisję z różnych krajowych instytucji i archiwów państwowych, w wyniku wieloletniej współpracy, a także dary osób prywatnych. Wśród archiwaliów przejętych z Głównej Komisji znajdują się wiele bezcennych dokumentów, takich jak np.: raport Jürgena Stroopa dotyczący likwidacji getta warszawskiego wiosną 1943 roku, dziennik generalnego gubernatora Hansa Franka z lat 1939–1945 czy pamiętnik niemieckiego zbrodniarza wojennego Johanna Paula Kremera, lekarza SS z obozu koncentracyjnego Auschwitz-Birkenau. Zebrane archiwalia były wykorzystywane m.in. w procesie toczącym się po zakończeniu II wojny światowej przed Międzynarodowym Trybunałem Wojskowym w Norymberdze. Niezwykłą wartością historyczną przedstawiają również oryginalne materiały z obozów koncentracyjnych: Auschwitz-Birkenau, Buchenwald, Dachau, Groß-Rosen, Mauthausen, Mittelbau, Ravensbrück i Sachsenhausen, a także zbiór akt więziennych z lat 1944–1956, wśród których znajdują się m.in. osobowe akta więziennicze rotmistrza Witolda Pileckiego.

W zasobie archiwalnym IPN są także akta postępowań karnych na podstawie dekretu Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego z 31 sierpnia 1944 roku o wymiarze kary dla „faszystowsko-hitlerowskich zbrodniarzy winnych zabójstw i znęcania się nad ludnością cywilną i jeńcami oraz dla zdrajców Narodu Polskiego”, jak również akta prokuratorskie spraw umorzonych i zawieszonych na jego podstawie, akta procesów przeciwko zbrodniarzom nazistowskim i osobom oskarżonym o współpracę z okupantem oraz byłym członkom polskiego podziemia niepodległościowego. W tej grupie archiwaliów na szczególną uwagę zasługują m.in. dokumenty procesowe Ericha Kocha, byłego gauleitera Prus Wschodnich, oraz osób skazanych za głoszenie prawdy o Zbrodni Katyńskiej.

Państwowego Archiwum Wojskowego w Moskwie, Wydzielonego Państwowego Archiwum Służby Bezpieczeństwa Ukrainy, Naczelnej Prokuratury Ukrainy w Kijowie, Litewskiego Archiwum Specjalnego w Wilnie czy Archiwum Ministerstwa Spraw Wewnętrznych Gruzji. Materiały te uzupełnia 2,84 metra bieżącego (549 jednostek archiwalnych) dokumentacji poświęconej tematyce represji sowieckich wobec Polaków i obywateli polskich (jeńców wojennych i ludności cywilnej) z lat 1939–1956, zgromadzonej i przekazanej przez nieodżałowanego Jędrzeja Tucholskiego, badacza Zbrodni Katyńskiej i wieloletniego pracownika IPN, oraz 4,85 metra bieżącego (569 jednostek archiwalnych) materiałów dotyczących mordu katyńskiego, które instytut otrzymał ze Studium Polski Podziemnej w Londynie.

W warszawskim zasobie archiwalnym IPN przechowywane są dokumenty wytworzone przez urzędy i organa bezpieczeństwa ZSRS i Armii Czerwonej oraz sowieckich republik – białoruskiej, litewskiej i ukraińskiej. Kryją one wiele niezwykle cennych i interesujących dokumentów, pośród których można odnaleźć m.in.: wykazy internowanych na Litwie obywateli polskich, w tym funkcjonariuszy Policji Państwowej i żołnierzy Korpusu Ochrony Pogranicza, akta spraw karno-sledczych dotyczących m.in. członków polskich organizacji niepodległościowych działających na terenach II Rzeczypospolitej, meldunki NKWD poświęcone działalności i likwidacji polskich organizacji konspiracyjnych czy też wykazy liczebne transportów kolejowych wywożących polskich jeńców wojennych z Kozielska, Ostaszkowa i Starobielska.

Największy i najcenniejszy nabytek ostatnich lat stanowi jednak dokumentacja przekazana przez Ośrodek KARTA. Pomysł utworzenia Indeksu Represjonowanych narodził się w styczniu 1988 roku, parę tygodni po utworzeniu Archiwum Wschodniego, które rozpoczęło gromadzenie dokumentów poświęconych historii Kresów Wschodnich II RP, losom obywateli polskich w ZSRS i pod okupacją sowiecką oraz przesiedleniom po zakończeniu II wojny światowej (archiwum jest jedną z agend Ośrodka KARTA). Głównym celem indeksu było zgromadzenie i przede wszystkim ocalenie różnego rodzaju świadectw

osób, które znalazły się pod okupacją sowiecką lub w więzieniach, łagrach czy na zesłaniu, a więc relacji, pamiętników, listów, fotografii, pamiątek z zesłania itd. Początkowo dane były gromadzone głównie w postaci ankiet personalnych, wypełnianych przez ofiary sowieckich represji lub ich rodziny, a także na podstawie informacji znajdujących się w relacjach i wspomnieniach zgromadzonych w Archiwum Wschodnim.

Z czasem podjęto decyzję o utworzeniu bazy elektronicznej. Skomputeryzowane dane pochodzące z ankiet personalnych, a także z materiałów źródłowych pochodzących z archiwów posowieckich, pozyskiwanych przez Ośrodek KARTA od lat dziewięćdziesiątych XX wieku za pośrednictwem moskiewskiego Stowarzyszenia Memoriał – rosyjskiej organizacji pozarządowej dokumentującej i propagującej wiedzę o ofiarach komunistycznych represji politycznych – pozwoliły na stworzenie wewnętrznej bazy danych. Obecnie liczy ona ok. 1,2 mln rekordów.

Zweryfikowane biogramy, zawierające podstawowe dane personalne, informacje o formie represji w ZSRS oraz sygnatury źródeł archiwalnych, w których dana osoba występuje, były publikowane przez Ośrodek KARTA w serii wydawniczej „Indeks Represjonowanych”. W latach 1995–2013 ukazało się 21 tomów w 29 woluminach. Od września 2001 roku zweryfikowane dane osób represjonowanych pochodzące z wydanych drukiem tomów oraz dane z dwóch niezweryfikowanych zestawień – tzw. listy ukraińskiej, zawierającej wykaz części więźniów rozstrzelanych na podstawie decyzji władz sowieckich z 5 marca 1940 roku, oraz Wykazu spraw prowadzonych przez organa NKWD Zachodniej Ukrainy i Białorusi, tj. spisu osób aresztowanych, przeciwko którym wszczęto śledztwo w latach 1939–1941 – są dostępne w bazie internetowej „Indeks Represjonowanych”. Od 2008 roku w bazie umieszczano także biogramy opracowane na podstawie materiałów źródłowych zgromadzonych w aplikacji wewnętrznej „Indeks Represjonowanych”, takich jak ankiety personalne, zaświadczenia uzyskiwane za pośrednictwem Memoriału, materiały skopiowane w latach dziewięćdziesiątych przez Wojskową Komisję Archiwalną, dokumentacja Biura Informacji i Poszukiwań Polskiego Czerwonego Krzyża czy Związku Sybiraków. W ogólnodostępnej bazie internetowej „Indeks Represjonowanych” znajduje się obecnie ponad 316 tys. rekordów. Aplikacja ta jest dostępna na stronie internetowej www.indeksrepresjonowanych.pl.

Wraz z bazami „Indeksu Represjonowanych” do zasobu archiwalnego IPN w Warszawie trafiły m.in. oryginały ponad 30 tys. ankiet personalnych Indeksu Represjonowanych, kopie dokumentów ze zbiorów Stowarzyszenia Memoriał, w tym artykuły prasowe i wykazy osobowe, kwestionariusze ewidencyjne i ankiety do *Księgi Zmarłych Związku Sybiraków*, a także liczne kopie wykazów osobowych ze zbiorów Archiwum Wschodniego. 📖

Janusz Piwowar – koordynator zespołu zajmującego się represjami niemieckimi w Biurze Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów
dr Mariusz Zulaufnik – zastępca naczelnika Biura Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów

Współpraca: Wioletta Pruchnik, Ewa Rybarska, Jacek Ryżko

Jak uzyskać informacje

Informacje o ofiarach represji niemieckich i sowieckich można uzyskać, zwracając się listownie na adres: Biuro Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów IPN, ul. Wołoska 7, 02-675 Warszawa, z dopiskiem: Centrum Udzielania Informacji o Ofiarach II Wojny Światowej, lub też mailowo na adres: ofiary@ipn.gov.pl. Ponadto z pytaniem można zwrócić się do pracowników centrum. Oto ich numery telefonów i adresy mailowe:

Janusz Piwowar – kierownik (represje niemieckie)
 tel. +48 22 566 25 61; e-mail: janusz.piwowar@ipn.gov.pl

Jacek Ryżko (represje niemieckie)
 tel. +48 22 566 25 74; e-mail: jacek.ryzko@ipn.gov.pl

Wioletta Pruchnik (represje sowieckie)
 tel. +48 22 581 86 12; e-mail: wioletta.pruchnik@ipn.gov.pl

Ewa Rybarska (represje sowieckie)
 tel. +48 22 581 86 47; e-mail: ewa.rybarska@ipn.gov.pl

Dla Was biegliśmy pod Monte Cassino

Monika Tomkiewicz

Maj 1944 roku: „Zaczyna szarżyć – jest godzina piąta. Ranek. Pada drobny deszcz. Jedziemy w stronę Monte Cassino. Mijamy drogę główną. Na skrzyżowaniu drogowym: »Do Cassino«, poniżej »No entry«. Kilka kilometrów dalej napis w języku polskim: »Nie wyprzedzaj«. Inny napis znów ostrzega: »Za 100 metrów wąski most«”.

► Jan Kozłowski (pierwszy od lewej)

Powyższe słowa to fragment artykułu Edwarda Kocha *Pod Monte Cassino kwitną maki*, opublikowanego w lutym 1945 roku w piśmie Oddziałów Zaopatrywania i Transportu 3. DSK.

Służba Zaopatrywania i Transportu była jednostką nową i zupełnie nieznaną w organizacji polskiego wojska przed rokiem 1939. Pierwsze oddziały tego typu powstały w strukturach II Korpusu Polskiego w Egipcie w marcu 1941 roku i były wzorowane na angielskiej organizacji znanej pod nazwą R.A.S.C. (Royal Army Service Corps). Jedną kompanię utworzyły trzy plutony: Żywnościowy, Benzynowy i Amunicyjny. Służba Transportowa dzieliła losy Brygady Strzelców Karpackich i przeszła z nią cały

szlak bojowy. W maju 1942 roku w Palestynie w ramach reorganizacji Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich, która została połączona z 9. i 10. Dywizją Piechoty przybyłymi z ZSRR, plutony specjalne Służby Transportowej zostały przekształcone w Kompanię Zaopatrywania. Po tym okresie rozpoczęła się szesnastomiesięczna praca szkoleniowa na terenie Palestyny i Iraku. To dzięki tym ćwiczeniom Polacy odnosili później sukcesy pod Monte Cassino, Anconą, linią Gotów i w Apeninach. Chociaż wysiłki żołnierzy Transportówki nie były tak spektakularne, jak piechurów, kawalerzystów czy czołgistów – gdyż nie mieli oni bezpośredniego wpływu na wynik walki – to jednak przyczyniały się do osiągnięć żołnierzy II Korpusu Polskiego. Wystarczy ►

► Kapral Jan Kozłowski – żołnierz Kompanii Zaopatrywania 3. Dywizji Strzelców Karpackich w czasie działań wojennych we Włoszech i pod Monte Cassino

Jan Kozłowski (1901–1957) przed wojną prowadził zakład rzeźniczy najpierw w Szamocinie, a potem w Inowrocławiu. 30 sierpnia 1939 roku został zmobilizowany. Po krótkich walkach – internowany i wywieziony do ZSRR. W 1941 roku wstąpił do tworzącej się Armii Polskiej. Był kapralem II Korpusu Polskiego 3. Dywizji Strzelców Karpackich, a po ukończeniu w 1943 roku kursu kierowców w Palestynie i Iraku został przydzielony do Kompanii Zaopatrywania, służącej w wiosennej ofensywie zdobywania klasztoru Monte Cassino. W 1946 roku ukończył XVI Kurs Doskonalenia Podoficerów Sztabowych w klasie transportowej w Ośrodku Wyszczolenia Służby Zaopatrzenia i Transportu we włoskiej miejscowości Gravina. Do Polski wrócił dopiero w maju 1947 roku. W okresie okupacji cały majątek rodziny Kozłowskich został zarekwirowany. Po wojnie planował otworzyć własny sklep w Poznaniu, lecz jako były żołnierz gen. Władysława Andersa nie otrzymał od nowej władzy zgody na prowadzenie własnego przedsiębiorstwa. Pracował zatem jako sprzedawca w jednym ze sklepów w powiecie inowrocławskim. Został odznaczony Krzyżem Pamiątkowym Monte Cassino oraz Brązowym Krzyżem Zasługi z Mieczami i Gwiazdą Italii.

prześledzić kilka relacji, aby uświadomić sobie, jak bardzo niebezpiecznym zadaniem było zaopatrywanie oddziałów na froncie w amunicję.

Strategia przewoźników

W 3. Dywizji Strzelców Karpackich 2. Kompanii Zaopatrywania Artylerii II Korpusu Polskiego służył mój dziadek, kapral Jan Kozłowski. Od dzieciństwa towarzyszyły mi opowieści babci i mamy o jego bohaterstwie na polu walk. Dziadek przeszedł cały szlak bojowy kompanii: od Cesarstwa Iranu, przez Królestwo Iraku, Syrię, Palestynę, Królestwo Egiptu aż do Włoch i walk o klasztor benedyktyński na Monte Cassino. Często próbowałam sobie wyobrazić sznur ciężarówek pełnych amunicji sunących w szeregu w całkowitej ciemności włoską drogą nr 6, wijącą się wśród gór i gajów oliwnych, a czasami biegnącą brzegiem przepaści. Kierowcy musieli pokonać fragmenty trasy, narażając się bezpośrednio na ogień artylerii. W wielu miejscach, na rozwidleniach dróg, skrzyżowaniach i trudniejszych przejazdach paliły się krzewy lub trawa, idealnie oświetlając cele nieprzyjacieli. Prowadzenie auta w takich warunkach wymagało niezwykłej przytomności umysłu i szybkiej orientacji, aby nie spowodować katastrofy. Na tych odcinkach, na których droga wzdłuż przepaści po obu stronach najpierw ostro wspinała się w górę, a potem gwałtownie opadała w dół, żołnierze musieli liczyć na pomoc swych kolegów. W takiej sytuacji jeden z żołnierzy wysiadał z auta i rozpościarał przed sobą białe płótno – bardzo dobrze widoczne w ciemności dla kierowcy. Ten kawałek materiału rozpostarty na szerokość ramion był najlepszym i najbezpieczniejszym w tych warunkach pilotem. Każdy kierowca miał przydzielonego żołnierza sekcyjnego, którego zadaniem było bezpieczne przeprowadzenie pojazdu w najtrudniejszych warunkach. Przecież niejedną drogą była zablokowana przez uszkodzone auto bądź wraki wiszące nad przepaścią. Oczekiwanie na przybycie dźwigu ratowniczego mogło trwać kilka godzin, a ładunek przecież trzeba było

szybko dowieźć. Niesamowitej precyzji wymagało wówczas prześlizgnięcie się po drodze. W czasie takiej nocnej trasy żołnierzom towarzyszył ciągle pośpiech, bo przecież na rano musieli być w bezpiecznym, osłoniętym miejscu, niewidocznym dla nieprzyjaciela. Musieli też zdążyć z ładunkiem, nim artyleria zajmie stanowiska ogniowe. Niejednokrotnie też zdarzało się, że kolumna transportowa była przerywana. Pozostające z tyłu auto musiało dogonić oddział. Tylko jak to zrobić, skoro brakowało tablic orientacyjnych, a drogi często się rozwidlały? Nie na wszystkich też punktach znajdowały się stanowiska polskich regulatorów ruchu zwanych „RR”. Wówczas kierowca i sekcyjny naradzali się, którą drogę wybrać. Ile samochodów nie dotarło do bazy? Nikt chyba dziś tego nie wie.

Jadące bardzo wolno – zaledwie 8 km/h – w kolumnach samochody wypełnione zaopatrzeniem bądź amunicją bardzo często przypominały pochód pielgrzymkowy. W wielu kabinach żołnierze mieli przyłączone krzyżyki lub święte obrazki. Mój dziadek w kieszeni munduru miał zawsze przy sobie złoty medalik, kupiony dla swojej ukochanej żony jeszcze w Jerozolimie. Medalik ten otrzymała później moja mama, która przekazała mi go na osiemnaste urodziny. Noszę go każdego dnia od dwudziestu lat.

Siedemdziesiąt lat później

17 maja 2014 roku, 16.30: zaczyna padać lekki deszczyk. Wszyscy zawodnicy rozpoczęli już rozgrzewkę, rozciąganie, trucht. Na linii startu ustawili się zawodnicy niepełnosprawni z Włoch. Pokonują dystans 200 m przy głośnych owacjach biegaczy. O 16.40 słyszymy pierwsze grzmoty, nadciąga burza. Zaczyna się prawdziwa ulewa. Wszyscy zastanawiają się, czy nie zostanie zmieniona bądź skrócona trasa biegu, co w regulaminie zastrzegł sobie organizator. Padają jednak pierwsze komunikaty sędziowskie, najpierw po włosku, potem po polsku: „Zapraszamy na start!”. Chwila ciszy, wszyscy zamarli. Nagle, jakby na komendę, ru-

► Reprezentacja IPN po biegu na Monte Cassino



szamy z naszych kryjówek pod dachami na linię startu. Pada już bardzo mocno, temperatura spadła do zaledwie 12 stopni. A jeszcze godzinę wcześniej był upał. Umundurowana orkiestra z Cassino zaczyna grać Mazurka Dąbrowskiego, wszyscy Polacy głośno śpiewają. Za chwilę hymn włoski i znowu Mazurek. Na starcie zawodnicy w różnych kolorach koszulek klubowych. Wśród nich, jak maki na łące, czerwone koszulki zawodników z Polski. Wszyscy mamy numery startowe z nazwiskami naszych bohaterów. Pod numerem 284 „biegnie” ze mną strzelec Stanisław Jankowiak z 14. batalionu strzelców, poległy 12 maja 1944 roku na zboczach Cassino. Wśród biegaczy stoi dwudziestojednoosobowa reprezentacja ze wszystkich oddziałów Instytutu Pamięci Narodowej.

Nerwowe oczekiwanie na start. 16.58: nareszcie słyszymy sygnał startowy. Po przekroczeniu linii startu do naszych uszu dobiegają charakterystyczne sygnały chipów umieszczonych w numerach startowych. Przed nami 2 km przez miasteczko – to czas na rozbieg. Mamy przecież do pokonania 8 km w górę do stóp klasztoru. Całuję mój medalik i jestem już gotowa do biegu. Na trzecim kilometrze wyprzedza mnie ośmiuosobowa, ustawiona dwójkami grupa polskich żołnierzy w pełnym umundurowaniu. Pierwszy niesie ze sobą flagę narodową zatknętą na wysokim drzewcu. Słychać tylko równomierny odgłos butów wojskowych, a gdy po chwili podnoszę głowę do góry, widzę, że flaga ta znajduje się już na zboczu góry zdecydowanie wyżej. Nareszcie złapałam swoje tempo, teraz biegnę już równomiernie. Co jakiś czas słyszę doping włoskich biegaczy: „Polacco!”. Trasa po zboczu góry Cassino jest bardzo wymagająca. Lewą stroną co chwilę przejeżdżają karetki i samochody wiozące ważne osobistości na szczyt. To kolejne utrudnienie w naszym i tak niełatwym zmaganiu z górą. W okolicach szóstego kilometra doganiam mężczyznę z Polski. Nie mam przy sobie zegarka, gdyż aplikacja Endomondo w telefonie, której zawsze używam w czasie biegów, jest zupełnie nieprzydatna przy niedziałającym sygnale GPS. Pytam o czas, chcę wiedzieć, w jakim tempie biegnę. Zaczynamy rozmawiać. Przyjechał z Lublina motocyklem specjalnie na ten bieg. Do mety biegniemy już razem, wzajemnie wspierając się w trudach i dopingując do walki. Pół kilometra przed metą czujnie wszystkim przygląda się lekarz. To przecież mordercza trasa, wymagająca dobrej kondycji fizycznej. Mówi do nas po włosku i pokazuje na palcach, że jeszcze tylko 500 m do mety. Mija nas jeszcze dwóch chłopaków w takich samych koszulkach z napisami po polsku, angielsku i włosku „Biegnę za dziadka”.

Nareszcie upragniony niebieski napis „Finish”. Ogromna euforia, zdobyliśmy razem górę. Dziękujemy sobie wzajemnie za wsparcie w biegu. Na zegarze widzę swój czas: 1 godzina 8 minut 41 sekund. Zerkam na klasztor, łąza kręci się w oku... Strzelcu Stanisławie Jankowiaku, kapralu Janie Kozłowski! Dla Was biegłam pod Monte Cassino. 🍀

dr Monika Tomkiewicz – historyk, pracownik OKŚZpNP w Gdańsku; autorka m.in. książki *Zbrodnia w Ponarach 1941–1944* (2008)

Dzieciom o Monte Cassino

Helena, Antek, Witek i Wojtek w podziemiach klasztoru na Monte Cassino odkrywają na ścianie cytat z biblijnej Księgi Syracha. Odczytują go na głos, zastanawiając się, skąd mógł się tam wziąć napis w języku polskim i zupełnie niespodziewanie znajdują się w przeszłości. Robert, nie mając ciekawszego zajęcia, z wielkim przejęciem czyta na głos koleżance odnaleziony w piwnicy pamiętnik swojego dziadka.

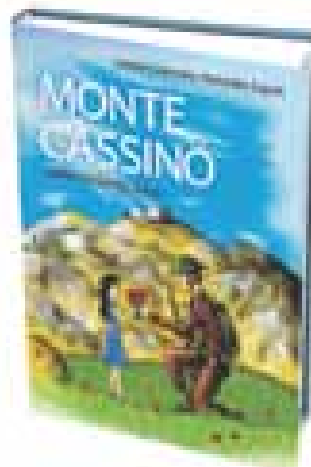
Tak właśnie Joanna Gajewska i Weronika Zaguła, autorki dwóch opowiadań składających się na książkę dla dzieci *Monte Cassino. Góra poświęcenia*, przenoszą najmłodszych czytelników do Włoch, w rok 1944. Obie historie mają wartką akcję, czyta się je z zainteresowaniem. W opowiadaniu Gajewskiej bohaterowie dowiadują się o przebiegu walk pod Monte Cassino od pana Józefa, który wszystko dokładnie im objaśnia, pokazując na mapie miejsca poszczególnych zdarzeń. Szkoda, że czytelnicy nie mogą tego również zobaczyć. Umieszczenie w książce odpowiednio opisanej mapy bardzo by ją wzbogaciło i umożliwiło młodemu czytelnikowi jeszcze lepiej poznać historię tej wielkiej bitwy.

Opowiadanie Zaguły opisuje raczej atmosferę wojny, zagrożenia, cierpienia i determinację walczących. Czytając tę opowieść, można niemal usłyszeć świst kul nad głową. Obie historie się uzupełniają i nie stanowią dla siebie konkurencji, za co autorkom należą się wyrazy uznania. Znajdziemy w nich ważne symbole walk o Monte Cassino, z czerwonymi makami i wdzięczną postacią niedźwiedzia Wojtka włącznie. Autorki przedstawiają też wcześniejsze wydarzenia z historii Polski, które doprowadziły polskie wojska do Włoch, wspominają o dalszych losach żołnierzy, którzy – walcząc o wolną Polskę różnych zakątkach świata – w ogóle do niej po wojnie nie wrócili.

Monte Cassino. Góra poświęcenia to nie tylko opowieść o polskiej historii. Jest to też książka o wartościach: o Bogu, patriotyzmie, przyjaźni, odpowiedzialności, współpracy, lojalności. Podoba mi się, że autorki podkreślają wyjątkowość każdego bohatera, wyposażając go w takie umiejętności, których nie mają inni, przez co istotne staje się działanie w zespole. Dają czytelnikom zadanie domowe: zachęcają do wzięcia odpowiedzialności za Polskę, do odnajdywania własnych dróg służenia ojczyźnie i życia w zgodzie z wartościami.

Weronice Zagule przychodzi to w sposób niezwykle naturalny. Niestety, opowiadanie Joanny Gajewskiej psują akapity jakby wyjęte żywcem z najbardziej patetycznej szkolnej akademii – zupełnie zbędne, budujące niepotrzebny dystans, który może zniechęcić czytelnika. To na szczęście książki nie przekreśla i można z czystym sumieniem polecić jej lekturę. 🍀

Karolina Kolbuszewska



Joanna Gajewska, Weronika Zaguła, *Monte Cassino. Góra poświęcenia*, Fundacja Nasza Przyszłość, Szczecinek 2014, 144 s.

Dziesięć armii w piekle

Monte Cassino w świadomości Polaków to nie tylko nazwa geograficzna, kojarzona ze zwycięską bitwą. To przede wszystkim powszechnie znana legenda o bohaterstwie i poświęceniu żołnierzy gen. Władysława Andersa, których wola walki o wolność kraju przywiodła do Włoch. Potwierdzeniem mocnego osadzenia bitwy w pamięci zbiorowej Polaków jest to, że pieśń *Czerwone maki na Monte Cassino* z tekstem Feliksa Konarskiego należy do kanonu najbardziej znanych i najczęściej wykonywanych utworów patriotycznych.

Zupełnie inne skojarzenia z bitwą pod Monte Cassino mają Brytyjczycy. Dla nich jest to przede wszystkim określenie ważnej i dużej batalii, jednakże tylko jednej z bardzo wielu stoczonych podczas II wojny światowej przez aliantów, wcale zresztą nie najistotniejszej. To, co ją wyróżnia, to – według nich – wyjątkowa zaciętość i wielka liczba ofiar oraz uczestnictwo w walkach wielu narodów. Właśnie te aspekty zostały wyeksponowane w książce Petera Caddicka-Adamsa *Monte Cassino. Dziesięć armii, jedno zwycięstwo*.

Autor w przystępny sposób opowiada o jednej z największych bitew II wojny światowej. We wprowadzeniu wylicza, że trwała ona 129 dni, a 200 tys. żołnierzy niemieckich, włoskich, francuskich, amerykańskich, brytyjskich, hinduskich, nowozelandzkich, kanadyjskich, południowoafrykańskich i polskich, zostało zabitych, rannych lub wziętych do niewoli. Podtytuł książki odnosi się właśnie do udziału jednostek owych dziesięciu państw w walkach. Polska jego wersja – *Dziesięć armii, jedno zwycięstwo* – nie jest jednak zbyt trafna. Choć Niemcom i Włochom udawało się opóźnić postępy aliantów nadspodziewanie długo, to jednak ostatecznie bitwa zakończyła się ich przegraną. Dlatego decyzja o zmianie oryginalnego podtytułu – *Ten armies in Hell (Dziesięć armii w piekle)* – który oddawał zacięty i krwawy charakter zmagania, jest zupełnie niezrozumiała. Jednocześnie należy zaznaczyć, że – w przeciwieństwie do bardzo licznych przekładów obcojęzycznych książek historycznych publikowanych w ostatnich latach w Polsce – ta pozycja została starannie przetłumaczona i zredagowana, a także opatrzona przypisami prostującymi pomyłki występujące w oryginalnym wydaniu.

Peter Caddick-Adams jest absolwentem uniwersytetów w Sandhurst i Wolverhampton, doktoryzował się w brytyjskiej Akademii Obrony i specjalizuje się w historii konfliktów zbrojnych oraz problematyce bezpieczeństwa. Do najbardziej znanych jego publikacji należy książka *Monty and Rommel. Parallel lives* (Monty i Rommel. Żywoty równoległe). Pracę naukową łączy z pasją dziennikarską, jest też przewodnikiem po polach bitewnych. Połączenie tak różnych zainteresowań widać w stylu, w jakim napisał *Monte Cassino. Dziesięć armii, jedno zwycięstwo*.

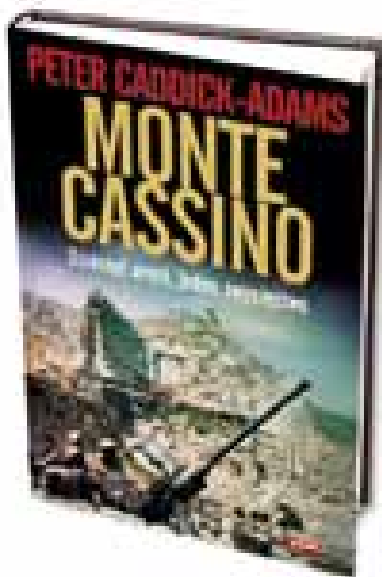
Książka przedstawiająca złożoną i pełną niuansów historię zmagania o przełamanie niemieckiej linii Gustawa, zagrażającej aliantom drogę na Rzym, została zbudowana niezwykle prosto i logicznie. Poszczególne rozdziały są poświęcone wydarzeniom, które doprowadziły do bitwy, kolejnym jej fazom, a także następstwom batalii. W ten chronologiczny porządek autor umiejętnie wplótł wątki poboczne (m.in. genezę i wcześniejsze dzieje 2. Korpusu Polskiego). Caddick-Adams przedstawia zdarzenia w sposób zrozumiały nawet dla osób słabo zorientowanych w historii wojskowej. Nie wchodzi zbyt głęboko w szczegóły, prezentuje raczej syntetyczne podsumowanie zdarzeń niż ich drobiazgową rekonstrukcję. Jednocześnie narrację ilustruje detalami pozwalającymi zrozumieć realia walk, odczucia i doświadczenia żołnierzy. Barwnie napisane, epickie wręcz epizody nasycone szczegółami przyciągają uwagę czytelnika i pozwalają mu na lepsze przyswojenie opisów działań na szczeblu strategicznym. Pod tym względem niektóre fragmenty pracy przypominają dzieła Corneliusa Ryana: *O jeden most za daleko* czy *Najdłuższy dzień*.

Nie dorównał mu jednak w żadnym razie pod względem treści. Książka Petera Caddicka-Adamsa powieli bowiem to, co można znaleźć w innych dość licznych publikacjach na ten temat, wydanych w Polsce w ostatnich dziesięciu latach (m.in. w książkach Matthew Parkera, Jamesa Hollanda, i Zbigniewa Wawra).

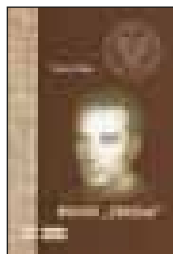
W porównaniu z nimi Caddick-Adams wiele problemów przedstawił pobieżnie, w sposób uproszczony lub zupełnie je pominął. Przykładem może być – szczególnie interesujący dla polskiego czytelnika – problem oceny udziału korpusu gen. Andersa w krwawej bitwie. Należy przypomnieć, że przez polskie władze, a także historyków wcale nie był on oceniany jednoznacznie pozytywnie. Polski Wódz Naczelny gen. Kazimierz Sosnkowski zgodę gen. Andersa (wydaną bez uzgodnienia z nim) na kierowanie Polaków do

frontalnego szturmu na umocnionego przeciwnika uznał za „samowolny postępek, za naruszenie dyscypliny wojskowej, przy tym bardzo niebezpieczne i wysoce szkodliwe na wygnaniu”. Natomiast prof. Paweł Piotr Wieczorkiewicz w pracy *Historia polityczna Polski 1935–1945* natarcie polskiego korpusu ocenił jako „źle zaplanowane i jeszcze gorzej skoordynowane przez dowództwo i sztab korpusu”.

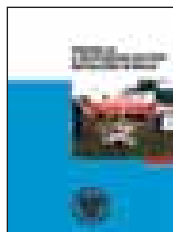
Niemniej książka *Monte Cassino. Dziesięć armii, jedno zwycięstwo* jest godna zainteresowania każdego, kto interesuje się historią wojskową, a szczególnie II wojną światową. Jej wartość nie polega na odkrywczym treści, ale na interesującej, syntetycznej i łatwej w odbiorze formie. Jest obiektywnym spojrzeniem na wydarzenia, o których polskim historykom trudno pisać bez emocji. 🍷



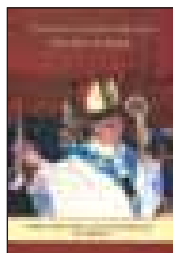
Peter Caddick-Adams, *Monte Cassino. Dziesięć armii, jedno zwycięstwo*, Znak, Kraków 2014, 476 s.



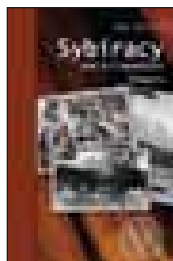
■ Tomasz Balbus, *Major „Zbroja”*, IPN, Wrocław 2013, 188 s. + 35 s. wkł. zdj.



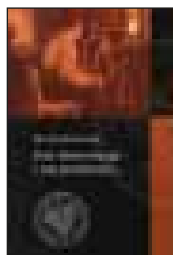
■ *Emigracja a środowiska kultury niezależnej w kraju*, red. S. Flis, IPN, Bydgoszcz–Gdańsk 2014, 233 s.



■ Ksiądz Henryk kardynał Gulbinowicz, *Pro Deo et Patria. Wybór homilii, kazań i mów okolicznościowych z lat 1980–1994*, IPN, Wrocław 2013, 302 s. + 40 s. aneksu



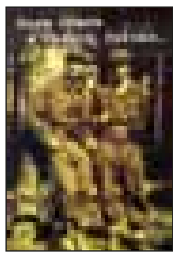
■ Anna Hejczyk, *Sybiracy pod Kilimandżaro. Tengere. Polskie osiedle w Afryce Wschodniej we wspomnieniach jego mieszkańców*, IPN, Rzeszów 2013, 184 s. + 8 s. wkł. zdj.



■ Monika Komaniecka, *Pod obserwacją i na podsłuchu. Rzeczowe środki pracy operacyjnej aparatu bezpieczeństwa w województwie krakowskim w latach 1945–1990*, IPN, Kraków 2014, 587 s.



■ Karol Lisiecki, Tomasz Panek, Wojciech Wabik, *Gdańsk w stanie wojennym 1981–1983*, IPN, Gdańsk 2013, 352 s.



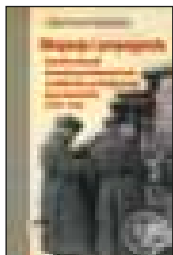
■ *Masz synów w lasach, Polska... Podziemie niepodległościowe i opór społeczny na Sądecku w latach 1945–1956*, red. D. Golik, IPN, Muzeum Okręgowe w Nowym Sączu, Katolickie Stowarzyszenie Civitas Christiana Oddział w Nowym Sączu, Stowarzyszenie Dla Miasta w Nowym Sączu, Nowy Sącz 2014, 414 s.



■ *Okupowana Europa. Podobieństwa i różnice*, red. W. Grabowski, IPN, Warszawa 2014, 333 s.



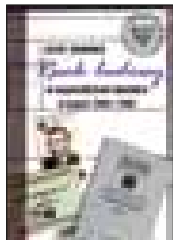
■ *Opozycja i opór społeczny w Polsce po 1956 roku*, t. 2, red. T. Kozłowski, J. Olaszek, IPN, Warszawa 2014, 304 s.



■ Sebastian Piątkowski, *Okupacja i propaganda. Dystrykt radomski Generalnego Gubernatorstwa w publicystyce polskojęzycznej prasy niemieckiej (1939–1945)*, IPN, Lublin–Radom 2013, 336 s.



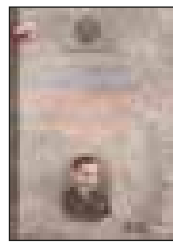
■ *Poezja stanu wojennego. Antologia wierszy, piosenek, kontrafaktur, parafraz i fraszek*, wybór, oprac. A. Skoczek, IPN, Kraków 2014, 511 s.



■ Jacek Romanek, *Ruch ludowy w województwie lubelskim w latach 1944–1949*, IPN, Lublin 2013, 526 s. + 25 s. wkł. zdj.



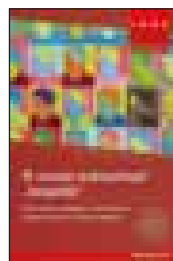
■ Stanisław Salmonowicz, *„Życie jak osioł ucieka...”*. Wspomnienia, IPN, Gdańsk 2014, 504 s. + 11 s. wkł. zdj.



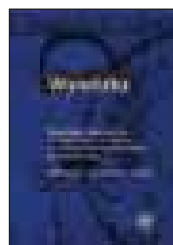
■ Rafał Sierchuła, *Historia człowieka myślącego. Lech Karol Neyman (1908–1948). Biografia polityczna*, IPN, Wydawnictwo LTW, Warszawa 2013, 368 s.



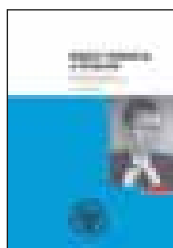
■ *Świat wobec Solidarności 1980–1989*, red. P. Jaworski, Ł. Kamiński, IPN, Warszawa 2013, 792 s.



■ *W stronę antropologii „bezpieki”. Nieklasyczna refleksja nad aparatem bezpieczeństwa w Polsce Ludowej*, red. A. Klarman, E. Kłosek, M. Mazur, J. Syrnok, IPN, Wrocław 2014, 399 s.



■ *Wywózka. Deportacja mieszkańców Górnego Śląska do obozów pracy przymusowej w Związku Sowieckim w 1945 r. Faktografia – konteksty – pamięć*, red. S. Rosenbaum, D. Węgrzyn, IPN, Katowice 2013, 456 s.



■ Lucyna Żukowska, *Między śmiercią a diabłem. Kościół ewangelicki w Gdańsku w okresie rządów NSDAP (1933–1945)*, IPN, Bydgoszcz–Gdańsk 2014, 210 s. + 8 s. wkł. zdj.

Institut Pamięci Narodowej
Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu
02-675 Warszawa, ul. Wołoska 7

Publikacje IPN można nabyć:
w Centrum Edukacyjnym IPN im. Janusza Kurtyki
PRZYSTANEK HISTORIA ul. Marszałkowska 21/25, 00-628 Warszawa
poniedziałek – piątek w godz. 10:00–18:00,
sobota w godz. 9:00–14:00, tel. 22 576 30 05

Prenumerata „Pamięci.pl”

Szczegółowe informacje na temat prenumeraty wraz z cennikiem i formularzem zamówienia znajdują się na stronie www.pamiec.pl przy opisie najnowszego wydania. Zamówienie można złożyć telefonicznie lub wysłać wypełniony formularz zwykłą pocztą na adres IPN albo pocztą elektroniczną na adresy podane poniżej.

Sprzedaż wysyłkowa publikacji

zamówienia można składać telefonicznie:
tel. 22 431 82 92, 22 431 82 88;
22 431 82 89; faks 22 431 82 91
pocztą zwykłą na adres Instytutu
pocztą elektroniczną: joanna.pamula@ipn.gov.pl;
joanna.pszczola@ipn.gov.pl; danuta.wierzman@ipn.gov.pl
lub w księgarni internetowej: www.ipn.poczytaj.pl

KONKURS SPRZĄCZKI I GUZIKI Z ORZĘDKIEM ZE RDZY...

Stwórz pracę poświęconą
ofierze Zbrodni Katyńskiej.
Zbierz informacje o wybranym
bohaterze, poznaj jego pracę,
rodzinę, życie.

Pracę prześlij nam do 7 lipca.
Zostań laureatem, weź udział
w wyjeździe edukacyjnym na
Monte Cassino!



PAMIEC.PL/SPRZACZKI